

PRAWO I HISTORIA



Cenckiewicz po raz pierwszy
pozywa Wałęsę



TYGODNIK LISICKIEGO

DO
CENA 7,90 zł (w tym 8% VAT) NR 30/332 22-28 LIPCA 2019
RZECZY

Papież Franciszek
– pożegnanie z celibatem,
powitanie z szamanem?

**MOCNA ROZMOWA
Z RAPEREM
ADAMEM „O.S.T.R.”
OSTROWSKIM:
JESTEM DUMNY
Z BYCIA POLAKIEM**



Szczątki dinozaurów
w ścianach polskich domów

ŁYSIAK kontra mit PRL



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



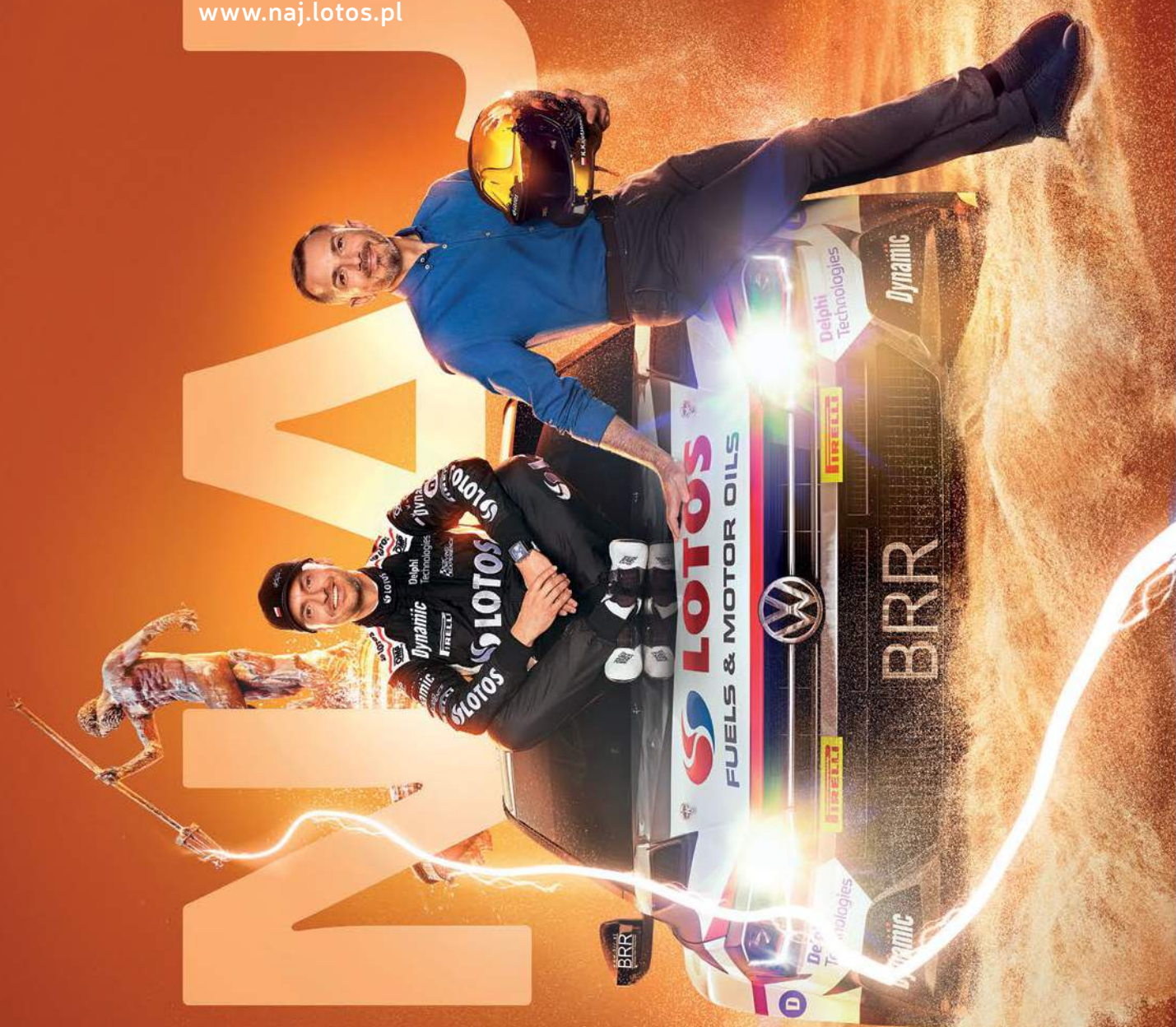
9 772299 850000

Nakład: 77 tys. egzemplarzy

NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKAĆ

NAJ musi być doskonałe z każdej strony. Paliwa LOTOS powstają w najnowocześniejszej rafinerii w Europie. Tworzą je zaangażowani w swoją pracę eksperci oraz ludzie z pasją.

www.naj.lotos.pl



NAJ Z KAŻDEJ STRONY



Droga do NAJ jest długa. Dlatego jako pierwsi połączyliśmy Gdańsk z Warszawą **NIEBIESKIM SZLAKIEM** elektromobilności, tworząc sieć stacji ładowania samochodów elektrycznych.





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Błędy się mszczą

A zatem stało się. PO idzie do wyborów bez SLD i PSL, za to z Nowoczesną i Inicjatywą Barbary Nowackiej. Gdyby sprawa tego była warta, można byłoby nawet powiedzieć: kości zostały rzucone. Ale cóż, ten nieco wyświechtany zwrot nie do końca pasuje do sytuacji: naprawdę mimo najlepszych chęci nie sposób dostrzec w Grzegorzu Schetyńie Juliusza Cezara. Tak samo decyzja ta – o samodzielnym starcie – jest raczej efektem wcześniejszych błędów niż śmiałym i zaskakującym posunięciem. W efekcie naprzeciw PiS pójdą co najmniej trzy formacje opozycyjne, co może oznaczać, że rządzący faktycznie zdobędą większość konstytucyjną. Wystarczy, by zarówno PSL, jak i SLD nie przekroczyły pięcioprocentowego proggu.

Dlaczego tak się stało? Wydaje się, że to owoc wcześniejszych błędów i słabości. Podczas wyborów do Parlamentu Europejskiego Grzegorz Schetyna uwierzył, że wystarczy połączyć wszystkie siły opozycyjne i zwycięstwo nad PiS jest murowane. Teza ta, tak mocno wspierana przez lewicowe i liberalne media, okazała się

nieprawdziwa. Wbrew propagandzie większość Polaków ani nie boi się PiS, ani nie obawia się o podstawowe prawa obywatelskie i demokrację. Dlatego samo hasło: „kupa, mości panowie i panie” nie mogło wystarczyć. Lider PO tego nie zrozumiał i dlatego płaci teraz rachunek. Jedynym usprawiedliwieniem jest to, że decyzję o powstaniu koalicji w wyborach do PE podjął nie całkiem samodzielnie – była ona wymuszona obawą przed powrotem do gry Donalda Tuska. Co nie zmienia faktu, że był to błąd. Gdyby Schetyna poczekał, gdyby nie klecił na siłę owego dziwnego konglomeratu od Sasa do Lasa, od wielkomięskich zielonych po chłopów, dzisiaj byłby w całkiem innej pozycji. Byłby jak Jarosław Kaczyński sprzed kilku lat, kiedy to lider PiS dyktował warunki Solidarnej Polsce i partii Jarosława Gowina. Tak jednak się nie stało i dlatego dziś opozycja może podejmować tylko złe wybory.

PO lub, jak kto woli, PO-KO nie ma żadnych szans na wygraną. Jedyne, na co może liczyć, to zdobycie niewielu więcej niż 20 proc. głosów. Zmusza ją to zresztą do walki na śmierć i życie

z lewicą, z SLD i Wiosną Biedronia. Jeśli je rozbije i przejmie ich elektorat, zyska kilka procent, ale jednocześnie polepszy wynik PiS. Im słabsza lewica, tym mocniejsza będzie PO-KO, choć nie na tyle silna, by zagrozić hegemonii rządzących. Skoro PO przygarnęła już wcześniej Nowoczesną i przyjęła Barbarę Nowacką, skoro jej twarzami stali się Rafał Trzaskowski, Paweł Rabiej czy Aleksandra Dulciewicz, to musi walczyć o elektorat lewicowy. Dokładnie o ten sam, który głosował w części na Wiosnę, a w części na SLD. Z kolei to Sojusz najwięcej zyskał na koalicji z PO w wyborach do PE, jednak teraz sukces ów może się okazać pyrrusowym zwycięstwem: najbardziej rozpoznawane postacie SLD są już w Parlamencie Europejskim. Na kim miałyby się zatem teraz oprzeć Włodzimierz Czarzasty? Podobnie w stanie rozkładu jest Wiosna: okazało się, że, ujmijmy to tak, Robert Biedroń wystawił swoją formację do wiatru. Skądinąd zabawne jest wysłuchiwanie obecnych żalów jego zwolenników i zwolenniczek, którzy wierzyli, że wszystko, co Biedroń mówi, jest naprawdę.

W niewiele lepszej sytuacji niż lewica jest PSL. Po tym, jak Władysław Kosiniak-Kamysz uczestniczył w słynnym wykładzie Leszka Jażdżewskiego i firmował szaleństwa innych lewicowców z Koalicji Europejskiej, budowanie przez niego centrowo-konserwatywnej partii zdaje się dość groteskowe.

Wszystkie formacje opozycyjne cierpią na trzy przypadłości. Po pierwsze, brakuje im programu, po drugie – wiarygodności, po trzecie zaś wykazały się kompletnym brakiem sluchu. Lata prowadzenia negatywnej kampanii, przekonanie, że antypisizm wystarczy do zwycięstwa, mszczą się boleśnie. Opozycja przegrała swoją szansę. ©

RYSUNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

34 WALDEMAR ŁYSIAK

CZAR PRL-U

Retrospekcja nienostalgiczna



KRAJ

18 ROZMOWA Z ADAMEM BIELANEM

SZANSA NA RESET Z BRUKSEŁĄ

Odrzucenie kandydatury Beaty Szydło było złamaniem reguł

21 WOJCIECH WYBRANOWSKI

OPOZYCJA POGRĄŻONA W CHAOSIE

24 MACIEJ PIECZYŃSKI

CASTING NA PREZYDENTA OPOZYCJI

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

SPOWIEDŹ Z CUDZYCH GRZECHÓW

28 ŁUKASZ WARZECHA

LEWICOWY GEN AMNESTY

30 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

DZIEWCZYŃKA CZY CHŁOPIEC?

KULTURA

42 ROZMOWA Z ADAMEM „O.S.T.R.” OSTROWSKIM

MOJEGO ŚWIATA NIE TWORZĄ UMARLI KRÓLOWIE

Jestem dumny z bycia Polakiem

46 PIOTR GOCIEK

NAJDIWNIJSZE RZECZY

48 WIESŁAW CHEŁMINIAK

TRZY OBlicZA KSIĘŻYCA

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 WITOLD REPETOWICZ

CZY POLSCY ŻOŁNIERZE POJADĄ DO SYRII?

Jak powstrzymać Państwo Islamskie

60 KRYSZTOF KRATIUŁ

POŻEGNANIE Z CELIBATEM, POWITANIE Z SZAMANEM?

HISTORIA

62 JACEK KOMUDA

RZECZPOSPOLITA NA DZIKICH POLACH GEOPOLITYKI

Jak słabo niewyciężone imperium



66 ADAM ZUBEK

DINOZAURY SĄ WŚRÓD NAS

ŚWIAT

70 JACEK PRZYBYLSKI

KAMELEON Z WYŻSZYCH SFER

Niewygodna prawda o Ursuli von der Leyen

74 TOMASZ WRÓBLEWSKI

SUTENER AMERYKAŃSKIEGO SALONU

78 PIOTR SEMKA

SAM PRZECIW WSZYSTKIM

EKONOMIA

82 JAKUB WOZINSKI

SOLIDARNOŚĆ CZYSTO TEORETYCZNA

Kto się wzbogaci kosztem Polski

STYL

86 ROZMOWA Z ANNĄ LISIECKĄ

LATO W RYTMIE „THE LAMBETH-WALK”

Ostatnie takie wakacje, czyli lato 1939 r.

88 TOMASZ KAŻMIEROWSKI

PRZETESTOWANE NA WYPIE ULØYA

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ

AMAZONKI BĘDĄ WALCZYĆ

Polki za często umierają na raka piersi

FELIETONY: SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (57), ZYCHOWICZ, KOPER (65), WARZECHA (80), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (92), CENCKIEWICZ (96), JĄSTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARZYNA (98), ŁYSIAK (99)

Drodzy Czytelnicy,

Przypominając adres, na który prosimy kierować e-maile do tej rubryki – listy@dorzeczy.pl – mamy nadzieję, że będziemy tam znajdować jeszcze więcej korespondencji od Państwa.

**„Nowa religia – klimatyzm”,
„Szaleństwo klimatyczne”,
„DRz” 29/2019**

Szanowna Redakcjo,
z dużym zainteresowaniem i pełną aprobatą przeczytałem opublikowane w nr. 29/2019 z dnia 15–21 lipca 2019 r. teksty pt. „Nowa religia – klimatyzm” oraz „Szaleństwo klimatyczne”. Zgadzam się w pełni z naświetloną w nich problematyką,



tylko żałuję, że tak mało jest rzetelnych publikacji na ten temat. Dobrze by było uzupełnić te tezy o problematykę wzrostu poziomu mórz/oceanów, których poziom w ostatnim okresie (130 lat) wzrósł o trochę więcej niż 20 cm. Nie jest niestety wspomniane, że od końca ostatniej epoki lodowcowej poziom mórz/oceanów wzrósł o ponad 120 m (metrów, a nie centymetrów), i to bez żadnej aktywności człowieka. Tempo wzrostu tego poziomu ok. 15–14 tys. lat temu było ponad 16 razy większe niż w okresie ostatnich 100 lat, i to było bez żadnego wpływu człowieka na ten proces. A zalane na morzach Śródziemnym, Żółtym czy na Atlantyku i u zachodnich wybrzeży Hiszpanii i Portugalii pozostałości

starożytnych cywilizacji? Do tego jeszcze Grenlandia, na której około tysiąca lat temu uprawiano roślinność i hodowano krowy.

**Pozdrawiam
Piotr Wolański,
honorowy przewodniczący
Komitetu Badań Kosmicznych i Satelitarnych PAN**

Klimatyzm

Tak się zastanawiam: płacą ci, którzy CO₂ emitują. A co ze zleceńodawcami? Na przykład z niemieckimi firmami, które przeniosły produkcję do Polski? Albo do Chin, które za emisję CO₂ wcale nie zamierzają płacić, bo nie są w Unii i nie muszą? Ha? Ktoś pomyślał?

**Pozdrawiam autorów
Magdalena Durda**

**„Łapska Borejszy”, Joanna
Lichocka, „DRz” 28/2019**

Droga Redakcjo,
z zainteresowaniem przeczytałam fragment powstającej książki i jestem pełna uznania dla pani redaktor Joanny Lichockiej za trafne spojrzenie i ocenę postaw pisarzy w 1945 r. i później wobec komunistycznych rządów, a zwłaszcza za odwagę nazwania rzeczy po imieniu. Postawy pisarzy nie tylko tuż po wojnie i przez nich samych były i są nadal relatywizowane, co jest możliwe dzięki odejściu od uniwersalnych zasad dobra i zła. Liczy się i decyduje etyka indywidualnego sumienia, etyka sytuacyjna i stąd mamy relatywizm, a nawet nihilizm moralny, no i oczywiście funkcjonowanie systemów totalitarnych.

**Z poważaniem
Maria Barwaniec**

Wyjaśnienie

W tekście Wojciecha Wybranowskiego „Koniczynka na katafalku” („DRz” 29/2019) w trakcie redakcji doszło do pomyłki. Wojewódzkich izb rolniczych jest oczywiście 16, a nie 26, jak błędnie podaliśmy. Za pomyłkę przepraszamy.

Redakcja

**TYGODNIK LISICKIEGO
DO
RZECZY**

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Marek Budzisz, Sławomir Cendekiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Cioś (Bruksela), Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Maria Kądzielska, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Małowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torasiński, Szwach Weiss, Piotr Włoczyński, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadartowski, Anna Sobieska-Wójcik, Włodzimierz Zakrzewski**

Fotodyscyplina: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**

Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystofa**

Okładka: **Jan Morek/PAP, oprac. graf. JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy

Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 77 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, że dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

We mgle

Ursula von der Leyen, nowa szefowa Komisji Europejskiej, została wybrana niewielką większością dziewięciu głosów. Bez poparcia PiS jej kandydatura by upadła. Nieco wcześniej Beata Szydło po raz drugi przegrała w Parlamencie Europejskim głosowanie na szefa komisji zatrudnienia. W końcu wybrano na jej miejsce inną przedstawicielkę frakcji ECR – Słowaczkę Lucie Ďuriš Nicholsonovą.

Po co było popierać Niemkę, skoro i tak dwukrotnie upokorzono Beatę Szydło? – pytało wielu wyborców prawicy. Odpowiedź brzmi: bo Angela Merkel nie jest już w Parlamencie Europejskim wszechmocna, a von der Leyen jest, mimo wielu wątpliwości, lepsza dla Polski niż jakiś nowy kandydat. Co nie znaczy, że Niemka będzie silnym szefem KE. Nie. Wiele wskazuje na to, że będzie słaba, a lewica uczyni z naciskania na nią test swych wpływów.

Rozdzielmy dwie sprawy. Angeli Merkel naprawdę się paliło. Tak

się bała prestiżowej klęski na wypadek przegranej swojej byłej minister obrony, że wysłała do Jarosława Kaczyńskiego swego polskojęzycznego sekretarza generalnego CDU, Paula Ziemeiaka, z prośbą o wsparcie von der Leyen. Co obiecano PiS? Nie wiadomo, ale po raz pierwszy od dawna odmrożono dialog Berlina z Warszawą. Już wcześniej ambasador Rolf Nikel podkreślił w publicznym wywiadzie, że Niemcy z taką samą radością przyjmą na jesieni zarówno wygraną PiS, jak i PO. Merkel obiecała też przyjechać do Warszawy 1 września, w 80. rocznicę wybuchu wojny.

Skoro jest tak dobrze z Merkel, to dlaczego upokorzono Szydło? Odpowiedź jest prosta: bo chadecy są bezradni wobec agresji lewicy. A ta mści się za niedawne utracenie Fransa Timmermansa i będzie nadal grillować Polskę pod pretekstem walki o praworządność. Pytanie, w jakim stopniu ataki te złagodzi nowa

szefowa KE? Tego nie wiadomo. Już widać, że von der Leyen będzie ostro atakowana za każdy lżejszy ton wobec Polski, Węgier czy Włoch.

Czy można było lepiej grać, mając takie karty? Nie sądzę. To zachodnia prawica na czele z CDU pozwoliła na nierównowagę w PE. Lewica może mieć w swoim składzie komunistów czy fanów Kremla, ale to prawica musi tłumaczyć się z kontaktów z tożsamościowcami. A PiS nie miał dobrego wyjścia. Wybrał danie niemieckiej szefowej KE kapitału zaufania. Jednak każdy cios od von der Leyen w PiS wymuszony przez lewicę będzie nagłaśniany przez media liberalne z lubością. Każda wolność kosztuje. Łatwo być tylko polskim kwiatkiem do niemieckiego kozucha. Tak jak kiedyś Jerzy Buzek czy dziś Donald Tusk. PiS nie chce iść tą drogą, więc dostaje razy. ©

**WIĘCEJ O URSULI VON DER LEYEN
NA STR. 18 ORAZ 70**

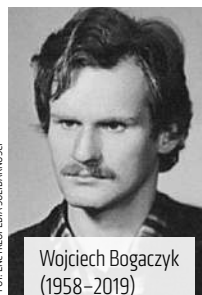
Wojciech Bogaczyk nie żyje

Był uczestnikiem antykomunistycznego Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz jednym z twórców NZS w 1980 r. Internowany, działał w podziemnym NZS lat 80. Należał do generacji, którą nazywa się niekiedy „pokoleniem mścicieli”. Ludzi, którzy wychowywali się, poznając prawdę o sowieckiej okupacji Polski od pokolenia dziadków i rodziców. Dziadek Wojtka był przed wojną podoficerem KOP. Aresztowany przez NKWD po 17 września 1939 r. cudem uciekł z konwoju do łagru. Drugi dziadek walczył we wrześniu 1939 r., a po przedarciu się do Francji bił się w dywizji grenadierów gen. Bolesława Ducha.

To oni wpłynęli na Wojtka i jego poczucie obowiązku walki z systemem. Do zorganizowanej opozycji wszedł w 1977 r., gdy został współpracownikiem ROPCiO.

W 1979 r. współzałożył Wydawnictwo Studenckiego Komitetu Solidarności „Młynek”. W tym samym roku zaczął studia historii na KUL. Po sierpniu 1980 r. należał do jednego z twórców NZS. Po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. ukrywał się, a potem został internowany w Białolecie, Jaworzu i Dąbrowie. Zwolniony został w grudniu 1982 r., w gronie tych, których władza uznawała za najgroźniejszych. W latach 80. skończył historię na KUL i był jednym z liderów studenckiego podziemia w Lublinie.

W 2007 r. prezydent Lech Kaczyński odznaczył go Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Na łamach „Do

Wojciech Bogaczyk
(1958–2019)

Rzeczy” pisał o wyborach ideowych ludzi prawicy w latach 1980–1981. Był zakochany w historii Polski. Reprezentował ten typ patriotyzmu, który każe bardzo głęboko przeżywać sukcesy i porażki. ©

Piotr Semka

**Spotkanie wspomnieniowe
o W. Bogaczyku – 25 lipca**

**o godz. 17.30 w Przystanku Historia IPN
(Warszawa, ul. Marszałkowska 21/25).**

**Wstęp wolny. Pogrzeb Wojciecha Bogaczyka
odbędzie się 26 lipca (piątek). Rozpocznie się
od mszy św. w kościele św. Karola Boromeusza
w Warszawie (ul. Powązkowska 14) o godz. 12.
O godz. 13 rozpocznie się państwowy pogrzeb
z asystą wojskową na Powązkach Wojskowych.**



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zagubiony wagon

Wskazywanie kolejnych błędów, kompromitacji i tzw. samozaorań „opozycji totalnej” zaczyna mnie już wprawiać w psychiczny dyskomfort, bo czuję się z tym tak, jakbym się pastwił nad niepełnosprawnym. A na dodatek wydaje się to robotą zupełnie jałową – PO i jej „przystawki” dawno już zredukowały swą popularność do

– katolicką dyktaturę” – twitterowe wyznanie Waltera Chelstowskiego (tego, który zalił się, że przez PiS dużo więcej pije) mówi wszystko o wielkomiejskich „elitach” oraz ich przyzwoleniu na bylejaką opozycję czy peowskich „włodarzy” wielkich miast.

Postawię jednak taką śmiałą tezę: nawet gdyby PO była zupełnie inna – nawet gdyby oczyściła się z winnych afer i zaniedbań ośmiu lat swych rządów, działała sprawnie, mówiła o ważnych dla wyborców sprawach i wskazywała ich realne rozwiązania, to ta formacja i tak skazana jest na klęskę. „Partia elit III RP”, jakkolwiek się akurat nazywa, wraz z owymi elitami czerpie bowiem swą legitymizację i atrakcyjność z Europy. Jej blask jest blaskiem odbitym od Europy, jej obietnice opierają się na imitowaniu tamtejszych wzorców, pozyskiwaniu tamtejszych pieniędzy i wierze, że

Europa zapewni nam bezpieczeństwo od Rosji.

Podczepić polski wagonik do niemiecko-francuskiej lokomotywy – to było szczytem marzeń i aspiracji jeszcze dziesięć lat temu. I w zupełności wystarczało, dopóki Europa, i w ogóle Zachód, widziane były tak, jak widziało je pokolenie wychowane w PRL: jako raj dobrobytu, wolności i bezpieczeństwa.

Wielka Zmiana, jaka zachodzi, polega na tym, że Europa tym rajem już nie jest – przeciwnie, wolności jest tam mniej niż w obecnej Polsce, absurd politycznej poprawności dorównują tym z czasów sowieckich, dawne poczucie bezpieczeństwa też przyszło. Pozostały tylko pieniądze, a te kuszą, ale nie imponują. Myśl, że trzeba się będzie odczepić od zwalniającej lokomotywy i szukać samodzielnej drogi, jest strasznie trudna – ale powoli, powoli, rok po roku do Polaków to dociera. ©©

Absurdy politycznej poprawności dorównują tym z czasów sowieckich

„żelaznego” elektoratu, a ten, ze względów tożsamościowych, nie nawidzi PiS tak bardzo, że wszystko przywódcom swego plemienia wybaczy. „Mimo że są nieudacznikami bez wizji, koncepcji, energii, charyzmy i wszystkiego innego, wolę frajerów niż nacjonalistyczno-



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Książd Sowa i dziennikarze

Ujawnione kilka lat temu przez tygodniki: „Wprost” i „Do Rzeczy” rozmowy klasy politycznej, zarejestrowane w restauracji Sowa i przyjaciela, pokazały przede wszystkim dobitnie sposób myślenia lewicowo-liberalnej klasy politycznej o państwie polskim. Nie mniej ciekawe są jednak prowadzone w otwartej przestrzeni fejsbukowej rozmowy tzw. autorytetów III RP, dziś uważanych za zaplecze największej partii opozycyjnej. O czym? A np. o niezależności dziennikarskiej.

Literatka Maria Nurowska, ulubienica środowisk „GW”, skarży się na dziennikarza Andrzeja Stankie-

wicza, że ten ośmielił się krytycznie ocenić wiarygodność programu Platformy, zamiast – uwaga – doceniać inteligencję Donalda Tuska. Mocno obrywa się publicystom, którzy mieli czelność nie rozpylić się w zachwytach nad „szóstką Schetny”, gromy padają m.in. na red. Konrada Piaseckiego, którego wszak trudno oskarżać o propisowskie sympatie. Za co? Otóż okazuje się dla opozycyjnego saloniku zbyt wielkim „symetrystą”. „I to ma być dziennikarstwo?” – oburza się wspomniana literatka.

Kropkę nad i stawia celebryta ks. Kazimierz Sowa, konkludując: „Większość dziennikarzy ma jakiś

kompleks lub zadawniony uraz wynikający często z towarzyskich zależności”.

Iśmieszno, i straszno, bo tenże sam kapłan, wykorzystując towarzyskie układy, nie tak dawno poskarżył się swojemu kumpłowi, właścicielowi „Rz” Grzegorzowi Hajdarowiczowi, na autora krytycznej dla siebie publikacji w gazecie, co dla dziennikarza skończyło się niemal utratą pracy.

Wolne media są dobre, gdy nie spieszą się z krytyką obozu liberalno-lewicowego. Warto o takich dyskusjach pamiętać, gdy kolejny raz tzw. autorytety III RP upomną się o niezależne dziennikarstwo. ©©



Tak wygląd polskiego megalotniska
wyobraża sobie pracownia Grimshaw
Architects FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Miliony od rządu dla CPK

Premier Mateusz Morawiecki zdecydował w zeszłym tygodniu o przyznaniu na budowę megalotniska pod Warszawą 300 mln zł z funduszu reprivatyzacji.

To istotne dofinansowanie – dotychczas kapitał zakładowy spółki budującej nowe, gigantyczne lotnisko między Warszawą i Łodzią wynosił bowiem zaledwie 10 mln zł. Dodatkowe pieniądze mają zostać wydane m.in. na nowe

analizy i opracowania, w tym na badania środowiskowe dotyczące przebiegu nowych linii kolejowych.

W ubiegłym tygodniu odbyło się też spotkanie komitetu konsultacyjnego, powołanego przez Międzynarodowe Zrzeszenie Przewoźników Powietrznych (IATA) oraz spółkę CPK. Nowoczesny port lotniczy ma być gotowy zimą 2027 r. © (jap)

MINISTERSTWO OSTRZEGA PRZED APLIKACJĄ

FaceApp – modna ostatnio aplikacja, która na podstawie obecnych zdjęć przewiduje, jak możemy wyglądać w przyszłości – może wykorzystywać nasze dane. „Czy naprawdę wiedza o tym, jak będziemy wyglądać za 50 lat, jest tak cenna, by sprzedawać za nią zasoby do wszystkich naszych danych w telefonie? I jeszcze do Rosji” – pytał Maciej Kawecki, dyrektor Departamentu Zarządzania Danymi w Ministerstwie Cyfryzacji, we wpisie na Facebooku. FaceApp nawet w regulaminie ostrzega, że zdjęcia, które za jego pomocą postaramy, mogą być przekazane partnerom firmy zarejestrowanej w Petersburgu. (jap) ©



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

REKLAMA

LETNIA
OFERTA
-30%

WAKACJE Z HISTORIĄ W TLE

Książki do kupienia na: www.xlm.pl



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Nowe dzieje hipokryzji

Po uświęceniu boskiej Greta (Thunberg) świat postępu zabrał się za apoteozę kapitan Caroli Rackete, która wbrew zakazom uszczęśliwiła Włochów kilkudziesięcioma migrantami, wdzierając się do portu na Lampedusie.

Pisałem już, że postępowi księża odprawiają za bezbożną kobietę msze święte. Ale to był, jak pisał Poeta, ptak małego lotu. Niedługo potem literacki noblista Vargas Llosa zgłosił kandydaturę Caroli do Pokojowej Nagrody Nobla. Postępowi włoscy parlamentarzyści zaprosili ją do siebie na wykład. Kilka włoskich i niemieckich miast nadało jej arcyhonorowe tytuły, a mer Paryża wartej mszy Anne Hidalgo nadała jej najwyższe z możliwych odznaczeń: order Grand Vermeil. Właśnie dlatego chciałbym pochylić się nad francuską hipokryzją migracyjną.

Gdy toczyła się awantura wokół statku Rackete, którego Włosi nie chcieli przyjąć, srożyli się prezydent Macron i jego rzeczniczka Sibeth Ndiaye, zarzucając Italii kompletny brak uczuć wyższych. Tymczasem okazuje się, że rząd Francji ani słowem nie odpowiedział na apel Rackete, by wpuścić jej statek z migrantami do Marsylii. Oburzenie prezydenta Francuzów sięgnęło zenitu, gdy okazało się, że Niemka stanie przed włoskim sądem.

Nieopodal tej samej Marsylii mieszka pełna wyższych uczuć Włoszka Francesca Peirotti. Kobieta została złapana przez francuskich żandarmów na granicy z Włochami, gdy usiłowała ją sforsować busikiem z ukrytymi na pokładzie migrantami z Czadu i Erytrei, w tym noworodka. Francuzi Włoszkę aresztowali, a migrantów ciupasem zawrócili do Włoch. Peirotti stanęła przed sądem. Została skazana na osiem miesięcy więzienia i pięć lat zakazu mieszkania w regionie Alp Nadmorskich. Z jakichś powodów świat postępu nie ujął się za Włoszką, ale twierdzi, że to wszystko fake news, bo Francuzi zawiesili wykonanie kary.

Nie wiem, czemu przypomina mi się trener Irlandii „Big Jack” Charlton. Na zarzuty, że jego piłkarze na MŚ ’94 w USA są ciągle na rauszu, oburzył się: „Jak to? Już w przededniu meczu odstawiają Guinnessa!”. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Malkontenci programowi

W zeszłym tygodniu w Warszawie odbył się zlot Koalicji Obywatelskiej, na którym zaprezentowano zręby programu, o którym – jak o potworze z Loch Ness – każdy słyszał, ale nikt go nie widział. Pochylmy się nad jego punktami. „Czyste powietrze i woda, prawa kobiet, związki partnerskie, obowiązkowe szczepienia, pakiet seniora, szybka obsługa na SOR, demokratyczna szkoła, pakiet dla osób z niepełnosprawnościami. Odpowiedzialny nowoczesny program. Można? #SzostkaSchetyny” – relacjonowała entuzjastycznie Barbara Nowacka.

„Przebijam: słoneczna wiosna i chłodna jesień, zimne piwo i piękne Polki, Liga Mistrzów i golonka. Edukacja i prawa rodziców. Penalizacja promocji ideologii marksistowskiej i komunistycznej. #DziesiątkaWybranowskiego. Zajęło mi to pięć minut i nie kosztowało podatnika ani grosza” – z jeszcze większym entuzjazmem dodał Wojciech Wybranowski. Nie wszystkim było jednak wesoło, gdy Grzegorz Schetyna przyznał, że podniesienie wieku emerytalnego było błędem. „Przyznam, że nic nie rozumiem!” – stwierdził np. kolega z PO, Bogdan Zdrojewski.

Malkontentem odpowiedział Przemysław Szubartowicz, który wcześniej prowadził (jako dziennikarz?) panel dyskusyjny niezależnych ekspertów na konwencji partii. „Schetyna przedstawia konkretny program, który jest katalogiem zasad cywilizowanego państwa; po destrukcji PIS trzeba je odbudować. Obiecał też jasno wprowadzenie związków partnerskich, co już obudziło malkontentów, że tak, ale nie. Ludzie, co się z wami dzieje? Warto dorosnąć”.

À propos dorosłości. „Już bardzo niedługo, za 2–3 lata, główne urzędy w Polsce powinny przejąć pokolenie Sławka Sierakowskiego, Leszka Jażdżewskiego, Adama Bodnara, Macieja Taborowskiego, Michała Wawrykiewicza, Sylwii Gregorczyk-Abram, Karoliny Wigury i Jarka Kuisza. Nazwiska podane nieprzypadkowo” – wyróżzył prof. Wojciech Sadurski. A może zamiast śmiechu przyznać mu rację? W końcu zwolni się kilka wakatów. „Z polityki odchodzę” – tweetnęła ostatnio prof. Krystyna Pawłowicz. Idzie nowe. ©©

CBA nie będzie, IPN nie będzie, śmieci nie będzie, nie będzie niczego...



cezar y kety 12002

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK
„DO RZECZY”**

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKA

**ANNA POPEK
„PIĘKNA 50-TKA”**

~~619~~ zł



235,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
384 zł**

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

MAŁ NAJLEPSZYM PR-OWCEM

Monika Zamachowska słynie z udzielania wywiadów, w których nader chętnie opowiada o swoim życiu prywatnym u boku męża, znanego aktora Zbigniewa Zamachowskiego. Parokrotnie już obiecywała, że przestanie, ale na szczęście dla mediów plotkarskich nigdy słowa nie dotrzymała. Teraz na opowieści o życiu prywatnym dał się namówić także jej mąż – Zbigniew Zamachowski powiedział „Faktowi”, że bywa dla żony nieznosny, ale tylko wtedy, gdy jest głodny. – Bywam nieznosny dla żony. Tak jest głównie przed jedzeniem. Po obiedzie jest lepiej – wyznaje. – Moja żona świetnie gotuje, ale jak jestem głodny, to nawet wizja dobrego jedzenia nie jest mi w stanie poprawić humoru. Sytuacja się poprawia, gdy dochodzi do deseru. Wówczas zmienia mi się perspektywa patrzenia na świat i od razu robi się przyjemnie – mówi. Normalnie aż zaczynamy współczuć Monice. W sumie to powinna podziękować mężowi za to ocieplanie wizerunku.

BIEDNE DZIECKO

Edyta Górniak podkreśla, że ma wspaniały kontakt ze swoim nastoletnim synem Allanem, choć nie do końca podobają jej się jego życiowe plany. Allan poszedł do szkoły wojskowej i wygląda na to, że wojsko pochłonęło go na dobre. Oznajmił nawet, że w tym roku po raz pierwszy nie pojedzie z mamą na wakacje. Zamiast tego wybiera się na obóz survivalowy razem z kolegami ze szkoły. – Zawsze lataliśmy na wakacje razem. Ale teraz będzie inaczej – żali się Edzia w „Fakcie”. – Allan szybko dojrzeva i dorasta. Zrozumiałam, że po prostu częściej potrzebuje otoczenia rówieśników. Tak więc sam zaplanował sobie obóz. Świetnie się dogadujemy i między nami jest super, mamy dużo wspólnych tematów. Tylko że Allan jest w takim wieku, że najczęściej słyszę od niego pytanie: „Mama, masz jakiś grosik?”. W tej sytuacji zawsze jestem na wyciągnięcie ręki – podkreśla Edyta. Podobnie jak wtedy, gdy trzeba o tym opowiedzieć tabloidom. I kogoś dziwi, że Allan broni się przed wspólnymi wakacjami?

EMOCJE W SHOW-BIZNESIE

Joanna Przetakiewicz będzie miała własny program rozrywkowy! Ma się nazywać „Joanna Happy Hour Show”, a będzie go realizować partner Joanny, producent telewizyjny Rinke Rooyens. W programie Joanna będzie rozmawiać



z innymi ludźmi show-biznesu o życiu. – Chcieliśmy stworzyć coś zupełnie innego, świeżego, coś, w czym my się odnajdujemy, a czego nam brakuje – mówi Przetakiewicz. – Jesteśmy szczęśliwi. To, czego nam jeszcze cały czas brakuje, to jest mówienie o emocjach, szczęściu, o miłości, o związkach, czułości. Ciągłe jest tego za mało – opowiada. Za mało emocji w show-biznesie? Ona chyba w ogóle Pudelka nie czyta!

WIĘZIENIE DLA AKTORA

Aktor Andrzej Grabowski żali się, że odkąd posłał informację, że w filmie Patryka Vegi wcieli się w rolę Jarosława Kaczyńskiego, spotyka go pewien ostracyzm. Co prawda filmu jeszcze nikt nie widział, ale ostracyzm już jest. – Zajmuję się też stand-upem. I kilka dni temu odebrałem telefon, że zaplanowany występ odwołano, bo miało na niego przyjść kilku ważnych dla organizatorów ludzi, którzy nie przyszliby, gdybym ja wystąpił. Więc ze mnie zrezygnowano. To pierwszy objaw tego, że ostracyzm następuje i pewnie będzie następował. Ale przeżyłem już tyle, że przeżyję i to. Mam tylko nadzieję, że do więzienia nie trafię – powiedział aktor w rozmowie z „Wprost”. Abstrahując od samego Grabowskiego, w sumie to nie jest taki zły pomysł, by kiepskich aktorów do więzienia wsadzać. Tylko w polskich realiach mogłoby miejsc zabraknąć. Przypomnijcie sobie te wszystkie komedie romantyczne!



JAK KOLEGA KOLEŻANCE

Aktorka Katarzyna Bujakiewicz wyznała, że na co dzień nie lubi się malować. Woli siebie w wersji naturalnej bez podkładu, szminki i tuszu do rzęs. – Zazwyczaj maluję się tylko na duże imprezy, ponieważ robią zdjęcia, zbliżenia. Później ludzie nas bardzo oceniają w Internecie: a to ma nie tak, to ma nie tak, i to nawet jak jestem super-hiper-zrobiona i pilnuję siebie – opowiada. – Na co dzień chodzę bez makijażu i ostatnio nawet kolega mnie nie poznał, bo się pomalowałam – dodała. Ciekawe, czy nie poznał, bo wyglądała tak dobrze, czy wręcz przeciwnie. Mamy nadzieję, że kolega dyplomatycznie tego nie doprecyzował. W innym wypadku jest już zapewne byłym kolegą. ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, samorządy dwóch najbardziej postępowych miast w Polsce – Gdańska i Warszawy – poczyniły ostatnio ważne dla przestrzeni miejskiej inwestycje. Gdańsk kupił rydwan za 150 koła, a władze Warszawy postawiły strefę relaksu za milion. No i zaczęła się jazda, wylał się hejt. A to wszystko dlatego, że Polacy nie przyzwyczaili się do myśli, że za jakość trzeba płacić. Jak ktoś, kto przyzwyczajony jest do zakupów w dyskontach i second handach (tych niehipsterskich), ma docenić sztukę wysoką lub fakt, że władze Warszawy dają mu strefę relaksu na placu Bankowym, gdzie można pooddychać atmosferą wielkiego ośrodka. Dopóki nie zmieni się mentalność mieszkańców tego kraju, dopóty będziemy obserwować tego typu ból doopy o drobne wydatki, które przede wszystkim są dla ludzi. Nas jednak nie zaskoczy, jeśli prezydent

Trzaskowski pomyśli: „Sacrebleu! Nie warto było się starać” i za rok strefy relaksu nie będzie.

Europosłanka Sylwia Spurek skarżyła się, iż w stołówce Parlamentu Europejskiego brakuje różnorodnych pozycji w menu dla wegetarian oraz wegan. Rozumiemy żal osoboeuroposłanki, ale też taka sytuacja nie wzięła się znikąd. Otóż ewidentnie europarlament stał się miejscem zawłaszczonym przez zwycięskie partie prawicowe – w tym PiS, a więc siłą rzeczy menu w stołówce musi odpowiadać najbardziej skrajnym preferencjom. Iżby taki europoseł z mentalnego Podkarpacia nie wpadł w panikę i nie uciekł na swoją wieś pod Przemysłem, widząc rozbudowaną ofertę wege. Tak naprawdę Parlament Europejski wykazał się wręcz nieprawdopodobną empatią i wyrozumiałością. Posłanka Spurek parę razy zje frytki z pomidorami

i nic się jej nie stanie, a w tym czasie pisowska ekipa poczuje się swobodniej w Brukseli i być może stanie się bardziej otwarta na europejskie wartości. Genialne.

Jesteśmy zadowoleni, iż nowym Jamesem Bondem ma być pigmentalnie uposażona waginosa. Nie wiemy tylko, czy będzie ona fallusosceptyczna, ale i tak jest to kolosalny postęp względem poprzednich filmów o agencie 007. Z czym się bowiem kojarzy tradycyjny Bond? Z patriarchalną dominacją, przedmiotowym traktowaniem waginoosób i brutalną siłą fizyczną, dzięki której rozwiązywał konflikty. Nie było w nich miejsca na dialog, porozumienie, nie było szukania tego, co łączy, zamiast tego, co dzieli. ©©

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

Michael Bolton

KONCERT

7 SIERPNIĄ 2019

COS TORWAR WARSZAWA

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

ALBUM
JEST W SPRAWDZAJ

Prestige
MJM

REGENT
WARSAW HOTEL

Radio
złote przeboje

wprost

RZECZY

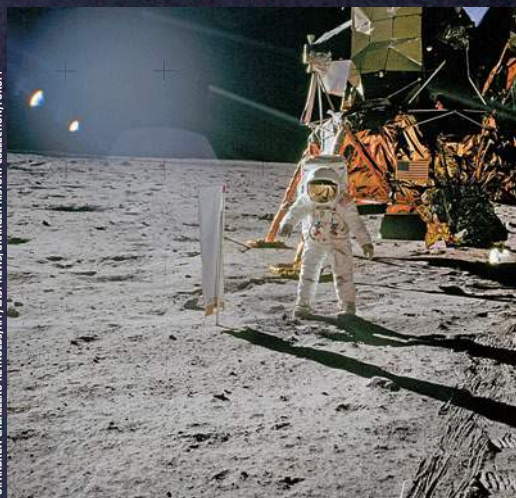
onet

VIXON
netcam

PRESS
SERVICE
monitoring mediu

pap





PODOBÓJ SREBRNEGO GLOBU

Niemal dokładnie pół wieku temu, 21 lipca, amerykański astronauta Neil Armstrong postawił pierwszy krok na powierzchni Księżyca. W ramach uroczystości upamiętniających tę przełomową misję przez trzy lipcowe noce na pomniku Waszyngtona wyświetlana była projekcja rakiety Saturn V – mającej 110 m wysokości i 10 m średnicy największej rakiety nośnej, jaką kiedykolwiek stworzył człowiek (na zdjęciu).

Po 50 latach od historycznego wydarzenia Amerykanie marzą o powrocie na Srebrny Glob – kolejna misja załogowa ma na nim wylądować już w roku 2024. Eksperci z całego świata planują również, jak uczynić z Księżyca bazę przesiadkową w misjach na Marsa, a ponadto jak wykorzystać występujące na jego powierzchni surowce. Na Księżycu swą misję wykonuje obecnie chiński łazik Yutu-2, który pierwszy raz w historii ludzkości eksploruje tzw. ciemną stronę Srebrnego Globu. Jeszcze w 2019 r. Chińczycy planują kolejną misję na Księżyc, której celem będzie przywiezienie próbek gruntu z powrotem na Ziemię.

W tym roku na powierzchnię naturalnego satelity Ziemi ma również dotrzeć indyjska misja. Wrześnieo-
wa data lądowania została przełożona, ponieważ z powodu odnalezienia technicznej usterki (doszło do tego 56 minut przed zaplanowanym startem) przełożono rozpoczęcie misji indyjskiej sondy Chandrayaan 2. Jeżeli kolejna próba przebiegnie bez problemu, to Indie staną się czwartym krajem – po USA, Rosji i Chinach – które dokonały kontrolowanego lądowania na Srebrnym Globie. Ambitne plany Hindusów zakładają także, że kraj ten już w 2022 r. dołączy do mocarstw kosmicznych i wyniesie na orbitę własnego astronautę. **(jap)** ©©



Koniec manewrów koalicyjnych. Zagubionym objaśniamy: PeŁo zawarła koalicję z samorządowcami z PeŁo, PSL – z Peezelem, a czerwoni z czerwonymi i różowymi. Zaiste, polska opozycja jest jak ścieżki rowerowe w Warszawie Hanki i Rafcia. Są kawałki, ale nie połączone ze sobą, i wszystkie zmierzają donikąd.

Teraz, kiedy już wszystko jasne, informujemy, że wcale nie musi być jasne. No bo skoro SLD już nie ma w koalicji z PeŁo, to co szkodziłoby, żeby jednak włączyć do niej Peezel?

To już trzecia szóstka PeŁo w ciągu dwóch lat, czyli razem osiemnastka. A tu już potrzebna jest umiejętność liczenia powyżej dychy

Zielone wiewiórki odpowiadają, że Grzesiek Schetyna jednak przegiął z przeczołganiem Kosiniaka-Kamysza. Nie odbierał telefonów, spóźniał się na spotkania, ściemniał. Władek pamięta też, jak PeŁo nie pomogła Peezelowi w ratowaniu sypiącego się w Sejmie klubu. A że honorowy z niego chłop, uparł się, że nagrodi miejscami na listach Miśka Kamińskiego i Jacka Protasiewicza, którzy wyciągnęli pomocną dłoń. Z tym ostatnim zaś Grzesiek ma kosę.

Ąpropos nieodbierania telefonów – my w sprawie posła Brejzy. Dziennikarze ze wszystkich stron mocno się na niego skarżą. Telefonów nie odbiera, na e-maile nie odpowiada, kontaktu brak. Trochę siara jak na gościa od sztabu wyborczego i poprawy wizerunku PeŁo. Wstrętne gryzipiórki zaczęły więc kpić, że Brejza rozmawia teraz tylko ze zwykłymi Polakami, a nie z jakimiś tam dziennikarzami z Warszawy. Jeśli tak jest, to się nazywa „uwierzyć we własną propagandę”.

Jesteśmy zagubieni. Wszystko przez Grześka Schetynę i jego „szóstkę PeŁo”. Umiemy co prawda liczyć do sześciu, więc nie to jest przyczyną zagubienia. Sęk w tym, że to już trzecia szóstka PeŁo w ciągu dwóch lat, czyli razem osiemnastka. A tu już potrzebna jest umiejętność

liczenia powyżej dychy, więc mamy kłopot.

Pierwszy sześciopak Grzesiek ogłosił w listopadzie 2017 r., na konfie razem z niejakim Rzońcą, takim mikro-Balcerowiczem, przedstawianym jako „główny ekonomista partii”, co zaiste brzmi jak najbardziej w stylu Balcerowicza – wszak mister Leszek to były pracownik Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu przy KC PZPR. Rzońca jest za młody na PZPR, ale załapał się przynajmniej na PeŁo oraz na Millera z Cimoszewiczem w roli europosłów z list Grzegorza.

Sześciopak Schetyny-Rzońcy (wiemy, brzmi jak most Einsteina-Rosena, ale zapewniamy, że nie jest tak fajny) składał się z emerytury bez podatku, 5 proc. VAT na żywność, ułatwień dla młodych przedsiębiorców, zwolnienia pracowników w wieku emerytalnym z opłacania składek, zablokowania biegunki legislacyjnej w Polsce oraz zwiększenia wpływu RPP na kształtowanie budżetu. Prawda, że porywające?

We wrześniu 2018 r. Schetyna zaproponował kolejny sześciopak, tym razem na wybory samorządowe. Oto jego skład: edukacja przyjazna, nowoczesna szkoła; darmowy bilet dla

dzieci i młodzieży; Schetynówki, Orliki, ścieżki rowerowe; Polska bez smogu; Polska senioralna – szacunek i aktywność; jeden gospodarz regionu. Dodatkową atrakcją ogłaszania był aktywny PO skandujący: „PiS na śmietnik!”.

Wraz z najnowszą szóstką Schetyny mamy więc już 18 filarów programu PeŁo. Sześciopak zamienił się w osiemnastokołowiec. Wicie, jak wygląda zwierzątko, które przypadkowo wpadnie pod osiemnastokołowca? Mniej więcej tak jak umysł wyborcy, który próbuje to wszystko ogarnąć.

Przy okazji: ponieważ jesteśmy złośliwi i wszystko pamiętamy, chcielibyśmy zaznaczyć, że wiemy, którędy będzie dokładnie jeździł ten osiemnastokołowiec. Po 15 nowych mostach na Wiśle, które Tusk obiecał zbudować, jeśli w 2007 r. PeŁo wygra wybory. Z przerwą na międzylądowanie na lotnisku w Białymstoku, które również przewidywał Tuskiowy „Narodowy Program Wielkiej Budowy”. Cieszymy się, że to wszystko powstało, naprawdę. Dzięki temu milion elektrycznych samochodów premiera Mateusza też będzie miało po czym jeździć.

Ąpropos premiera Mateusza, jak informowaliśmy, wybór był trudny: Poznań czy może Katowice? Wygrały Katowice. Stamtąd będzie kandydował do Sejmu premier Mateusz. W Kielce nie wierzyliśmy ani przez chwilę, choć niektóre gazety – tak. Trzeba mieć wiarę w wiewiórki. Poza tym z Kielc ostatnio kandydował Grzesiek Schetyna, a przecież o premierze Mateuszu można opowiadać wiele rzeczy, ale nie to, że robi cokolwiek jak Grzesiek Schetyna. Na szczęście.

Przy okazji ważny list w sprawie rozpowszechnianych (m.in. przez nas) informacji o tym, że żadne wybory dotąd nie weryfikowały premiera Mateusza. „To nieprawda. W 1998 r. startował w wyborach do sejmiku woj. dolnośląskiego z listy AWS. I wygrał, osiągając najlepszy wynik w naszej ekipie. Jako jedyny przeprowadził morderczą, wzorcową kampanię od drzwi do drzwi w trudnym, podwrocławskim okręgu z dość rozproszonym zasiędem. Tak więc test wyborczy przeszedł i to, jak to on, śpiewająco” – napisał do nas Jan Waszkiewicz, były marszałek województwa dolnośląskiego. I my mu wierzymy.



dwaj panowie **g**



No i wykrakaliśmy. Przecież mówiliśmy, że Krzysiek Szczerski nie będzie wickiem NATO, tylko przegra z jakimś Rumunem. Smutek. Większym smuteczkiem jest fakt, że wśród trzech nazwisk zarekomendowanych przez Polskę na komisarzy europejskich Krzyska brak. Żeby Kaczor Dyktator bardziej ufał Jadwidze Emilewicz niż Krzyskowi Szczerskiemu... Toż to prawdziwy dramat!

Zżycia dyplomatów. W zaprzęsłą sobotę w ogródku francuskiej ambasady w Warszawie odbywała się uroczysta bibka z okazji święta narodowego Francji. Na początku tradycyjnie przemawiał ambasador, a po nim mowę

miął kropnąć minister Jacek Czapra-Czaputowicz. Niestety, w chwili, gdy zaczynał, nastąpiło oberwanie chmury i wszystkich ewakuowano do wnętrza ambasady. A Czapra przemówienia ostatecznie nie wygłosił. Jak widać, nie tylko TSUE jest przeciw PiS. Także niebios.

Wieści lokalne. Wszyscy się nabijają z jedynki PiS w Tarnowie – pani Anny Pieczarki. Niesłusznie. Prezes wie, co robi. Pieczarka dostała w walce o lokalny sejmik niemal dwa razy tyle co Schetyna, gdy kandydował do wielkiego Sejmu z Kielc. – Pieczarka wysłała wszystkim mieszkańcom drewniane nożyki do smarowania masła i drewniane łyżeczki do miodu, i cyk, pyknęła 70 tys. głosów. Tak się robi wyniki! – opowiada nam, nie kryjąc podziwu, pewien poseł Peezel.

Za listami PiS tęskni bardzo dwóch posłów Kukiza: Tomasz Rzymkowski i Tomasz Jaskółta. Jaskółta chciałby dostać się na listy PiS w Często-

chowie. Tyle że tam baronem jest poseł Szymon Giżyński (nie mylić z Girzyńskim), bardzo mocno poukładany lokalnie, także z komuchami – w swoim czasie Balt z SLD pomagał mu w znalezieniu pracy. Giżyński więc antysystemowego Jaskółty na listy wpuścić nie chce. W zasadzie Jaskółta jest w czarnej d..., bo warszawka może by i go wzięła, ale Giżyński Szymon jest też poukładany z Brudzińskim, a Jojo – jak wiadomo – też nie odpuszcza.

Na koniec kuchnia. Podzielamy krytyczne słowa eurowiosnapostanki Sylwii Spurek na temat jakości jedzenia wegańskiego w Parlamencie Europejskim. Chcieliśmy dodać, że jest ono również stosunkowo drogie. Co gorsza, widzieliśmy niejednokrotnie, jak serwuje się tam mięso odkrawane od świeżo upieczonych świniaków i cielaków, w nosie mając globalne ocieplenie. Na szczęście jest wyjście z sytuacji. W karcie win restauracji europejów jest kilka bardzo dobrych trunków z Portugalii. Cena – ok. 40 euro za butelkę. Wino nie tylko jest wegańskie, lecz także pozwala zapamiętać. ©©

REKLAMA

SKOPJE

Wystawa

10.07 —
20.10.2019

Galeria Międzynarodowego
Centrum Kultury
Rynek Główny 25, Kraków

Miasto, architektura i sztuka solidarności



ORGANIZATORZY



MIĘDZYNARODOWE
CENTRUM
KULTURY



PARTNERZY



МУЗЕЈ НА ГРАД СКОПЈЕ
MUSEUM OF THE CITY OF SKOPJE



Z Adamem Bieleńskim,
posłem do Parlamentu Europejskiego
rozmawia Kamila Baranowska

Szansa na reset z Brukselą

KAMILA BARANOWSKA: Dlaczego polskiemu rządowi i polskim europosłom tak bardzo zależało, żeby Ursula von der Leyen została szefową Komisji Europejskiej?

ADAM BIELAN: Polityka jest sztuką możliwości. Jeśli się weźmie pod uwagę układ sił zarówno w Radzie Europejskiej, jak i w Parlamencie Europejskim, to był najlepszy możliwy kompromis. Nie uważamy, że ta kandydatura jest idealna, ale jeśli rozważyć pozostałe rozwiązania, to była najlepsza. Przy czym nie mówię tylko o kandydaturze Fransa Timmermansa, bo pamiętajmy, że gdyby kandydatura pani von der Leyen została odrzucona głosami lewicy i Zielonych – a na to się zanosilo i gdyby nie nasze wsparcie, to tak by się stało – to każdy kolejny kandydat, nawet jeśli pochodziłby z EPP, musiałby być kandydatem bardziej przychylnym Socjalistom i Zielonym. Taka byłaby logika procesu politycznego. I to nie byłaby dla nas sytuacja korzystna.

Nie mówię tu o interesie mojego obozu politycznego, ale o interesie Polski, bo to z lewicą i Zielonymi różni nas najwięcej, jeżeli chodzi o przyszłość Unii Europejskiej. Lewica aktywnie stara się rozmontowywać wspólny rynek, który my uznajemy za jedną z kluczowych wartości Unii, z kolei Zieloni narzucają trudną do realizacji w takich krajach jak Polska agendę klimatyczną. Wybór Ursuli von der Leyen był najlepszym kompromisem.

To jednak nie jest postać z waszej bajki. Witold Waszczykowski stwierdził wręcz, że nowa szefowa Komisji proponuje politykę skrajnie lewicową, czerwoną i zieloną, a nie umiarkowaną, jak się pierwotnie spodziewano.

Jeśli chodzi o jej wystąpienie na sali plenarnej, to niewątpliwie starała się uzyskać poparcie Socjalistów i Zielonych, w związku z tym deklaracje, które składała, były adresowane do nich. Nie okazały się skuteczne, bo większość Socjalistów i Zielonych głosowała przeciwko niej, co pokazuje, że nie uważają jej za swojego kandydata.

Dla nas ważne jest, że von der Leyen jest osobą z centroprawicy, więc jej podejście do spraw gospodarczych jest zdrowsze niż całej lewicy europejskiej. Równie ważne jest to, że jeszcze jako minister obrony Niemiec opowiadała się za jak najściślejszymi relacjami z naszym najważniejszym sojusznikiem, którym są Stany Zjednoczone – co nie jest w Brukseli oczywistością – i dobrze rozumie zagrożenia, które płyną z Rosji, czego nie

można powiedzieć o wszystkich politykach europejskich.

Dla mnie przy okazji tego głosowania ważny był jeszcze jeden czynnik – ustrojowy. Chodzi o to, jaka powinna być rola rządów narodowych w ustalaniu przewodniczącego Komisji Europejskiej, a jaka powinna być rola Parlamentu Europejskiego. Ja uważam, że to Rada Europejska powinna wskazywać kandydata na szefa Komisji, a Parlament powinien go po prostu zatwierdzać, a nie prowadzić własną grę. I z takiego też założenia wychodziłem, głosując za kandydaturą pani von der Leyen.

Nowa szefowa KE zapowiedziała, że nie będzie żadnych kompromisów w sprawie przestrzegania praworządności. Trudno nie odczytywać tych słów w kontekście sporu Komisji z Polską.

Frakcja Zielonych i frakcja Socjalistów wielokrotnie przed głosowaniem żądały od Ursuli von der Leyen deklaracji, że nie chce poparcia Prawa i Sprawiedliwości i nie będzie o nie zabiegać. Ona nigdy na to żądanie nie odpowiedziała. Chciała naszego poparcia, walczyła o nie do samego końca. Jeśli chodzi o ocenę praworządności – to nie jesteśmy przeciwko temu, by badać czy oceniać stan praworządności w krajach unijnych. Chcemy jedynie jasnych i obiektywnych kryteriów i nie chcemy, żeby ta kwestia była polityczną pałąk do uderzania niesformych wobec Brukseli krajów członkowskich. Propozycja, która w sposób ogólny została zarysowana, zakładająca, że raz do roku będzie dokonywana ogólna ocena praworządności we wszystkich krajach członkowskich, jest na stole od wielu miesięcy i my z nią nie walczyliśmy, wręcz przeciwnie – uznajemy ją za wartą uwagi. Oczywiście trzeba poznać szczegóły tej propozycji, żeby móc przewidzieć, jak to będzie wyglądało w praktyce.

Zwłaszcza że wiceszefem Komisji pozostaje Frans Timmermans, który teraz ma jeszcze więcej powodów, by nie odpuszczać Polsce.

Niekoniecznie musi tak być. Timmermans zajmował się Polską w czasie poprzedniej kadencji, bo nie miał żadnego własnego portfolio, żadnego innego zakresu obowiązków. Gdy rozpoczął się spór z Polską, zgłosił się niejako na ochotnika, bo chciał zaznaczyć swoją obecność. W tej chwili uzgodnienia w Brukseli wskazują na to, że Timmermans otrzyma własne konkretne portfolio, będzie ono dotyczyło najpewniej spraw gospodarczych, więc nie będzie zajmował się już innymi

kwestiami. Jednocześnie Polska zyska też swojego komisarza. Uważam, że sytuacja będzie zupełnie inna. Wybór von der Leyen, osoby nowej, spoza dotychczasowej Komisji Europejskiej, daje szansę na reset w naszych relacjach. Gdyby szefem Komisji został ktoś z obecnych członków, to siłą rzeczy ten reset byłby trudniejszy. To, że szefem Komisji zostaje Niemka, też może paradoksalnie być dla nas rozwiązaniem korzystnym.

Dlaczego?

Myślę, że Niemcy będą się starali, szczególnie w nowej kadencji Komisji Europejskiej, czyli już po wyborach parlamentarnych w Polsce, łagodzić te spory. Wielu analityków, znawców problematyki relacji polsko-niemieckich, uważa, że po ponownej wygranej PiS w Polsce Niemcy będą zachowywać się wobec nas znacznie bardziej pragmatycznie. Pogodziliśmy się z tym, że jesteśmy elementem trwałym na polskiej scenie politycznej. Ja się z tą analizą zgadzam i wiąże też z tym pewne nadzieje. Chociaż oczywiście, po owocach ich poznacie. To nie jest tak, że my podchodzimy do kwestii personalnych hurraoptymistycznie i patrzymy na rzeczywistość przez różowe okulary. Pewne spory nadal będą istnieć. Warto pamiętać jednak, że dzisiaj Komisja Europejska ma rozmaite napięcia prawie ze wszystkimi stolicami europejskimi, znacznie poważniejsze problemy od nas mają Włosi czy Rumuni. Także Francuzi czy Niemcy często bywali niezadowoleni z decyzji gospodarczych, które podejmowała Komisja.

Skoro dziewięć głosów europosłów PiS przesądziło o wyborze pani von der Leyen, to siłą rzeczy nasuwa się pytanie, czy udało nam się wynegocjować coś w zamian?

Tutaj toczyły i wciąż się toczą rozmowy, na ich pierwszym froncie jest premier Mateusz Morawiecki. Już wkrótce przystąpimy do szczegółowych rozmów na temat podziału kompetencji pomiędzy kandydatów na komisarzy z poszczególnych krajów. Jednak bez względu na to sam wybór von der Leyen był z naszego punktu widzenia rozwiązaniem lepszym niż inne. Powtórzę, że przy tym układzie politycznym w Europie każde inne rozwiązanie byłoby gorsze.

Pojawiły się informacje, że lada chwila Komisja Europejska ma przejść do drugiego etapu procedury związanej z naruszeniem prawa UE przez

Polskę. Jak to się ma do zmian zachodzących właśnie w Komisji?

Z całą pewnością najważniejsze decyzje będą czekały na nową Komisję, która obejmie władzę na przełomie października i listopada. Musimy jeszcze poczekać na kalendarz zatwierdzania poszczególnych komisarzy. Wraz z wyborem nowej komisji siłą rzeczy dojdzie do pewnego resetu i liczymy, że przynajmniej część napięć zniknie.

Na razie napięcia się mnożą, także w Parlamencie Europejskim. Jak pan odczytuje dwukrotne odrzucenie kandydatury Beaty Szydło na szefową komisji ds. zatrudnienia i spraw socjalnych PE? To zemsta za utracenie przez Polskę kandydatury Timmermansa na szefa Komisji?

Siły polityczne, które organizowały kampanię przeciwko premier Beacie Szydło, wykorzystywały kwestię Timmermansa, żeby podburzyć lewicę. W polityce też działają emocje. Uważam jednak, że główną przyczyną kłopotów pani premier jest kalendarz wyborczy w Polsce, to, że jesteśmy przed wyborami do parlamentu, i to, że Beata Szydło jest symbolem naszego zwycięstwa w wyborach do Parlamentu Europejskiego, bo uzyskała nie tylko najlepszy wynik w Polsce, lecz także w całej Unii. Ten wynik był dla bardzo wielu polityków w Brukseli zupełnym zaskoczeniem, bo wielu polityków europejskich żyło w przekonaniu, że zwycięstwo opozycji w wyborach europejskich będzie punktem zwrotnym w polityce polskiej. Utracenie kandydatury Beaty Szydło odczytuję więc jako chęć utracenia symbolu naszego zwycięstwa.

A czy nie było błędem strony polskiej powtórne wystawienie pani premier i narażenie się na powtórny porażkę, co było upokarzające nie tylko dla niej samej, lecz także dla Polski jako kraju?

Nie uczestniczyłem w tych negocjacjach, ale sądzę, że ta decyzja zapadła w momencie, kiedy nasi negocjatorzy mieli informację, iż jest prawdopodobny inny wynik głosowania. Jest oczywiste, że nie było wśród naszych liderów chęci drugiej porażki. Rzecz w tym, że głosowanie jest tajne, wobec czego politycy mogą różne rzeczy deklarować, a później inaczej się zachować w samym głosowaniu.

Warto też wyjaśnić, że to jest głosowanie zatwierdzające, w którym nie ma kontrkandydatów. W Parlamencie Europejskim już po wyborach przedstawiciele wszystkich frakcji spotykają się, negocjują rozdział stanowisk w komisjach pomię-

dzy frakcje, późniejszy wybór władz poszczególnych komisji jest wyborem czysto technicznym, dokonywanym często przez aklamację. Odrzucenie kandydatury pani premier było ewidentnym złamaniem reguł.

Przechodząc do spraw krajowych: miała być jedna lista zjednoczonej opozycji, a tymczasem coraz więcej wskazuje na to, że każda z partii idzie do wyborów osobno. PiS otwiera już szampana?

Staram się nie emocjonować rzeczami, na które nie mam wpływu, więc jestem za tym, aby spokojnie poczekać na to, jak zakończą się te rozmowy i negocjacje, i być przygotowanym na każdy z wariantów. Z pewnością coraz większe i coraz bardziej emocjonalne klótnie po stronie opozycji pokazują, że nawet gdyby udało im się jakimś cudem zdobyć większość mandatów w Sejmie, to rząd, który te partie stworzyłyby po wyborach, byłby rządem niestabilnym, w którym docho-
dziłoby ciągle do klótni na tle spraw gospodarczych i światopoglądowych, bo

Utracenie kandydatury Beaty Szydło odczytuję jako chęć utracenia symbolu naszego zwycięstwa w wyborach do PE

w tych sprawach są ogromne podziały. Myślę, że Polacy także wezmą to pod uwagę, bo ostatnią rzeczą, której Polska dziś potrzebuje, są cztery lata klótni w koalicji rządowej i brak stabilizacji politycznej. Myślę, że dużym osiągnięciem naszych rządów jest to, iż taką stabilizację polityczną potrafimy zapewnić. I to też miało i ma pozytywny wpływ na gospodarkę, która rozwija się najszybciej w całej Unii.

Jak pan ocenia szanse na kontynuację tej stabilizacji, czyli samodzielne rządy PiS po wyborach?

Jest duża szansa na kontynuację i to jest nasz najważniejszy cel w tych wyborach. Nie tylko zwycięstwo, bo ono, jeśli się weźmie pod uwagę sondaże, jest bardzo prawdopodobne, ale samodzielne rządy. To nie jest przesądzone, bo ta większość może się rozstrzygnąć jednym, dwoma punktami procentowymi, dlatego przestrzegam wszystkich naszych sympatyków, zwolenników, działaczy w terenie

przed takim myśleniem, że możemy się położyć i czekać, aż skłócona opozycja zapewni nam samodzielną większość. Nie, to będzie wymagało jeszcze cięższej pracy niż w kampanii europejskiej.

Z jedynekami na listach, które niedawno zaprezentował Jarosław Kaczyński, to zwycięstwo będzie możliwe? Bo jest wrażenie, że najbardziej popularni politycy, gwarantujący dobre wyniki, wyjechali do Brukseli.

Rzeczywiście bardzo wielu z nas, europosłów, uzyskało bardzo dobre wyniki indywidualne, ale to był wynik prac całego zespołu, pomagali nam koledzy z Sejmu i Senatu, i my też w tej najbliższej kampanii będziemy pracować na rzecz koleżanek i kolegów startujących jesienią. Poza tym dla każdego obozu politycznego, dla każdej partii dopływ świeżej krwi jest istotny. Ponad połowa jedynek to osoby, które po raz pierwszy startują z tego miejsca, i myślę, że to dobry balans pomiędzy doświadczeniem a energią, którą zawsze wnoszą nowe osoby.

Co dziś jest największym zagrożeniem dla PiS? Demobilizacja?

Demobilizacja może nam grozić ze względu na bardzo dobry wynik w wyborach europejskich i dobre sondaże. Jednak postępowanie prezesa Jarosława Kaczyńskiego już od momentu wieczoru wyborczego, kiedy tonował nastroje i studiował entuzjazm, jeśli chodzi o wyniki w wyborach parlamentarnych, pokazuje, że woda sodowa nam raczej nie grozi.

Skoro padło nazwisko prezesa Kaczyńskiego, to dlaczego uważa pan, że to Jarosław Kaczyński powinien stanąć na czele rządu po wyborach? Byłby lepszym premierem niż Mateusz Morawiecki?

Zostałem zapytany o sytuację hipotetyczną, czy Jarosław Kaczyński byłby dobrym premierem, i odpowiedziałem, zgodnie z prawdą, że uważam, iż byłby świetnym premierem. Wiem, co mówię, bo miałem okazję przyglądać się jego pracy z bliska w latach 2006–2007. Tyle tylko, że to jest w tej chwili pytanie czysto hipotetyczne. Mamy dobrego premiera i nic nie wskazuje na to, żeby w wypadku zwycięstwa i możliwości stworzenia rządu istniała konieczność jego wymiany. Tak, Jarosław Kaczyński byłby świetnym premierem, ale on sam pokazał w tej kadencji, że jest gotowy zrezygnować z osobistych ambicji, jeżeli uważa, iż interes całego obozu politycznego tego wymaga.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Wojciech Wybranowski

Opozycja marzy o tym, by w jesiennych wyborach odsunąć PiS od władzy. Jednak przygoda pod hasłem „Koalicja Europejska” sprawiła, że oponenci obozu rządzącego wystartują w nich pokłóceni i borykający się z konfliktami wewnątrz własnych ugrupowań. Politykom Platformy nie udało się stworzyć koalicji opozycyjnych ugrupowań

Nie będzie koalicji Platformy ani z PSL, ani z SLD. Liderom PO nie udało się porozumieć z potencjalnymi sojusznikami. – Idziemy jako Koalicja Obywatelska, ale nie jako koalicja partii politycznych, ale jako koalicja tych wszystkich, którzy podziela ją nasz światopogląd i pomysł na Polskę – mówił Grzegorz Schetyna. Nieoficjalnie w kulisach PO mówi się, że liderzy tej partii będą teraz próbowali „wyrwać” SLD rozpoznawalnych kandydatów i proponować im start z własnych list.

Do środy 17 lipca do późnych godzin wieczornych ważyły się losy koalicji, w której do wyborów parlamentarnych wystartuje opozycja, a także przesądzało się to, czy Platforma Obywatelska da się zepchnąć do lewego narożnika sceny politycznej koalicją z SLD, czy też będzie próbowała na niej odgrywać rolę umiarkowanego, liberalnego światopoglądowo centrum. Jedno jest pewne – w walce o mandaty parlamentu krajowego opozycja wystartuje podzielona i skłócona jak nigdy dotąd w ostatnich czterech latach. Wpływ na to miały nie tylko indywidualne interesy poszczególnych ugrupowań, lecz także wewnętrzna wojna w samej Platformie, w której kryzys przywództwa Grzegorza Schetyny spowodował uaktywnienie się poszczególnych frakcji. Wojna współpracujących dotąd ugrupowań zaowocowała tym, że niemal w środku trwającej już kampanii wyborczej opozycyjne partie dopiero zaczynają budować swoje listy i weryfikować wyborcze strategie.

– Z badań, które prowadziłem w terenie, wynika, że spora część aktywistów partii Grzegorza Schetyny oraz elektoratu Platformy Obywatelskiej jest bardzo niezadowolona z układu, którym była szeroka Koalicja Europejska. Dlaczego? Bo musieli kandydatom SLD, PSL i mniejszych ugrupowań oddać miejsca na listach, na które sami liczyli – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” prof. Maciej

Drzonek, politolog z Uniwersytetu Szczecińskiego. – W dodatku koniec końców to SLD okazał się zdecydowanym beneficjentem wyniku wyborczego KE – dodaje nasz rozmówca.

PODZIELONA OPOZYCJA

W środowe przedpołudnie dziennik „Rzeczpospolita” publikuje sondaż pracowni Ibris, z którego wynika, że tylko zjednoczona w jednym bloku opozycja: PO, Nowoczesna, SLD i PSL może wygrać z PiS wybory parlamentarne. Dzień

– Decyzje jeszcze się ważą, mogą zapasć w ostatniej chwili. Nie ukrywam, że moim zdaniem szeroka koalicja byłaby najlepszym rozwiązaniem – mówiła w środowe przedpołudnie, w rozmowie z tygodnikiem „Do Rzeczy”, poseł Małgorzata Kidawa-Błońska (PO).

Niemal w tym samym czasie wpływała w środowiskach lewicowych „Krytyka Polityczna” opublikowała opatrzonego rzucającym się w oczy tytułem „Wielka koalicja albo śmierć” materiał Agaty Czarnackiej, ostrzegając lewicowe ugrupowania przed samodzielnym startem w jesiennych wyborach. „Pójście do wyborów wszystkich opozycyjnych partii osobno może sprawić, że do Sejmu wejdzie jedynie Platforma” – bulwersowała się publicystka.

Wśród polityków SLD głosy na temat szerokiej koalicji z udziałem Platformy Obywatelskiej są mocno podzielone. Nasi rozmówcy nie ukrywają, że jakkolwiek wyborcza czy powyborcza współpraca z partią Schetyny byłaby niechętnym małżeństwem z rozsądku, nie zaś soju-

Opozycja pogrążona w chaosie

wcześniej stacja TVN24 prezentuje przygotowany na swoje zlecenie sondaż pracowni Kantar, z którego także ma wynikać, że opozycja, by stać się realną siłą w nowym parlamencie, musi wystartować we wspólnym bloku, a także iż takie są oczekiwania połowy badanych respondentów.

szem opartym na wspólnych ideach czy programie. – Trwa ubieranie nas w buty przystawki dla PO. Tymczasem my mamy własną tożsamość, własne silne struktury i podmiotowość. Bycie w koalicji z partią Schetyny nie jest dla nas warunkiem dalszego istnienia – mówi nam jeden z wielkopolskich działaczy SLD.

■ I przypomina niesławny już sondaż pracowni Kantar, opublikowany na początku lipca przez Radio Zet, z którego wynikało, że PSL powinno iść w wyborach wspólnie z PO. Jak ujawnił Michał Olech z 300polityka, ukryto wówczas przed słuchaczami, że sondaż przygotowano właśnie na zlecenie... Platformy.

– Decyzję w sobotę podejmie zarząd SLD. Natomiast uważam, że metoda D'Hondta, która obowiązuje w najbliższych wyborach, premiuje ugrupowania o dużym poziomie poparcia. Mandaty rozkładają się w miarę równomiernie, gdy różnica między rywalizującymi ugrupowaniami jest niezbyt duża. To jest możliwe tylko wtedy, gdy startują prawicowa i centrolewicowa koalicja – mówi nam Krystyna Łybacka, była europoseł SLD, minister edukacji w rządzie Leszka Millera.

Jednak i w samej Platformie Obywatelskiej daje się słyszeć głosy bardzo krytyczne co do bliższej – wyborczej lub powyborczej – współpracy z Sojuszem Lewicy Demokratycznej. Wielu działaczy zarzuca bowiem partii Włodzimierza Czarzastego nielojalność w kampanii do europarlamentu. – W eurokampanii to my pracowaliśmy na wynik Koalicji Europejskiej. Nie widziałem moich kolegów z SLD w terenie, nie było woli współpracy. My pracowaliśmy, a oni zgarnęli profity – mówi nam poseł PO z centralnej Polski.

PLATFORMA SKŁÓCONA

W strukturach partii Grzegorza Schetny dało się słyszeć znacznie więcej zastrzeżeń co do bliższej współpracy PO z SLD w opozycji. Od naszych rozmówców – samorządowców PO – usłyszeliśmy m.in., że koalicja z SLD w wyborach do Parlamentu Europejskiego w oczach ich wyborców ubrała ich w lewicowe, postkomunistyczne szaty, których trudno będzie im się teraz pozbyć. I choć z klubu poselskiego PO usunięto już większość posłów, m.in. Marka Biernackiego, Jacka Tomczaka czy Filipa Libickiego, którzy pozwalali PO kreować wizerunek partii umiarkowanie konserwatywnej, to jednak wśród samorządowców PO w mniejszych ośrodkach poglądy centroprawicowe i konserwatywne nie są odosobnione.

– Grzegorz Schetyna do ostatniej chwili robił bardzo wiele, by Tomczaka i Libickiego zatrzymać w ugrupowaniu. Walczył jak lew. Według mojej wiedzy obietnice, które im składał, były całkiem hojne, nie

wiem, czy wiarygodne. Ale bardzo chciał zachować ten chadecki parawan. Tyle że zabrał się za to jak to on, czyli spieszył sprawę – mówi nam jeden z posłów PO, będący w opozycji wobec obecnego lidera partii.

Parlamentarzyści Jacek Tomczak, Filip Libicki i Marek Biernacki zostali wykluczeni w styczniu 2018 r. z Platformy Obywatelskiej za głosowanie przeciw projektowi ustawy liberalizującemu ustawę aborcyjną. Na początku lipca przeszli do klubu parlamentarnego PSL. Tomczak, pytany przez nas, nie chce rozmawiać o negocjacjach ze Schetyną. – Platforma skręca w lewo, a ja nie widzę możliwości współpracy z panią Barbarą Nowacką czy ludźmi reprezentującymi taką opcję jak Paweł Rabiej. W formule partii centroprawicowej ludzie mający poglądy rodem z Ruchu Palikota słabo się mieszczą, więc jak można w ogóle mieć koncepcję, by ludzi skrajnej lewicy i konserwatystów połączyć w jednym bloku. To jest nie do zrobienia – uważa poseł Tomczak.

W dodatku Platforma boryka się z poważnymi wewnętrznymi problemami. Ogłoszony kilkanaście dni temu program PO, nazwany już szóstką Schetny, został skrytykowany przez część także bliskich tej partii komentatorów i niektórych polityków Platformy.

– Działacze i aktywni sympatycy PO są zdemotywowani, zdemobilizowani i nie bardzo wierzą w finalny sukces. To katastrofa. Wybory do PE miały dać wiatr w żagle, a tu połamane maszty! – mówił Bogdan Zdrojewski, były eurodeputowany PO w rozmowie z portalem Interia.pl. – Wyborcze listy Platformy w roboczej wersji powinny być zamknięte do końca czerwca. Jak słyszę, że będą gotowe w połowie sierpnia, to skóra cierpnie – dodawał.

Zdrojewski to jeden z najbardziej znanych polityków PO ustawiających się dziś w opozycji do Schetny po tym, jak nie znalazł się na listach wyborczych KE do europarlamentu. Dziennikarzom mówi, że docierają do niego sygnały o buncie w partyjnych dołach i marazmie w strukturach partii.

Podobne zdania słyszymy także od wielkopolskich samorządowców tej partii. Mówią nam, że są niedoceniani przez liderów ugrupowania, a także że czołowi politycy tej partii skupili się nie na budowie pozycji ugrupowania, ale na lansowaniu samych siebie.

– Odnoszę wrażenie, że Schetyna doskonale wie, że nie jest w stanie wygrać

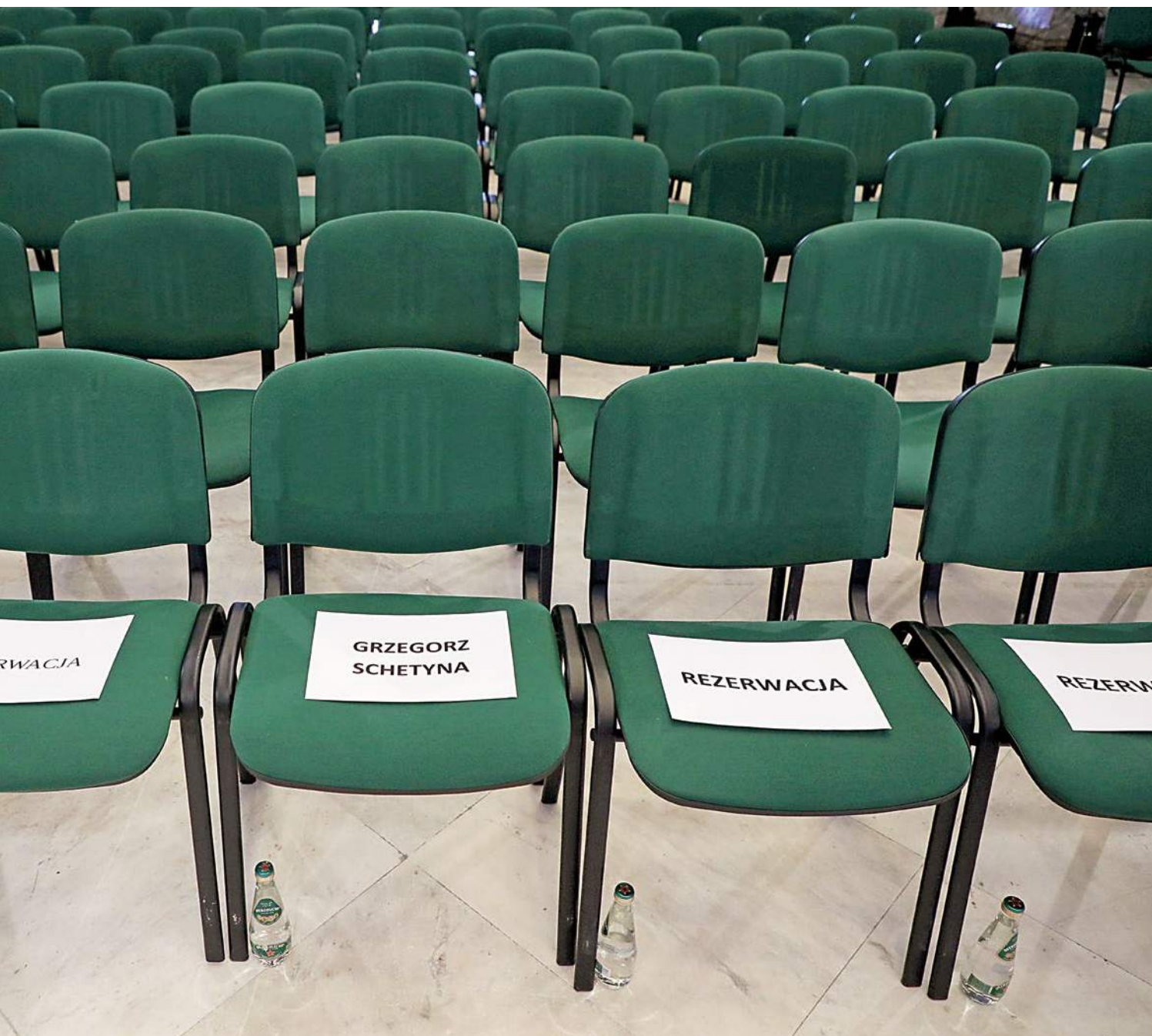
Wiele wskazuje na to, że już w trakcie kampanii wyborczej dojdzie do brutalnej walki niedoszłych koalicjantów, współtworzących do niedawna Koalicję Europejską: PSL i PO

FOT. PIOTR MOŁĘCKI/EAST NEWS



tych wyborów, że pogodził się z tym. Więc dzisiaj walczy wyłącznie o jak najlepszy wynik po to, by utrzymać pozycję lidera, by nie stracić kontroli nad partią. Kiepski wynik spowoduje, że coraz głośniejsze będą podważane jego kompetencje – ocenia Sergiusz Trzeciak, politolog i specjalista ds. marketingu politycznego. – Jeżeli partia zacznie mu się sypać od wewnątrz, zacznie pojawiać się opozycja, to scenariusz, w którym doły go zrzuca ze stanowiska, stanie się realny – dodaje.

Wewnętrzny konflikt już przebił się do mediów. Pod koniec czerwca, tuż po ogłoszeniu składu sztabu wyborczego



PO, doszło do ostrego spięcia między eurodeputowanym PO Adamem Szejnfel-dem, pilskim baronem tej partii, a po-
 stem Bartoszem Arłukowiczem, który
 na Twitterze wskazywał, kto i w którym
 regionie Polski będzie dla jego partii
 organizował kampanię wyborczą. „Myślę,
 że Waldy Dzikowski spokojnie ogarnie
 temat #wielkopolska” – napisał Arłuko-
 wicz. A oburzony Szejnfeld zareagował
 wpisem: „Hym, nie wiem do kogo to,
 bowiem my w Wielkopolsce, a już na
 pewno w Wielkopolsce Północno-
 -Zachodniej – w Okręgu Pilskim – zawsze
 byliśmy i jesteśmy »ogarnięci«. Zawsze

wygrywaliśmy i wygrywamy, nawet
 jeśli PO przegrywa” – odpisał Szejnfeld,
 dodając, że działacze z jego regionu na
 pewno nie potrzebują pomocy „kogoś
 spod Poznania”.

WOJNA NA SZTACHETY

Wiele wskazuje też, że już w trakcie
 kampanii wyborczej dojdzie do brutalnej
 walki niedoszłych koalicjantów współ-
 tworzących do niedawna Koalicję Euro-
 pejską: ludowców i PO. Działacze PSL już
 zaczęli proponować skonfliktowanym
 ze Schetyną działaczom PO miejsca na
 swoich listach wyborczych.

– Skręt w lewo Platformy jest już
 bardzo widoczny. Myśleliśmy, że doko-
 nają rewizji, ale jeśli słyszę o związkach
 partnerskich na konwencji, bo to się
 najbardziej przebiło do odbiorcy, to my
 tego nie wpisujemy do programu – mówił
 niedawno Władysław Kosiniak-Kamysz
 w telewizji TVN24. – To pokazuje, gdzie
 ustawia się nasz dawny partner koalicyj-
 ny – wytykał lider PSL.

– Fakt jest faktem, że ten, kto rozbija
 dzisiaj opozycję, działa tak, że Kaczyński
 może się z tego cieszyć – atakował z kolei
 ludowców poseł Marcin Kierwiński z PO.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Casting na prezydenta opozycji



Aleksandra Dulkiewicz, prezydent
Gdańska FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER



Maciej Pieczyński

Skoro nie Tusk, to kto? Dulkiewicz, Trzaskowski, Arłukowicz... Tak dziś prezentuje się giełda nazwisk potencjalnych „kandydatów na kandydata” opozycji na prezydenta

W czasie dyskusji nad projektem specustawy dotyczącej Muzeum Westerplatte i Wojny 1939 Aleksandra Dulkiewicz pytała patetycznie posłów PiS: – „1 stycznia 1950 r., kiedy szalały ciemne czasy stalinizmu, o których chyba mało kto chce pamiętać, to wtedy zostały znacjonalizowane zbiory muzealne publiczne, i wszelkie inne prywatne. Czy dzisiaj chcecie doprowadzić do tego samego?”

Zasugerowała wprost, że „czasy stalinowskie” są „wzorem” dla autorów projektu. Samorządowego zwierzchnictwa nad Westerplatte broni jak niepodległości, idąc śladem swojego poprzednika. „Państwo, które mieni się być polskim, ale jest de facto państwem jednej siły politycznej” – w taki „dyplomatyczny” sposób komentowała działania rządu.

KANDYDATKA Z GDAŃSKA

Aleksandra Dulkiewicz, wcześniej wiceprezydent, najpierw została mianowana komisarzem, a następnie wybrana na prezydenta Gdańska. Od samego początku niezmiennie kojarzona przede wszystkim jako współpracowniczka Pawła Adamowicza, która po śmierci swojego szefa wzięła odpowiedzialność za miasto.

W wywiadach ze wzruszeniem wspominała swojego szefa. „Wciąż nie mogę wejść do gabinetu Pawła Adamowicza” – wyznawała w rozmowie z Tomaszem Lisem. Szybko jednak żałobny ton ustąpił miejsca politycznej energii. Dulkiewicz

dała się poznać jako ostry, bezpardonowy, czasem niezwykle agresywny przeciwnik PiS. W swojej krytyce pod adresem władzy okazała się jeszcze bardziej radykalna niż Paweł Adamowicz. Zdaniem wielu komentatorów wszelkie granice przekroczyła, oskarżając PiS o... wzrost liczby prób samobójczych wśród młodzieży. „Tej wiosny niemal każdego dnia dostawałam wiadomości o tym, że są kolejne próby samobójcze w ostatnich klasach podstawówki czy gimnazjum... (skutkiem jest) dodatkowa presja, którą na tych ludzi wytworzył rząd PiS, nie boję się użyć tego słowa, bo to oni są autorami tej reformy... a każą odpowiedzialność ponosić nam, samorządom” – mówiła w programie „Polityka na ostro”, ku zdziwieniu prowadzącej Agnieszki Gozdyry, którą o sympatię do partii rządzącej trudno podejrzewać. Kacper Płażyński, szef gdańskiego klubu radnych PiS, komentując tę skandaliczną wypowiedź, użył sformułowania „rynsztek polityczny”.

– Jako przeciwnik „tuskoidów” życzyłbym sobie, aby oszaleli do końca i rzeczywiście wystawili w wyborach prezydenckich Aleksandrę Dulkiewicz – mówi „Do Rzeczy” Krzysztof Wyszczowski. Zdaniem legendarnego opozycjonisty, współzałożyciela Wolnych Związków Zawodowych, taka kandydatura byłaby ośmieszającą zarówno dla kandydatki, jak i popierającego ją środowiska politycznego. – Pani Dulkiewicz jest rzeczywiście bardzo gadatliwa, agresywna, ale jednocześnie



Rafał Trzaskowski, prezydent Warszawy
FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER



Bartosz Arłukowicz, europoseł
FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

często bezmyślna w miotaniu najróżniejszych oskarżeń. Dała się już poznać jako awanturница, która nie potrafi dyskutować w sposób merytoryczny – ocenia Wyszowski. – Kampania wyborcza trwa kilka miesięcy. Myślę, że w tym czasie pani Dulkiwicz zdążyłaby się kilka razy skompromitować. Pomimo młodego wieku powinna jak najszybciej odejść na polityczną emeryturę, dla własnego dobra. Niestety, jej nadmierna nerwowość utrudnia jej często właściwą ocenę sytuacji – dodaje.

Zupełnie inne zdanie o Aleksandrze Dulkiwicz ma inny, pochodzący z Trójmiasta działacz antykomunistycznej opozycji. – Przyjaźniłem się z jej tatą jeszcze w czasach opozycyjnych. Ja byłem w Wolnych Związkach Zawodowych, on w Ruchu Młodej Polski. Znam więc Olę, odkąd była małym dzieckiem. Już w liceum przejawiała przywódcze cechy. Była wtedy bardzo odważna, potrafiła ciężko pracować, rozmawiać z ludźmi – mówi „Do Rzeczy” Jerzy Borowczak, poseł PO. – Potem pracowaliśmy razem w Europejskim Centrum Solidarności. Absolutnie nie byłem zdziwiony, że Paweł Adamowicz mianował ją na swojego zastępcę – dodaje. Jego zdaniem Dulkiwicz jest człowiekiem dialogu. – Ola nie jest agresywna. Ona tylko broni samorządu przed zawłaszczeniem przez państwo – przekonuje Borowczak.

– Znałem dobrze Pawła Adamowicza. Nie zgadzałem się z jego poglądami. On miał jednak jakąś dozę taktu. Nie wyobrażam sobie, by zabierał swoje dzieci na Paradę Równości, której uczestnicy maszerują z obrazoburczymi transparentami, przedstawiającymi monstrancję przerobioną na waginę – zapewnia z kolei Krzysztof Wyszowski. Jerzy Borowczak jest za to przekonany, że tak czy inaczej Aleksandra Dulkiwicz nie będzie kandydatką na prezydenta. – Jak ją znam, będzie chciała zostać w Gdańsku – mówi. – Słyszałem te plotki, że Tusk chce ją namaścić na swoją kandydatkę na prezydenta. To bzdury – dodaje.

KANDYDAT Z WARSZAWY

O ile Dulkiwicz w medialnych spekulacjach przedstawiana jest jako kandydatka Tuska, o tyle kandydatem, najchętniej rozważanym przez Schetynę, miałby być Rafał Trzaskowski. Prezydentura w stolicy, do tego wygrana miażdżącą przewagą już w pierwszej turze, może być trampoliną do zawojowania ogólnopolskiej sceny politycznej. O ile Dulkiwicz jest doświadczonym samorządowcem, który wybił się

na niwę ogólnopolską w pewnym sensie przypadkiem, o tyle obecny wódtarz Warszawy od zawsze obracał się na warszawskich salonach. – Widać wyraźnie, że od samego początku prezydentury Rafał Trzaskowski lepiej się czuje poza granicami stolicy. Można odnieść wrażenie, że sprawowana funkcja jest dla niego czymś uciążliwym – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Olga Semeniuk, warszawska radna PiS. – Po pierwsze, Trzaskowski opuszcza kolejne sesje rady miasta. Po drugie, łamie obietnice dane wyborcom – dodaje. W jej opinii to właśnie Trzaskowski najpewniej zostanie kandydatem opozycji na prezydenta. Olga Semeniuk uważa jednak, że na sukces szanse ma niewielkie. – Co prawda, w wyborach samorządowych uzyskał bardzo dobry wynik. Teraz wątpliwe jednak, by mieszkańcy stolicy tak chętnie go popierali. Niezależnie od poglądów Trzaskowski po prostu zawiódł nawet własnych wyborców – twierdzi warszawska radna PiS. Oczywiście trudno się spodziewać, by codzienne problemy warszawiaków i sposób ich rozwiązywania przez Rafała Trzaskowskiego stały się najważniejszymi tematami ogólnopolskiej kampanii wyborczej. Semeniuk uważa jednak, że ostentacyjnie wycofując się ze swoich obietnic, prezydent stolicy okazał się zwyczajnie mało wiarygodnym politykiem. – Trzaskowski ładnie wygląda na billboardach, ale to nie wszystko. Zewnętrzny wizerunek nie sprawi, że wyborcy zapomną o jego nieudolności – uważa radna PiS.

KANDYDACI ZE SZCZECINA

Rozważana jest ponoć również kandydatura Bartosza Arłukowicza. Były polityk SLD, następnie minister zdrowia w rządzie Donalda Tuska, przez niechętnie PiS media ostatnio był bardzo mocno chwalony za dynamiczną i skuteczną kampanię wyborczą do Parlamentu Europejskiego. Walkę o głosy zachodniopomorskich wyborców wyraźnie wygrał z Joachimem Brudzińskim, „jedyneką” PiS. I to pomimo że startował dopiero z drugiego miejsca, za Bogusławem Liberadzkim.

– Bardzo by mnie cieszyło, gdyby to właśnie Arłukowicz został kandydatem opozycji na prezydenta. To by bowiem oznaczało drugą kadencję dla Andrzeja Dudy, który, pomimo pewnych zastrzeżeń, wciąż może liczyć na mój głos – mówi Dariusz Matecki, prawicowy bloger, obecnie szczeciński radny PiS. – Był fatalnym ministrem zdrowia. Tak fatalnym, że Platforma pozbyła się go bez żalu. Odchodził

w atmosferze afery – dodaje. Jego zdaniem dobry wynik Arłukowicza nie jest zasługą jego ponadprzeciętnej energii. – Szczecin, niestety, wciąż jest bastionem lewicy. Dlatego też, wydając dziesiątki milionów złotych na kampanię, wynajmując agencję PR, dobry wynik uzyskałby tu prawie każdy kandydat Platformy. Może poza Sławomirem Nitrasem, który okazał się politykiem wybitnie nieudolnym. Cieszyć się z sukcesu polityka PO w Szczecinie to tak, jakby PiS chwalił się świetnym wynikiem gdzieś na Podkarpaciu...

Spośród trójki „kandydatów na kandydatów” bodaj największe emocje, swoimi bezpardonowymi atakami na obóz rządzący, wywołuje prezydent Gdańska. Być może to wpłynie na jej pozycję w obozie opozycyjnym. Czy jednak na tyle, by wystartowała do walki z Andrzejem Dudą? – Nie sędzę. Pani Dulkiwicz jest zbyt nowa w polityce. Zbyt ufam w dojrzałość Polaków, zbyt szanuję wyborców, by sądzić, że zagłosują na kogoś tylko dlatego, iż wywołuje skrajne emocje. Poza tym wiosną przyszłego roku po tych emocjach śladu już nie będzie – komentuje prof. Kazimierz Kik. Polityk wyżej ocenia Bartosza Arłukowicza. – To bardzo inteligentny, zdolny polityk. Ostatnio jednak jest zbyt agresywny, wyraźnie patrzy z góry na wyborców. Poza tym, niezależnie od wszelkich osobistych zalet, najzwyczajniej w świecie nie jest reprezentantem tej opcji politycznej, którą w tej chwili w zdecydowanej większości popierają Polacy – dodaje prof. Kik.

Z trójki kandydatów, paradoksalnie, jak się wydaje, ostatnio najmniej słychać o Rafale Trzaskowskim. Zdaniem Kika prezydent stolicy nie tyle „przycichł”, ile „spokorniał”. – Najwyraźniej zrozumiał, jak trudną funkcję przyszło mu sprawować. Dlatego też krok po kroku rezygnuje z kolejnych obietnic wyborczych – mówi prof. Kik. Nie daje wielkich szans Trzaskowskiemu w walce z Dudą: – Prezydent Warszawy ma cechy osobowościowe, które bardziej odstręczają, niż przyciągają wyborców. Jest zbyt wyniosły. Taki samotnik, który patrzy na innych niby z cokołu, z poczuciem wyższości... Brakuje mu empatii.

Każdy z kandydatów, z perspektywy opozycji, byłby „nagrodą pocieszenia” w porównaniu z Tuskiem, który – jak podkreśla wielu komentatorów – jako jedyny miałby szansę w starciu z Andrzejem Dudą. – Tusk już wszystko w politycznym życiu osiągnął. Był już „prezydentem Europy”, po co mu prezydentura Polski? – zastanawia się prof. Kik.



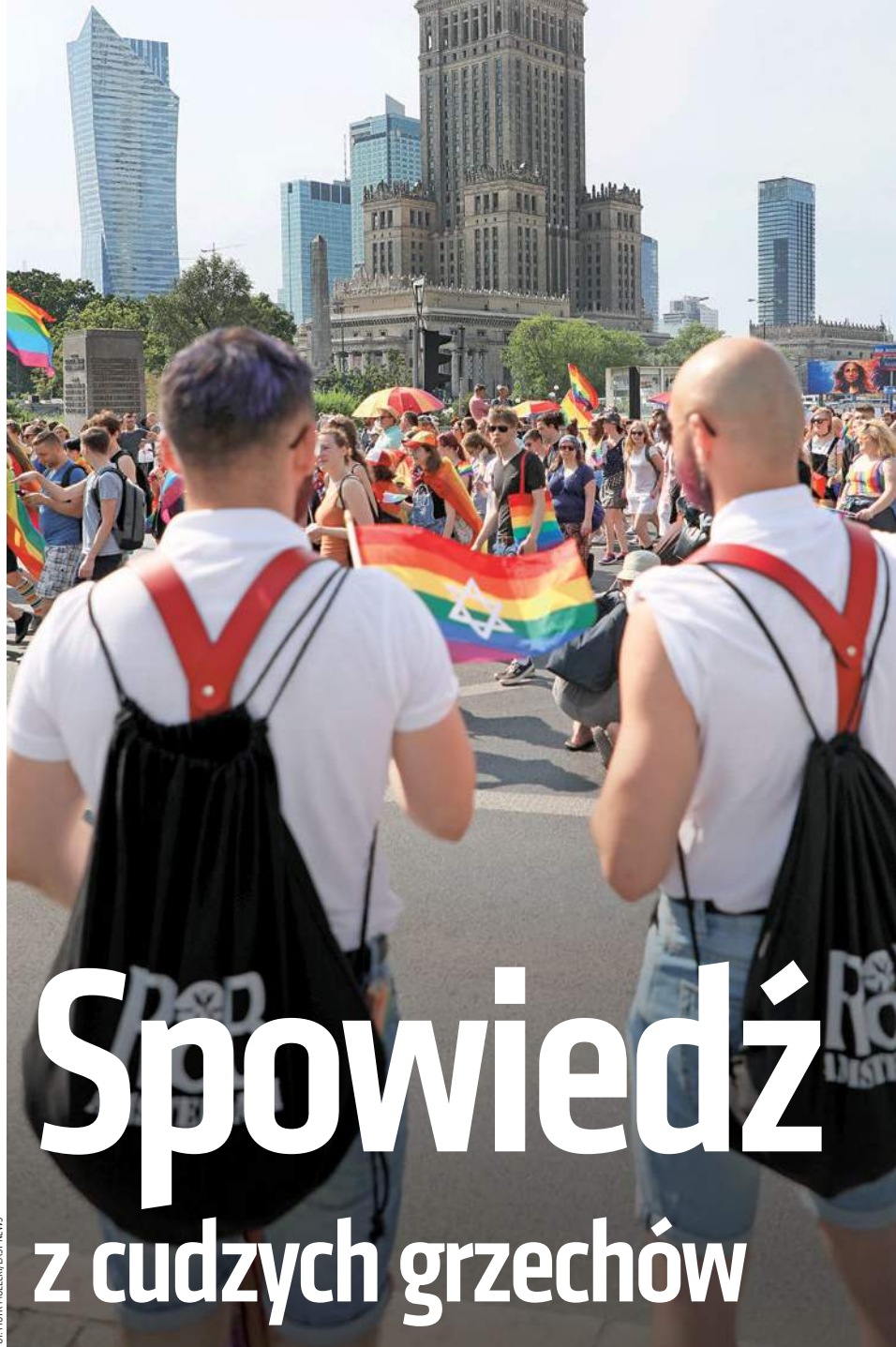
Rafał A. Ziemkiewicz

Jeśli, jak sugeruje nam dziś Zachód, miarą cywilizacji jest stosunek do osób LGBT, kobiet i mniejszości – to powinien on uznać wobec Polski swoją cywilizacyjną niższość

Tęczowe flagi na budynku ambasady USA w Warszawie bardzo niemiłe zaskoczyły polityków i zwolenników partii rządzącej. Mniejsza nawet o słynny już takt pani ambasador, która w rocznicę poznańskiego Czerwca zaleciła nam jako okazję do refleksji 50. rocznicę policyjnego nalotu na melinę nowojorskich homoseksualistów (bijatyka podjęta przez bywalców w jej obronie w budowanej dziś legendzie rewolucji LGBT stanowi odpowiednik „szturmu na Pałac Zimowy”). Po tym, jak sekretarz Pompeo wskazał nam jako wzorzec polskiej walki o wolność stalinowskiego ubeka, niewiele może ze strony naszych sojuszników zdziwić. Jednak historyczna nienawiść do Trumpa liberalnych elit i mediów, przez podobieństwo do antypisowskiej narracji mediów ITI czy RASP, wydawała się polskiej centroprawicy gwarancją, że w kwestiach światopoglądowych ma w nim niezłomnego sojusznika.

Zalecone przez prezydenta USA udrapowanie w tęczę LGBT ambasad, według oficjalnego oświadczenia, stanowić miało wyraz poparcia dla „światowej kampanii na rzecz depenalizacji homoseksualizmu”. Niestety, nikt z polskich przywódców nie powiedział na głos, że w Polsce kampania ta jest bezcelowa – jeśli rzeczywiście chodzi o prawa człowieka, a nie o promocję agresywnej ideologii podważającej tradycyjną organizację społeczną i odrzucającej chrześcijańskie normy moralne. To raczej USA powinny wywieszać sześciokolorowe banery na ambasadach w tych krajach, gdzie homoseksualizm jest uznawany za przestępstwo, jak w sojuszniczej Arabii Saudyjskiej (czego z jakichś przyczyn Amerykanie zaniechali).

W istocie: wywieszenie tęczy flag na ambasadach służyło oczywiście amerykańskiej polityce wewnętrznej. Nie wnioskując w jej meandry, szkoda, że nie



FOT. PIOTR KOŁCZYSZET NEWS

Spowiedź z cudzych grzechów

skorzystaliśmy z okazji, by zwrócić uwagę, iż upamiętniane wydarzenie nie ma odpowiednika w polskiej historii i mieć go nie mogło. Homoseksualizm bowiem, który w USA uznawany był za przestępstwo kryminalne jeszcze do roku 2003, przez państwo polskie, poczynając od naszego pierwszego Kodeksu karnego, nie był penalizowany nigdy. Nie można też znaleźć w naszej historii żadnych spektakularnych przypadków prześladowania homoseksualistów, w rodzaju pokazowego procesu Oscara Wilde’a w Wielkiej Brytanii czy osadzenia w belgijskim więzieniu Paula Verlaine’a za listy miłosne

do Arthura Rimbauda. Niestety, nasza historia nie dała homoseksualistom okazji do zorganizowania się przeciwko prześladowaniom, bo ich u nas nie prześladowano. Słowo „niestety” w poprzednim zdaniu jest cytatem z broszury Roberta Biedronia, napisanej przez niego w takim właśnie duchu, jeszcze gdy był przewodniczącym Kampanii przeciwko Homofobii.

Fakt, że przedwojenny polski Kodeks karny był jeśli nie pierwszym w ogóle, to na pewno jednym z pierwszych w Europie kodeksów niepenalizujących homoseksualizmu, nie jest na Zachodzie

znany. Tam w większości krajów depenalizacja nastąpiła późno – przeważnie w latach 70. (choć np. Niemcy obchodzili niedawno jej ćwierćwiecze). A ponieważ panuje potoczne przekonanie, że jesteśmy wobec Zachodu zacofani, odruchowo przypisuje się nam, że z problemem, który Zachód rozwiązał tak późno, my prawdopodobnie nie uporaliśmy się dotąd, a w każdym razie potrzebujemy pomocy Zachodu, aby się w pełni uporać.

Odżywa w takim postępowaniu wzorzec kolonialny. Nie jest przypadkiem, że w natrętnym „wychowywaniu” Polaków do „akceptacji dla osób LGBT” przodują kolejni ambasadorowie Wielkiej Brytanii. Wyraźnie czują się oni nad Wisłą współczesnymi, tęczowymi Rudyardami Kiplingami, po staremu dźwigającymi „brzemie białego człowieka”, czyli obowiązek ucywilizowania prymitywnych ludów tubylczych – zmieniono tylko znaki wartości, ale sam sposób myślenia ma się znakomicie.

„GLAJCHSZALTOWANIE” HISTORII

Perswadowanie Polakom, że muszą wzorem zachodnich przewodników „rekompensować” homoseksualistom dawne prześladowanie (przy odmowie przyjęcia do wiadomości, że nigdy go u nas homoseksualiści nie doznawali), jest częścią większego zjawiska projektowania na nas, jako domniemany materiał do „ucywilizowania”, swojej własnej historii i własnych przewin. Podobnie jak nie wiedzą, do jakiego stopnia odmiennie niż w ich własnych krajach, miotanych paroksyzmami protestanckiej pruderii i obyczajowego rygoryzmu, podchodzono do tych spraw w katolickiej Polsce – tak i nie przyjmują do wiadomości zachodni „modernizatorzy”, że pouczają w kwestii „praw kobiet” naród, który pełnię praw przyznał im natychmiast po odzyskaniu państwowego bytu, w roku 1918 – ponad pół wieku wcześniej niż w większości państw zachodnich.

Zachód uważa obowiązek przyjmowania „uchodźców” za wymóg historycznej sprawiedliwości, bo kraje ich pochodzenia były przecież poddane wieloletniej eksploatacji przez kolonizatorów. Także szaleństwo politycznej poprawności w kwestiach rasowych wynika, podobnie jak chora czołobitność wobec wszelkiego rodzaju seksualnych dziwadeł, z odreagowywania poczucia winy wobec kolorowych.

Aby podzielić się tymi winami z Polską i innymi krajami naszego regionu, dokonuje się na Zachodzie powszechne wprasowywanie naszej historii w unifikowaną dziś historię europejską. Myśl, że nasze dzieje były inne i np. nie było tu ani kolonializmu, ani rasizmu, nie jest w ogóle brana pod uwagę. W budowanych stereotypach, przejętych i upowszechnianych przez długie lata także przez elity III RP, ta odmienność jest likwidowana poprzez budowanie fałszywych analogii z winami Zachodu.

I tak np. polskie Kresy są postrzegane jako odpowiednik zachodnioeuropejskiego kolonializmu w Afryce czy Azji. To właśnie sprawia, że w III RP tradycja kresowa uważana jest za wstydliwą; wypycha się ją z pamięci i nie brak „autorytetów” zrównujących np. obecność Polaków na Litwie czy Ukrainie z osadnictwem francuskim w Algierii (wyraz takiej optyce dał swego czasu Grzegorz Schetyński, niestety jako oficjalny wówczas przedstawiciel polskich władz). To całkowity fałsz – kto się przy nim upiera, niech spróbuje wskazać jeden ród czy bodaj jedną osobę wywodzącą się z elit krajów skolonizowanych, która odegrała w dziejach metropolii rolę analogiczną do tej, którą w dziejach Polski odegrali Radziwiłłowie, Wiśniowieccy, Sapiehowie i inni możnowładcy wywodzący się z Wielkiego Księstwa Litewskiego i Rusi. W istocie dawna Rzeczpospolita była raczej próbą stworzenia Unii Europejskiej, podjętą 500 lat wcześniej niż na Zachodzie – o czym jednak lepiej nie mówić, bo próba ta dowiodła, że taki twór nie jest w stanie przetrwać.

Równie modnym fałszem i równie krzywcą niesprawiedliwością jest szukanie analogii między polskim nacjonalizmem a nacjonalizmem francuskim i angielskim czy szczególnie zbrodnictwem nacjonalizmem niemieckim. Pomimo używania tak samo brzmiącej nazwy nacjonalizm Dmowskiego, nacjonalizm narodu walczącego o byt i odzyskanie państwowości, a nie o dominację nad innymi, nie miał z nimi żadnych podobieństw – jeśli już takowych szukać, bardzo przypominał syjonizm, ten wczesny, z czasów Herzla. Antysemityzm, który istniał w Polsce, miał inne przyczyny, inaczej się objawiał i dawał zupełnie inne skutki niż antysemityzm zachodniej Europy.

Zachłystując się frazesami o szanowaniu różnorodności, dokonują zachodnie

elity gruntownego „zglajchszaltowania” historii Polski i całego regionu z własną – głównie pod kątem obojętnego podzielenia się z nami swoimi własnymi winami i powodami do wstydu, z moralnym szantażem: my już się od tego stanowczo odcięliśmy i przeprosiliśmy, i jeśli chcecie dostąpić cywilizacyjnego awansu, to musicie zrobić to samo.

POLAK POKORNY

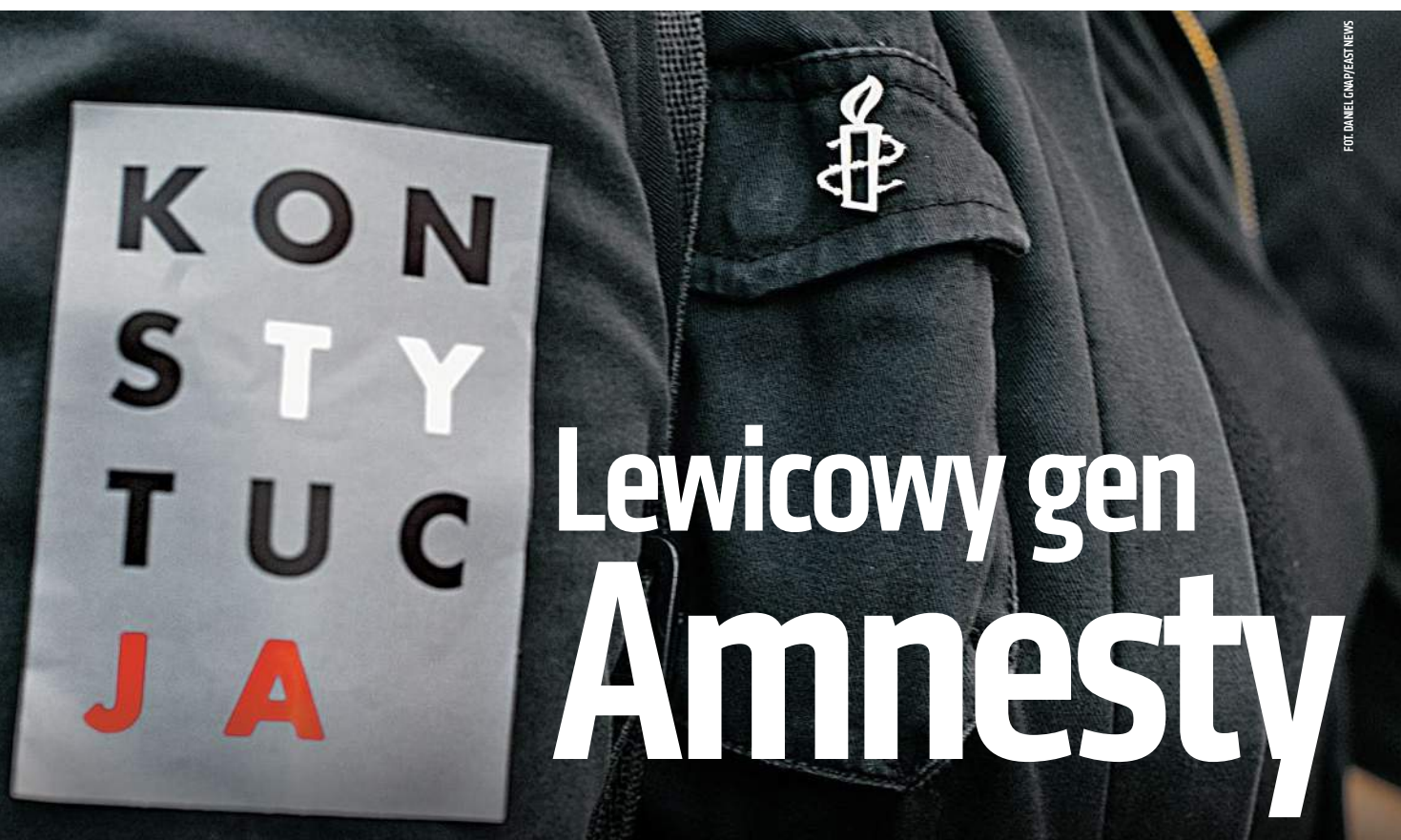
Do kogo mieć o to pretensje? Trudno w końcu wymagać od Zachodu, by pielęgnował pamięć o odmienności polskiej historii, skoro nie chcą czyścić tego sami Polacy. Przedstawiciele polskich elit, z którymi ma Zachód do czynienia od ćwierć wieku, w zdecydowanej większości przepełnieni są kompleksem niższości i, jak nazywał to Orwell, „odwróconym nacjonalizmem”, gorliwym przekonaniem, że wszystko, co własne, jest gorsze i musi być odrzucone, im szybciej, tym lepiej. Wychowani zostali i sami wychowują następców w gotowości potakiwania Zachodowi we wszystkim, a szczególnie w krytykowaniu Polski i wykazywaniu jej zacofania.

Elity nowe, zapowiedziane przez PiS, jeśli w ogóle naprawdę się tworzą – to na razie najwyraźniej problemu nie rozumieją i nie próbują żadnych poważnych rewindykacji. Zapewne dlatego, że nauczyć świat czegoś o parlamentaryzmie czy tolerancji religijnej dawnej Rzeczypospolitej jest nieopisanie trudniej, niż pomalować łódce albo rzucić greps o jedzeniu widelcem.

Kto miałby śmiałość odpowiedzieć pani ambasador USA, że fakt, iż polska policja nigdy nie rozpędała brutalnie gejowskich spotkań, nie wytępiłszy Indian ani nie wyzyskiwali Murzynów, a przed kobietą i Żydem międzywojenna Polska otwierała znacznie lepsze perspektywy niż USA jeszcze w latach 60., powinien skłaniać naszych sojuszników raczej do okazywania nam przy okazji takich rocznic szacunku niż pouczania?

„Platformers” tego oczywiście nie powie, bo sam tej historii nie zna, nie chce znać i gardzi nią w ciemno. „Pisowiec” nawet jeśli zna, ugryzie się w język, żeby się jeszcze sojusznicy za taką beczelność nie obrazili i nie zabrali nam Fortu Trump.

A jeśli nie chcą tego mówić Polacy, to nikt nie ma powodu ich wyręczać.



Lewicowy gen Amnesty

Gdy prześladowanie dotyka kogoś niemieszczącego się w ideologicznym spektrum Amnesty International (AI), organizacja milczy. Internauci kpią wtedy, że pewnie „nie zna wszystkich okoliczności”. Skąd wziął się ten przytyk? Gdy w 2018 r. w Wielkiej Brytanii rodzice dwuletniego Alfiego Evansa toczyli sądową batalię, aby pozwolono im utrzymać ciężko chore dziecko przy życiu, a brytyjski sąd nie godził się na wywiezienie Alfiego za granicę (oferty przychodziły między innymi z Włoch), AI pytano, dlaczego nie zajmie się sprawą. Na profilu organizacji pojawił się wtedy wpis: „Rozumiemy emocje związane ze sprawą Alfiego Evansa. Rozumiemy, że dla rodziców jest to tragiczna sytuacja i decyzja sądu może być dla nich nie do zaakceptowania. Nie mamy jednak możliwości zaangażowania się, nie mamy wglądu w sytuację chłopca i nie znamy wszystkich okoliczności”. To ostatnie stwierdzenie pozostało w pamięci wielu.

Amnesty nie miała jednak wątpliwości co do znajomości wszystkich okoliczności, gdy zajmowała stanowisko na przykład w sprawie Elżbiety Podleśnej, którą zatrzymano w związku z podejrzeniem dokonania przestępstwa obrazy uczuć religijnych (art. 196 k.k.) poprzez „upiękśnienie” wizerunku Matki Bożej



Łukasz Warzecha

Amnesty International porzuciła pozory, zwłaszcza w Polsce. Z organizacji, która kiedyś, mimo lewicowego odchyłu, starała się zajmować po prostu łamaniem praw człowieka, stała się zacietą jacejką opozycji

i rozklejenie go m.in. na śmietnikach. Wtedy AI zareagowała natychmiast: „Wzywamy polskie władze do zaprzestania nękania pokojowych demonstrantów i aktywistów. Władze muszą powstrzymać się od niezgodnego ze standardem międzynarodowym ograniczania prawa do swobodnego wyrażania swoich poglądów”. Jakim cudem AI uznała, że ma za mało informacji w sprawie Alfiego, o której obszernie pisały media na całym świecie, podając także detale przebiegów sądowych i kwestii medycznych, za to w sprawie, w której z całą pewnością nie miała wglądu w akta, zabrała głos z taką stanowczością?

TĘCZOWA SIĘĆ

Odpowiedź jest prosta: AI ma przede wszystkim agendę ideologiczną, a właści-

wie wprost polityczną, której zarys jest całkowicie jasny. Jeśli ktoś ma co do tego jakiegokolwiek wątpliwości, to niech zajrzy na stronę polskiego oddziału AI, gdzie znajdzie wezwanie: „Stań w obronie niezależnych sądów! Wezwij władze Polski do prowadzenia reformy sądownictwa w zgodzie z Konstytucją RP i prawem międzynarodowym!”. Ta kampania ma się nijak do podstawowej misji Amnesty. Spór wokół reformy sądownictwa jest czysto polityczny. Amnesty nie ma kompetencji do orzekania, co jest zgodne z konstytucją czy prawem międzynarodowym. Przede wszystkim jednak jako organizacja zajmująca się wciąż w teorii prawami człowieka w tym wypadku nie wskazuje żadnych konkretnych naruszeń tychże w wyniku zmian w ustroju wymiaru sprawiedliwości w Polsce.

Najzwyczajniej kopiuje w tej sprawie narrację twardej opozycji czy KOD.

To wszystko nie jest jednak dla Amnesty całkowicie nowe. Degeneracja tej organizacji zaczęła się już dawno. Zgodnie z lewicową definicją praw człowieka już lata temu AI zaczęła się zajmować kwestiami takimi jak urojone prześladowania, o których trąbiły środowiska LGBT. Jakie to prześladowania? Amnesty znana jest m.in. z corocznego maratonu pisania listów w obronie zagrożonych i potrzebujących. Piszący mogą sobie wybrać spośród paru przypadków prezentowanych przez organizację. Sensu to nie ma żadnego, a w każdym razie nie więcej niż imprezy w rodzaju „Sprzątania świata” czy „Godziny dla Ziemi”, ale stało się znakiem firmowym AI. I oto w 2014 r. Amnesty na liście „prześladowanych” umieściła Norwega, który twierdził, że jest kobietą. Jego „prześladowanie” polegało na tym, że straszliwie nietolerancyjne norweskie władze odmawiały uznania Norwega za Norweżkę bez przeprowadzenia operacji zmiany płci.

Dzisiaj sprawy LGBT zajmują w agencji AI poczesne miejsce. Organizacja ma nawet specjalną „tęczową sieć”, skupioną jedynie na tych kwestiach.

WYMOWNE MILCZENIE

Co ciekawe, poszczególne krajowe oddziały AI mają swoją specyfikę działania. Wśród pilnych akcji, do których zwywa polski oddział AI, nie ma dziś ani jednej dotyczącej na przykład prześladowania chrześcijan na Bliskim Wschodzie. Nie było żadnego zainteresowania kwestią ataku na ks. Ireneusza Bakalarczyka, prawdopodobnie motywowanego nienawiścią wobec religii i księży. Jest za to apel, aby powstrzymać „niesłuszne postępowania dyscyplinarne” wobec polskich sędziów. To już kompletne kuriozum: mówimy o skomplikowanej procedurze prawnej, w którą AI nie ma żadnego wglądu. Aprioryczne twierdzenie, że postępowania dyscyplinarne są niesłuszne, mogłoby paść z ust polityka opozycji, ale nie powinno być tematem kampanii organizacji zajmującej się prawami człowieka. Tymczasem brytyjski oddział AI w ubiegłym roku zajął się m.in. chrześcijanami skazanymi na długoletnie więzienie w Iranie za praktykowanie swojej wiary.

Klucza do uczynienia z polskiego AI sprzymierzeńca opozycji należy być może szukać w osobie szefowej oddziału.

Jest nią posiadająca polskie obywatelstwo Serbka z Mostaru, Draginja Nadaždin, która sama o sobie mówi, że czuje się przede wszystkim „obywatelką świata”. Uciekinierka z byłej Jugosławii nosi w sobie wojenną i uchodźczą traumę – doświadczenie dzisiaj obce większości Polaków. W zeszłorocznym wywiadzie w „Newsweeku” deklarowała, że „dla Amnesty nie jest ważne, kto rządzi w Polsce”. Trudno w to uwierzyć, porównując stopień zaangażowania organizacji w działalność ewidentnie opozycyjną teraz i brak aktywności za PO, gdy uderzano choćby w wolność słowa.

Wywiad w „Newsweeku” przeprowadził Jacek Pawlicki i była to dla Nadaždin rozmowa łatwa oraz przyjemna. Inaczej rzecz się miała z głośnym wywiadem, który z szefową polskiej AI w 2016 r. przeprowadził Robert Mazurek. Tam Nadaždin w żenująco nieudolny sposób tłumaczyła się, dlaczego AI nie zajmowała się ani akcją „Widelec” (2008 r., akcja przeciwko kibicom piłkarskim), ani nalotem ABW na „Antykomora”, ani najściem tej samej agencji na redakcję „Wprost” w 2014 r. Jej wyjaśnienia sprowadzały się do tego samego, co AI stwierdziła w sprawie Evansa: nie mieliśmy dość danych oraz nie możemy przecież zajmować się wszystkim.

Czy jednak Amnesty International nie nosiła w sobie od początku lewicowego genu? AI założył w roku 1961 brytyjski prawnik Peter Benenson, przez lata związany z Partią Pracy. Prawdopodobnie powodem, dla którego Benenson podjął decyzję o stworzeniu Amnesty, była informacja o aresztowaniu w Portugalii dwóch studentek, które wzniosły toast za wolność. Działo się to w okresie dyktatury Antonio Salazara, zakończonej najpierw ustąpieniem dyktatora w roku 1968, a potem rewolucją goździków w roku 1974.

Tyle że dyktatura Salazara na tle innych reżimów była wyjątkowo łagodna. A tło było bogate. Gdy Benenson zaczął działalność, trwały dyktatura Franco i reżimy, często lewicowe, w Ameryce Południowej, nieporównanie krwawsze od Salazarowskiego. W 1973 r. doszło w Chile do przewrotu Pinocheta, poprzedzonego bezhołowiem i prześladowaniami u schyłku rządów komunisty Salvadora Allende. Tym się jednak AI nie zajmowała. Natomiast jeszcze w roku przewrotu działacze Amnesty wpuścił do Chile sam świeżo zainstalowany reżim Pinocheta, co pozwoliło organizacji sporządzić raport o naruszeniach praw człowieka w tym

kraju, lecz jedynie już za rządów antykomunistycznych wojskowych.

Przed wszystkim jednak lata 60. były czasem, gdy dokonano wielu komunistycznych zbrodni. Benenson rozpoczynał działalność od krytyki względnie łagodnego reżimu o konserwatywnym charakterze, podczas gdy cztery lata wcześniej Sowietci brutalnie stłumili węgierskie powstanie, a siedem lat po założeniu AI wjechali czołgami do Czechosłowacji. W 1966 r. Mao Zedong rozpoczął rewolucję kulturalną, która trwała dekadę i pociągnęła za sobą śmierć lub prześladowania milionów ludzi. AI wtedy nie była słyszana. Na usprawiedliwienie można by powiedzieć, że to czas, gdy była jeszcze wciąż względnie młodą organizacją – choć to naciągane wyjaśnienie.

Spójrzmy zatem na inny przykład: RPA. Amnesty była jednym z najzaciecierzych krytyków systemu apartheidu. Straciła zainteresowanie sytuacją w RPA po jego upadku. W ostatnich latach, gdy rozpaczliwa staje się sytuacja białych farmerów, którym rząd grozi wywłaszczeniem i którzy są regularnie masakrowani przez brutalnych bandytów, rabujących odosobnione farmy (te przestępstwa noszą też znamiona popełnianych z nienawiści rasowej) – Amnesty International nie widzi potrzeby reakcji. Może znów nie zna wystarczająco dobrze sytuacji.

BELKA W OKU

Tymczasem organizacja, gardłująca o strasznym losie LGBT i polskich sędziów powinna zająć się sama sobą. Raport KonTerra Group – specjalistycznej firmy audytorskiej, zajmującej się analizą środowisk pracy w dużych organizacjach – opublikowany na początku tego roku, a zamówiony po skargach pracowników AI, przynosi druzgocące wnioski. Jest tam mowa o toksycznym środowisku pracy w połączeniu z zastraszaniem, publicznym poniżaniem, dyskryminacją i nadużyciami pozycji. Menedżerowie mieli podczas zebrania nazywać pracowników „gównem” i pokrzykiwać, że nie nadają się na stanowisko, które obejmują. Żeby było śmieszniej – a może straszniej – wiele zarzutów dotyczy dyskryminacji wobec członków mniejszości seksualnych, mniejszości rasowych czy kobiet. Czyli dokładnie tego, z czym AI oficjalnie walczy.

Można by rzec: Medice, cura te ipsum, a od nas się odczep.

Dziewczynka czy chłopiec?



Agnieszka Niewińska

Performer zamieścił w sieci materiał o Zosi, która chce być Bartkiem. Trudna rodzinna sytuacja była okazją do uderzenia w olimpijkę Zofię Klepacką. Hejt niszczy też fundację, która pomogła dziecku, zbierając fundusze na leczenie jego autyzmu

Ten film ma już MILION wyświetleń, tu na FB i 230 000 na YT – ogłosił sukces materiału zatytułowanego „Wojna z LGBT: Klepacka vs. Bartek. Kto zwycięży?” jego autor Rafał Betlejewski.

Na Facebooku nazwał siebie artystą, na YouTube pisze, że jest „znanym

performerem, prowokatorem i dziennikarzem”. Materiał, który 8 lipca opublikował w sieci, rzeczywiście wywołał burzę.

Osią opowieści są losy pięcioletniego dziecka, które urodziło się jako Zosia. Teraz chce być traktowane jak chłopiec i nazywane Bartkiem. Betlejewski w swoich przekazach w sieci uporczywie nazywa dziecko „Bartkiem LGBT”. W jego materiale roześmiane dziecko robi miny do kamery, śmiało odpowiada na pytania, potwierdzając, że chce być Bartkiem, a nie Zosią.

– Jak się wymyśla imię, opowiedz mi o tym – pyta Betlejewski.

– Byłem w samochodzie i poczułem, że jestem Bartek – odpowiada dziecko.

Dorota Świercz, mama malucha samotnie wychowująca dwójkę dzieci, wyjaśnia w materiale, że do pewnego momentu miała dwie córki, a od mniej więcej roku ma córkę i syna. Akcja filmu

przenosi się do przedszkola dziecka, którego kadra nie zdecydowała się na nazywanie go Bartkiem. Świercz pokazuje dyrektor uzyskane opinie o tym, że jej dziecko „ma męską tożsamość płciową”, „funkcjonuje jako chłopiec” i w taki sposób winno być traktowane. – Dajmy czas, żebyśmy pewne rzeczy wyjaśnili, żebyśmy nie zrobiły krzywdy dziecku – odpowiada Agnieszka Orłowska, dyrektor placówki. Sprawą ma się zająć sąd.

BARTEK LUB „KWIATUSZEK”

Z materiału nie dowiadujemy się, że u dziecka zdiagnozowano autyzm i że jeszcze miesiąc temu na warszawskim Ursynowie prowadzona była zbiórka na Zosię z autyzmem. Na światło dzienne po opublikowaniu filmu wydobyli to internauci. Na portalu haloursynow.pl wciąż można znaleźć artykuł o samotnej matce dwóch córek, która z końcem czerwca miała trafić na ulicę. Rozmowę



FOT. ADRIAN STOK

zrodził się w związku z tym, jak potraktoowało nas przedszkole – mówi. – Przed miesiącem nie wiedziałam jeszcze, że przedszkole zgłosiło sprawę do sądu. Siedem miesięcy czekałam na to, by wzięło pod uwagę zalecenia lekarzy i używało w stosunku do dziecka imienia Bartek albo chociaż zwracało się do niego bezosobowo np. „Słoneczko”, „Kwiatuśku”. Dyrekcja nic nie robiła. Przez pół dnia dziecko było Zosią, a przez drugie pół Bartkiem. Psycholodzy zwracali mi uwagę, że szkodzi to psychicznie dziecku. Zdecydowałam się wystąpić w mediach, bo nie miałam nic do stracenia. Do mojego domu przeszli już kurator, pracownik społeczny – opowiada. Twierdzi, że długo się zastanawiała, czy pokazać dzieci. Jednak zaprosiła kamerę do domu. W materiale dwójka maluchów pokazała twarze. – Nie chciałam mówić o Bartku ogólnikowo, uznałam, że uświadomię innym, jak wygląda i jak się zachowuje dziecko transpłciowe. Mam nadzieję, że będzie dumny z tego, że pomógł innym dzieciom lub ich rodzicom.

Specjalne zaświadczenie do przedszkola o transpłciowości wystawił w grudniu diagnozujący dziecko seksuolog dr Stanisław Dulko. – Bartek już od trzeciego roku życia wykazywał cechy dziecka transpłciowego – zaznacza Dorota Świercz. Bierze pod uwagę to, że jej dziecko za parę lat może jednak postrzegać się jako kobieta. – Mnie nie chodzi w tej chwili o farmakologiczną terapię czy korektę płci Bartka, tylko o zmianę imienia.

Mniej wątpliwości co do przyszłości pięciolatka zdaje się mieć Rafał Betlejewski. Kiedy pytam, czy nie wahał się przed ujawnieniem wizerunku dziecka, odpowiada, że przekonało go następujące rozumowanie: – Ujawniamy po prostu jego płeć, nic więcej. Czy to naprawdę zbrodnia? Przecież to podstawowa informacja o każdym z nas. Pani nie wstydzi się tego, że jest kobietą, tak jak ja nie ukrywam, że jestem mężczyzną. Dlaczego więc o Bartku nie moglibyśmy powiedzieć publicznie, że jest chłopcem? Przecież to jego płeć – argumentuje. – Mam nadzieję, że za parę lat, gdy będzie starszy, Polska będzie w innym miejscu i cała ta wojna z LGBT będzie już tylko ponurym wspomnieniem. A on sam będzie mógł z dumą spojrzeć na ten film i powiedzieć o sobie: jestem bohaterem wspinał się na dach – wybiega w przyszłość performer.

Pozostaje pytanie, czy diagnozy dziecku nie postawiono przedwcześnie. Prosiłbym o opinię dwóch seksuologów, ale oficjalnie

nie chcieli komentować diagnozy dr. Dulki – ze względu na zawodowe zależności i rozgłos wokół sprawy. – Dziwi mnie postawienie takiej diagnozy – nie tylko ze względu na wiek dziecka, lecz także zwłaszcza na rozpoznany autyzm – mówi jeden z naszych rozmówców, zastrzegając anonimowość.

SURFERKA NIE ZNA RODZINY

Tytuł materiału Betlejewskiego zapowiada, że chodzi o walkę między pięcioletnim dzieckiem a windsurferką Zofią Klepacką. Olimpijka w lutym skrytykowała podpisanie przez prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego karty LGBT, po czym wokół niej rozpetęła się burza.

Betlejewski z kamerą zaczął ją na uroczystości wręczenia tytułu honorowego członka Światowego Związku Żołnierzy AK. Dopytujemy Dorotę Świercz o to, czy zna Zofię Klepacką, czy kiedykolwiek rozmawiała, czy Klepacka zaatakowała jej dziecko. – Nie znam pani Klepackiej, ale chciałabym z nią porozmawiać, pokazać jej Bartka. Chciałabym jej powiedzieć, że moja rodzina też jest katolicka, a Bartek nie jest pomyłką Pana Boga. Na pytanie o mojego transpłciowego syna powiedziała, że to za wcześniej, by wiedzieć, czy woli chłopców, czy dziewczynki – żali się Świercz.

Wypowiedź tę można usłyszeć w oddzielnym filmie, który zamieścił Betlejewski. Opowiada surferce o pięcioletniej Zosi, która chce być Bartkiem. – Od tego są rodzice, żeby odpowiednio zareagować – odpowiedziała Klepacka. Tłumaczyła, że nie ma nic przeciwko osobom homoseksualnym, tylko nie odpowiadają jej ich postulaty.

Zdaniem Kazimierza Przeszowskiego, wiceprezesa Centrum Życia i Rodziny, Zofia Klepacka w materiale pojawiła się nieprzypadkowo. – Bezdyskusyjnie rodzina zmagająca się z poważnymi trudnościami została tu potraktowana instrumentalnie, wykorzystana do uderzenia w Zofię Klepacką. Szkoda, że dzieje się to kosztem małego dziecka. Nawet w materiałach WHO jest mowa o tym, że rozpoznanie tożsamości płciowej czy preferencji seksualnych powinno się przeprowadzić ok. 15. roku życia, a tu mamy pięciolatkę – ocenia.

Dorota Świercz nie sądzi, żeby trudnościami z jakimi się boryka, zostały wykorzystane do uderzenia w Klepacką. – Ja raczej współczuję pani Zofii, która nie ma wiedzy, myli transseksualistów z transwestytami. To ona została wykorzystana do walki z osobami LGBT – odpowiada.

z matką dziecka o tych kontrowersjach Betlejewski zamieścił tydzień później.

Pytamy Dorotę Świercz, jak to jest, że jeszcze miesiąc temu potrzebowała wsparcia dla pięcioletniej Zosi z autyzmem, a teraz okazało się, że chodzi o transpłciowego Bartka. Głosy o tym, że to podważa jej wiarygodność, płyną od części internautów, mieszkańców Ursynowa.

– Nie dziwię się temu, doskonale to rozumiem. Wyjaśnienie sprawy jest jednak proste. Uznałam, że dla społeczeństwa temat transpłciowości jest trudny do przyjęcia. Nie wiedziałam, z jakim spotkam się odbiorem. Nie chciałam także stawiać fundacji In Via, która organizowała zbiórki, w trudnej sytuacji. Bartek ma dwa rozpoznania: autyzm i transpłciowość. W tamtej sytuacji uznałam, że to nie jest jeszcze czas na mówienie o transpłciowości – tłumaczy „Do Rzeczy” Świercz.

Co się zmieniło przez ostatni miesiąc? – Pomysł na wzięcie udziału w reportażu



Dorota Świercz ze swoim pięcioletnim dzieckiem. FOT. SCREEN Z FILMU RAFAŁA BETLEJEWSKIEGO

■ Betlejewski zaprzecza, że umieścił Klepacką w materiale, aby podbić jego klikalność. – To nie musiała być pani Klepacka. To mógł być ks. prof. Paweł Bortkiewicz, to mógł być redaktor naczelny Paweł Lisicki, to mógłby być ojciec Rydzysk lub jeden z wielu ideologów prawicy. To nie tyle chodzi o zestawienie pani Klepackiej z Bartkiem, a zestawienie światopoglądu z dzieckiem. Po prostu, polscy konserwatyści dali się wpędzić w ślepy zaułek walki z tak zwaną ideologią LGBT – twierdzi i sięga po emocjonalne argumenty. – Cała ta wyrafinowana konstrukcja ideologiczna, w której LGBT ma być przerażającym wrogiem, nagle rozbija się o takie właśnie małe i bezbronne dziecko.

LINCZ NA FUNDACJI

Na drugim planie historii Zosi, która chce być Bartkiem, jest jeszcze inny bohater: fundacja i klinika In Via „W drodze do zdrowia”, którymi kieruje psychiatra i seksuolog Magdalena Fudała-Janc. Dorotę Świercz poznała kilka lat temu i od tamtej pory ją wspierała. W rozmowie z nami przyznaje, że przyglądając się Zosi i jej zachowaniu, sama namawiała Dorotę Świercz na konsultacje u dziecięcego psychologa czy psychiatry, diagnozowanie rozwoju dziecka.

– Poruszyła mnie trudna sytuacja ekonomiczna pani Doroty. Prosiła o wsparcie leczenia i rehabilitacji córki. Kiedy przyszła z informacją, że burmistrz Ursynowa zgadza się na zorganizowanie zbiórki na rzecz Zosi, postanowiłam, że pomożemy. Nie miałam doświadczenia w prowadzeniu tego rodzaju zbiórek. Fundację założyłam z myślą o wsparciu finansowym w leczeniu i terapii naszych pacjentów. Przyjmuję wielu pacjentów, fundacja była w uśpieniu, ale zdecydowaliśmy się pomóc pani Dorocie. Wsparcie osób z zaburzeniami psychicznymi jest w statucie fundacji. Uznałam, że możemy zebrać pieniądze na rzecz Zosi z auty-

zmem – opowiada Magdalena Fudała-Janc.

Na rzecz Zosi udało się zebrać ok. 3,5 tys. zł. O tym, że kręcony jest reportaż, Fudała-Janc dowiedziała się w przeddzień zbiórki na Dniach Ursynowa. – Nie chciałam brać w nim udziału, bo nie wiedziałam, w jakich intencjach był kręcony – mówi.

Po tym, jak w sieci ukazał się materiał autorstwa Betlejewskiego, w klinice i fundacji In Via urywały się telefony. Ludzie pytali, czy Bartek LGBT to Zosia z autyzmem, na którą fundacja zbierała pieniądze. In Via wydała oświadczenie, w którym poinformowała, że wszystkie wpłaty na rzecz Zosi zostały przekazane jej mamie. „Wyemitowanie reportażu, który w naszej ocenie jest tendencyjny, nieprofesjonalny, atakujący panią Klepacką, Kościół katolicki – który jako pierwszy wspomagał Zosię – jest dla nas trudne. Dziecko/pani Dorota zostali wykorzystani do ideologii LGBT” – można było przeczytać w oświadczeniu Fundacji.

Magdalena Fudała-Janc została też zaproszona do programu w internetowej telewizji wPolsce.pl, gdzie wyjaśniała, że wiedziała od pani Doroty o drugiej diagnozie w kierunku transpłciowości. Zwracała uwagę, że w tym wieku nie stawia się takiej diagnozy, a dziecko należy obserwować i w dalszym ciągu diagnozować.

To nie spodobało się Betlejewskiemu. „Być może najsmutniejsza jest tutaj rola pani, która prowadzi fundację In Via, która zna Dorotę, mamę Bartka, i która mimo to szkaluje ją na wizji. To już zostanie na zawsze” – skomentował. To wywołało lawinę ataków na fundację i osoby w niej pracujące. Betlejewski skopiował z prywatnej strony facebookowej Magdaleny Fudały-Janc memy i wpisy, w których wyraża sprzeciw wobec profanacji wartości ważnych dla katolików na paradyzie równości. Swoich fanów informował, że jest homofobiczna i dlatego zbierała fundusze

na pomoc Zosi z autyzmem (choć co innego mówi sama Świercz). – Wylał się na nas straszliwy hejt. Musieliśmy zamknąć stronę na Facebooku. W Google w ostatnich dniach zamieszczono na temat kliniki dziesiątki negatywnych komentarzy, straciłam wybitnych terapeutów, których nazwiska musiałam usunąć ze strony, by nie narazić ich na ataki. Na Messengerze dostaję wiadomości, w których jestem wyzywana w najgorszy sposób. Pan Betlejewski zniszczył kilka lat mojej pracy. Moje komentarze na jego stronie są usuwane – opowiada Fudała-Janc. Dodaje, że teraz na sobie testuje to, czego uczy swoich pacjentów na temat radzenia sobie z hejtem. – Wierzę, że prawda sama się obroni – mówi.

Betlejewski nie zgadza się z opinią, że podsycy hejt. – Szefowa tej fundacji opublikowała na Facebooku rzeczy, które stoją w jawnej sprzeczności z wiedzą medyczną na temat osób homoseksualnych, publikowała opinie mogące upokarzać ludzi o innej orientacji oraz transpłciowych. Myślę, że powinna się z tego tłumaczyć przed swoimi pacjentami – twierdzi.

Dorota Świercz w rozmowie z nami zaznacza, że temat fundacji In Via jest dla niej bolesny. – O pani Magdalenie Fudale-Janc mogę mówić tylko dobrze, wielokrotnie pomagała mojej rodzinie. Nigdy nie spotkałam się z jej strony z homofobią – mówi.

FUNDUSZ DZIECI LGBT

W materiale Betlejewski zachęca widzów, by wyciągnęli karty kredytowe i wspomogli rodzinę Świerczów. Na pomagam.pl zebrano blisko 75 tys. Zbiórka na „Bartka LGBT” może być dopiero początkiem. W wywiadzie ze Świercz, opublikowanym 15 lipca, Betlejewski, zachęcony sukcesem, mówi już o utworzeniu specjalnego „Funduszu dzieci LGBT”, którym miałyby rozporządzać Dorota Świercz. Już odebrała ok. tysiąc wiadomości od osób, które – jak mówi – zmierzły się z problemem transpłciowości, i wyrasta na autorytet w temacie.

– Środowiska LGBT potrzebują tak zwanych prawdziwych historii. W ten sposób pokazują, że ich działania służą jakiejś konkretnej osobie znanej nam z imienia i nazwiska. W efekcie chodzi o podważenie norm, porządku prawnego i społecznego – ocenia Przeszowski. – W historii małej Zosi można dopatrzeć się analogii do Desmonda – małoletniego drag queen, który stał się celebrytą w amerykańskim środowisku LGBT – mówi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

XXIX Forum Ekonomiczne

3 - 5 WRZEŚNIA 2019, KRYNICA-ZDRÓJ



Województwo Małopolskie
Główny Partner
Forum Ekonomicznego

EUROPA JUTRA. SILNA, CZYLI JAKA?



Najważniejsza konferencja organizowana
od prawie 30 lat w Europie Środkowo-Wschodniej.



Ponad 4000 gości - liderów świata polityki
i biznesu z ponad 60 krajów z Europy, Azji i USA.



Ponad 150 debat - makroekonomia, biznes
i zarządzanie, energetyka, innowacje.



Najbardziej znane miejsce spotkań
elit gospodarczych w tej części Europy.



Znajdź nas
na Facebooku!

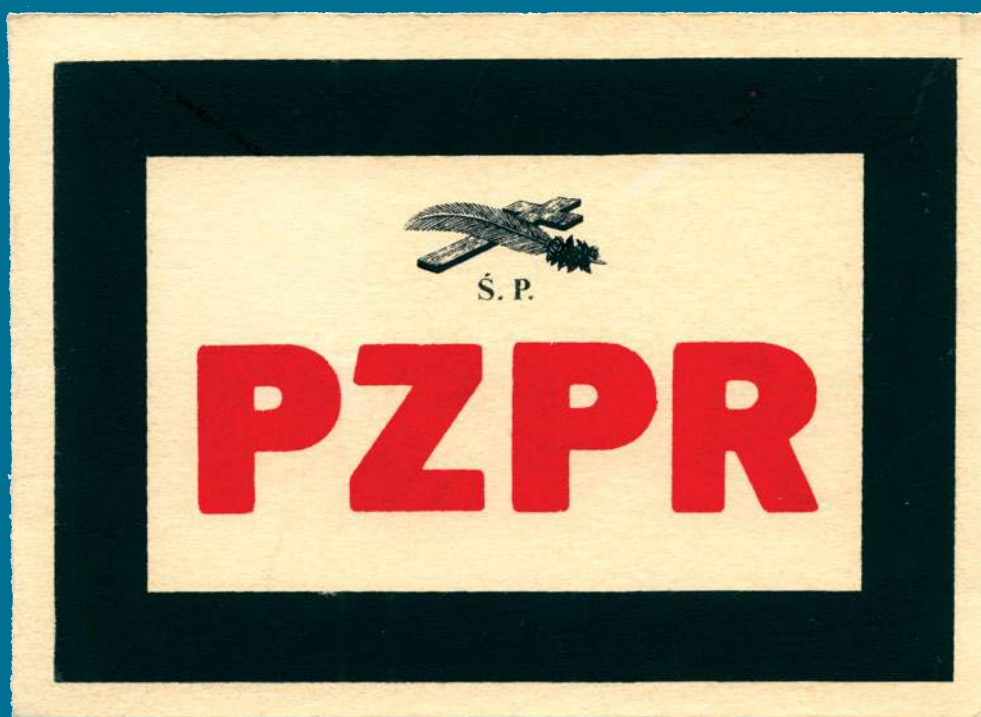


■ www.forum-ekonomiczne.pl
■ kontakt: forum@isw.org.pl

Aleksander Małachowski: „PRL to szczytowe osiągnięcie tysiącletniej historii Polski” (1993)

Czar PRL-u

[RETROSPEKCJA NIENOSTALGICZNA]



Bohdan Urbankowski:
*„PRL jest wyjątkowo sztywna
i niezgrabna (...) Partia, która podbiła
naród, była sektą i zarazem organizacją militarną,
potem stała się władzą cywilną, nie rezygnując
z dawnych cech. Strukturalnie ta partia
odgrywała rolę wojska najeźdźczego,
a bezpartyjni rolę narodu
podbitego” (1995)*

Andrzej Roman: „PRL była kompletną Paranoją, a jej historia była zapisem choroby” (1990)

22 lipca był głównym świętem narodowym komunistycznej Polski – PRL-u (1 maja był świętem międzynarodowym, a nie narodowym). Państwo to trwało przez prawie pół stulecia, od 1944/1945, lecz nazwę PRL (Polska Rzeczpospolita Ludowa) zyskało oficjalnie dopiero 22 lipca 1952 roku (wcześniej zwało się: Polska Ludowa), o czym mało kto pamięta dziś. Dorosłym obywatelom PRL-u 22 lipca kojarzył się właśnie z hucznymi obchodami, akademiami (fabrycznymi, biurowymi, szkolnymi), ze „wstępniakami” w gazetach (tromtadrackimi) i z całym przynależnym propagandowym picem, dzieciom zaś ze słodyczami Wedlowskimi, bo ta „kapitalistyczna” niegdyś wytwórnia została przemianowana na Zakłady im. 22 Lipca. Skąd się ten 22 lipiec wziął? Ano z 1944 roku. Sowiecki PKWN (Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego), powołany przez sowiecką KRN (Krajową Radę Narodową – załazek parlamentu komunistycznej RP), 22 lipca ogłosił w Moskwie sygnowany dzień wcześniej manifest, kłamiąc, że ogłasza go w Lublinie, dlatego później zwano ów dokument nie tylko „Manifestem Lipcowym”, lecz i „Manifestem Lubelskim”. Głosił on „ludowi miast i wsi”, że PKWN to tymczasowy naczelny organ komunistycznej władzy wykonawczej w Polsce. Dzięki temu przyjęło się uważanie 22 lipca za początek czerwonej Polski.



Waldemar
Łysiak

Znany projektant mody, Jerzy Antkowiak, zapytany czemu darzy „epokę socjalizmu” pewną nostalgią, odparł krótko: „— Mam życiorys, który kocham” (2019). Ludzie mojego pokolenia dobrze to rozumieją. Wybitny poeta i filozof Bohdan Urbankowski, przysyłając mi swój tomik poezji „Jeśli zapomnę o nich” (2015), wpisał jako dedykację jedno zdanie: „Nasza młodość była — mimo wszystko — romantyczna. Waldemarowi Łysiakowi...”. To „mimo wszystko” oznacza: mimo komunizmu, który wówczas panował — mimo PRL-u. Młodość samą swą istotą daje radość. I kreuje waleczność lub przynajmniej zadziorność, gdy musi się żyć pod wrogim reżimem. A później czas wygładza wiele rzeczy, ba, rodzi się nawet właśnie nostalgia...

Facet w moim wieku mówi, że spośród aktorek najbardziej rajcuje go Rita Hayworth, a z młodszych Catherine Deneuve, po nich przyszły gówniary. To kwestia dobrej pamięci. Dlatego świetnie pamiętam pierwsze dekady PRL-u i całą PRL, od pierwszego Bolka (Bolesława Bieruta, agenta NKWD), do ostatniego „Bolka” (agenta SB), czyli od Czerwonej Gwiazdy i beczeszczonego Virtuti w klapie, do znaczka „Solidarność” i beczeszczonej Jasnogórskiej w klapie. Pamiętam jak ów reżim gnębił i głodził społeczeństwo, lecz pamiętam również, że umiał pysznie rozbawiać „masy pracujące” tudzież „inteligencję pracującą”. Przykład: bladym świtem nadchodziła wiadomość, że w dalekim egzotycznym kraju dokonano lewicowego przewrotu, więc cały dzień prasa, radio i telewizja wychwalały nowych „przywódców” ile sił, jednak później się okazało, że pierwsze informacje były mylne i jest akurat odwrotnie — przewrót był prawicowy. Dlatego nazajutrz media musiały o 180 stopni zmieniać front i piętnować wczorajszych „mężów stanu” jako „zagraniczne marionetki” oraz „ślugusów

kapitalizmu/imperializmu”, co skutkowało radykalną wolą terminologiczną propagandy: „rząd” stawał się „reżimem”, „gabinet” — „juntą”, „demokracja” — „dyktatura”, „rewolucja” — „kontrrewolucja”,



fot. Marcin Doliński



■ „większość” — „mniejszością”, „sprawiedliwość ludowa” — „masakrą”, „bratnia pomoc” — „agresję”, „wyzwoliciele” — „puczystami”, „patrioci” — „renegatami”, itp., itd. Zrywało się boki ze śmiechu.

Wesołość krzewiły też w PRL-u liczne „kawały”, dla tworzenia których sowiezizm dostarczał mimowolnie bardzo bogatą materię satyryczną. Nie tylko zresztą realiami codzienności, lecz i wszelakimi płodami „nauki marksistowskiej”, które publikowano wielonakładowo, jak również hasłami pretendujących do obiektywizmu kompendiów. Exemplum radziecka „Wielka Encyklopedia Po-wszechna”. W edycji z 1957 roku „przywódcą Chińskiej Republiki Ludowej” Mao Ze-Dong (wtedy pisało się: Mao Tse-Tung lub Mao Ce-tung) określony został jako „wielki teoretyk marksizmu”, w edycji z roku 1960 — jako „teoretyk marksizmu”, a w tej z 1972 — jako „teoretyk” (bo Chiny i ZSRR przestały się lubić).

Nad Wisłą jednak nie wygibasy cenzurowe encyklopedii, ino przasne „zgrzyny” robiły furorę. Przez długi czas królowały „jaja” pt. „Radio Erewań”, a personalnym faworytem był androidowaty gensek „Łońka” Breżniew. Mnie najbardziej ubawił wic o tym, jak Breżniewa wkurza fakt, że w różnych miejscach świata o tej samej porze jest inna godzina, a nawet daty są inne: „— Towarzysze, nie może być tak, że kiedy dzwonię do Fidela, by mu gratulować rocznicowo, okazuje się, że rocznica była wczoraj, a kiedy dzwonię do Watykanu z kondolencjami po zamachu na papieża, okazuje się, iż to dopiero jutro!”. Mój ulubiony wic nr 2 — Breżniew ze złością zaczepia Gierka: „— Podobno ktoś u was napisał «Litwo, ojczyzno moja»!...”. Gierek wyjaśnia: „— No tak, to Mickiewicz, ale on już nie żyje, towarzyszu”. Breż-

niew klepie go po ramieniu uśmiechnięty: „— I za to cię Edziu lubię, za to cię lubię!”.

Notorycznym bohaterem „kawałów” rozbawiających gawieź peerelowską był milicjant jako symbol głupoty. „Dlaczego milicjanci chodzą trójkami? Bo jeden potrafi czytać, drugi pisać, a trzeci pilnuje tych dwóch intelektualistów, żeby nie zrobili kontrrewolucji”; „Wchodzi milicjant do biblioteki, więc zdziwiona bibliotekarka pyta go: «Co, deszcz pada?»”; „Gliniarz pałuje kasetę magnetofonową, a zapytany przez sprzątaczkę dlaczego to robi, wyjaśnia: «Komendant kazał mi ją przesłuchać, babciu»”. Itp., itd. Szydziło się też z hegemonia „demoludów”. Tutaj za królewski uważam dialog między rodzicielem a synkiem:

„— Tato, tato! Ruskie poleciały na Księżyc!
— Wszystkie?
— Nie, trzech.
— To co mi dupę zawracasz, gówniarzu!”.

Żartami reagowało się też na wszelkie „niedobory”, które były typowe dla „gospodarki socjalistycznej” i bardzo uciążliwe dla społeczeństwa. Zdobywcy papieru to-



aletowego szpanowali jako królowie życia. O permanentnym braku cytrusów mówiono, że kiedy Gomułka (I sekretarz PZPR) kazał swoim aparatczykom przekonywać lud, iż kapusta kiszona ma tyle samo witamin, minerałów i wartości odżywczych co cytryny, jeden z nich mruknął:

— Tak, tylko trochę trudniej wciska się ją do herbaty, towarzyszu.

Słowem: było wesoło. Ciekawostką aktualną (i przyczyną, dla której piszę niniejszy tekst) jest coraz częstsze dzisiaj napomykanie, że było też miło za PRL-u, i to pod wieloma względami, a może i pod każdym względem. Im większa chronologiczna odległość dzieli nas od tamtego systemu/ustroju, ergo: im dalszą/głębszą przeszłość on stanowi — tym mnożący się nostalgicy śmieiej go apologetyzują. Piszą memuary, w których PRL wygląda bardziej sielsko niż groźnie, i replikując/trawstując tytuł wrednej, apatriotycznej książki Tadeusza Konwickiego, przekonują młodych, że PRL to było, ot — „pół wieku czyszcą”. Janusz Rolicki, swego czasu autor biografii Gierka, machnął nawet powieść o kokieterijnym tytule „Nieznosny urok PRL-u” (2017). Goszystowska „Angora” przedrukowuje z „Kontaktów” ciepły żarcik: „Starzy Polacy wierzą, że gdy się jest uczciwym i się nie grzeszy — to po śmierci trafia się do PRL”, co jest niczym innym jak synonimowaniem PRL-u z Rajem! Wędliny reklamowane per: „Szynka jak za Gierka” już się opatrzyły, więc Zakłady Mięsne „Szubryt”



robią teraz produkt z napisem na puszcze: „Konserwa podobna do tej z PRL-u”. Oto siła nostalgii.

Takie przykłady jak podane wyżej można mnożyć, ale że Lisicki znowu nie dał mi kilkudziesięciu stron „Do Rzeczy” na ten esej — muszę się ograniczyć. Wszelako peerelowskie sentymenty Krakusów przytoczyć muszę. Sylwester Sekunda, prowadzący obecnie legendarną



krakowską restaurację „Feniks”, w której przez kilka peerelowskich dekad lubiły się gnieździć (jeść, pić, plotkować, dyskutować) salonowe elity PRL-u (Polański, Olbrychski, Nowicki, Skrzynecki, Miecugow, e tutti quanti), mówi dzisiaj „**Życiu na gorąco**”, że goście walą do niej „*aby się zabawić jak w PRL-u*”, czyli szampańsko, a redakcja daje artykułowi na ów temat tytuł: „**Zabawa jak w PRL-u**”.

Nawet reżimowa zorganizowana grupa przestępcza o nazwie PZPR, czyli partia przez prawie pół wieku terroryzująca

kreujących się na liberałów” (2018). Teraz zaś, prócz mnożących się muzeów, które eksponują PRL, na rynku wydawniczym mnożą się nostalgiczne edycje wspominające PRL ciepło, z przymrużeniem oka, jak choćby „**Wielka Księga PRL**” (dzieło „**SUPERexpressu**”), z nadtytułowym hasłem, że wtedy ogólnie „*było wesoło*”, oraz z pierwszym zdaniem wstępu mówiącym: „*Nie da się ukryć, że coraz częściej wspominamy pewne przejawy tej epoki nostalgicznie*”.

Kiedy się ten nostalgizm zaczął? Bezwzględnie po „wyzwoleniu z komunizmu”. Weźmy choćby „*ludzi pióra*”. Od samego początku III RP wielu pisarzy opłakiwało peerelowski Związek Literatów Polskich, bo chociaż cichcem za PRL-u sarkano na kierownictwo ZLP: „— *Jak nie żyd, to peda!*” (Słonimski, a po nim Iwaszkiewicz), to jednak firma ta zapewniała dobrobyt i komfort (stypendia, bonusy, talony samochodowe, kurortowe „*domy pracy twórczej*”, luksusowe „*wyjazdy służbowe*” krajowe i zagraniczne, prestiżowe „*wieczory autorskie*”, recenzyjne reklamy medialne, itp.). Jako jedyny pisarz tamtych czasów nie dałem się zapisać do ZLP, stąd reżimowi „*literaci*” nazywali mnie idiotą, i mieli rację, bo rezygnowałem z przysłowiowych „*kokosów*”. Zbigniew Głowiński: „*W czasach PRL twórcy i artyści żyli jak pączki w maśle*” (2018). Wcześniej to samo mówił Zbigniew Herbert: „*Życie pisarzy i artystów było za PRL-u idyllą. Wysoki standard. Nigdzie w świecie kapitalizmu nie powodziło się pisarzowi tak dobrze, bo nigdzie nie był tak pieoszony przez państwo*”. Bezwstyd tego układu między partią i ZLP a sforą usłużnych „*tfurców*” bezlitośnie wypunktował też Grzegorz Eberhardt: „*Literatura PRL-u! Te gierki, te układy, te żadności wykreowane na autorów szkolnych lektur!*” (2008). Sumując: polityka „*państwa opiekuńczego*” wobec literatów była totalitarna jak samo państwo i polegała na pełnej wasalizacji twórców, ale za lojalność i wysługi propagandowe ci twórcy mieli dobrobyt gwarantowany. Trudno się dziwić, że kiedy system runął i „*manna z nieba*” (pezetpeerowskiego, zetelpowskiego)

ustała — tęskniono do „*dawnych dobrych czasów*”.

„*Ludziom pióra*” sekundowali inni skrzywdzeni: setki tysięcy (miliony?) pracowników PGR-ów, rozmaitych wy-



dziedziczonych związkowców, uprzywilejowanych wcześniej robotników — ten proletariatus, któremu w III RP zrobiło się raptownie gorzej niż w PRL-u. Im bardziej bieda rosła — tym PRL stała się sympatyczniejszym „*retro*”. A u wszystkich — także inteligentów i także dysydentów, ludzi będących w opozycji do reżimu (choćby jedynie duchowej/mentalnej) — zyskiwała tym większe „*rozgrzeszenie*”, im więcej mijało lat, bo (o czym wspominałem na samym początku) starzejąc się przypominano sobie coś, co jest zawsze darzone kultem: własną młodość. Teraz mnożą się rzewne wspomnienia sięgające kilka dekad wstecz; Krzysztof Logan Tomaszewski: „*Moje pokolenie było urodziwe i miało wdzięk. Piło wódkę, pięknie kochało. Faceci kupowali swoim paniom kwiaty. Kobiety chodziły latem w sukienkach z tanich kretonów, a nie w porwanych dzinsach. Mężczyźni golili się i zakładali białe koszule pod krawat. Mknęli na motocyklach. Grało się w kanastę, jeździło na nartach. Auto było marzeniem. Prawie nikt nie przeklinał, chyba że zagotowała się krew. Ludzie się uczyli, czytali pasjami książki, a potem godzinami dyskutowali w kawiarniach przy kawie i ekerce. Amerykańskie filmy były rarytasem*” (2018).

No i jaką frajdę dawało kontestowanie reżimu podczas takich kawiarnianych wielogodzinnych dyskusji, lub podczas



społeczeństwo, podlega dziś systematycznemu wybielaniu, czemu sprzyja „*wojna polsko-polska*” tocząca się w kraju. Irena Lasota nazwała (2018) salonowego historyka Andrzeja Friszkego „*apologetą PZPR*”, gdy wysłuchiwała jego świeżych peanów na cześć tej partii („*PZPR była dużo bardziej pluralistyczna od PiS-u*”, itp.) oraz systemu komunistycznego w ogóle, zaś PRL-u w szczególności, po czym sarknęła szyderczo: „*Aż dziw, że ten ustrój mógł się komuś nie podobać*”. Zwłaszcza że tyran (PZPR) był taki liberalny. Marta Marcinkiewicz (szczeciński IPN): „*Od lat 90. na rynku wydawniczym ukazywały się kolejne wspomnienia, wywiady i dzienniki prominentów partyjnych [byłych dygnitarzy PZPR — przyp. W. Ł.]*



Podziemne kalendarium patriotyczne z antyreżimowym tekstem W. Łysiaka drukowanym pod pseudonimem Mark W. Kingden (anagram od: Denmark King W – Duński Król Waldemar)

domowych „nocnych Polaków rozmów”. Bądź drukiem — wydawaniem „bezdebitów” alias „bibuły” kontrreżimowej. Tu ciekawostka: jeśli ktoś sądzi, że te „druki podziemne”, omijające państwową „cenzurę przewencyjną”, to wytwór lat 70-ych ubiegłego wieku (z apogeum w latach 80-ych) — myli się. Pierwsze (bardzo rzadkie) startowały za czasów stalinowskich, kiedy autorom groziła śmierć, a później gomułkowskich, kiedy groziło już tylko uwięzienie (jak Szpotańskiemu), chyba że autorem był... państwowy dygnitarz! Exemplum szef Związku Literatów Polskich, Antoni Słonimski, którego twórczości reżimowy minister kultury Lucjan Motyka publicznie („listem otwartym”) zarzucił brak „ideologicznych wstawek”. Rozeźlony poeta odwinął rymem (epigramatem) krążącym bezdebitowo:

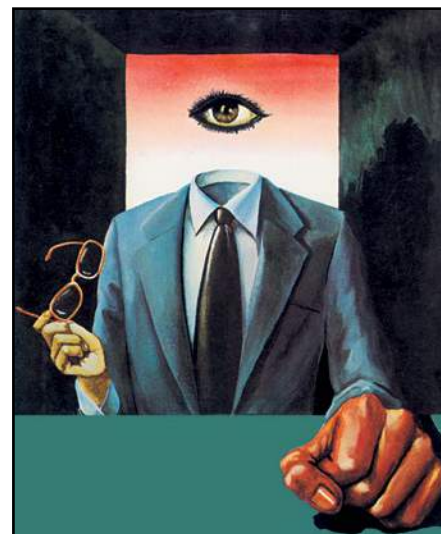
„O Ty, co piszesz listy,
O Ty, co dajesz wstawki,
O ty, mój przełożony
z jednej do drugiej nogawki”.

Tak zwany „szary obywatel” czasami rymował farbą lub kredą na murach (jak za hitlerowskiej okupacji), dużo częściej sprzeciwiał się tzw. „szepciarką”. Przy czym wszelkie te sprzeciwy (również bojkotowanie paraobowiązkowego uczestnictwa w 1-Majowych pochodach) brały się z serca, a nie z wyrachowania lub podbechtywania typowego u dzisiejszych KOD-omitów. Marcin Wolski:

„W realnym socjalizmie, jak w każdej zbiorowości, istniały kanale i cisi bohaterowie, bezwzględni konformiści i siłaczki na miarę swoich możliwości i potrzeb (...) Front walki o poszerzenie marginesów wolności trwał przez cały czas Polski Ludowej, na przekór aparaczkom, pracownikom służby bezpieczeństwa czy po prostu

niegodziwcom (...) Gazety też były lepsze lub gorsze. W — zda się — do cna zindoktrynowanych oficynach wychodziły dobre książki, udawało się też za pomocą aluzji wyprowadzać w pole cenzurę” (2018).

Nie tylko za pomocą aluzji czy metafor, lecz i za pomocą anagramów oraz innych trików — gdy tylko padła satrapia PRL opublikowałem całą książkę („Lepszy” 1990) z bogatym wyborem tych moich drukowanych kuglarstw, którymi zwyciężałem cenzora, czyli ośmieszałem



Lecz żeby być w zgodzie z prawdą, trzeba wyznaczyć również to, iż przekombinowywało się cenzora raz na dziesięć razy lub rzadziej — zazwyczaj to on był górą, gdyż był władzą. A rozgrywka nie toczyła się tylko przed drukarniami, lecz i przed mikrofonami oraz kamerami, czasami w audycjach/programach mających — przynajmniej formalnie — zero styczności z polityką. Prawie nic nie szło „na żywo” — wszelkie emisje dawano z opóźnieniem, by cenzor mógł zareagować. Exemplum 35-minutowa audycja telewizyjna „Maria Walewska — prawda i legenda”, nadana 27 marca 1977 roku przez ekskluzywny weekendowy blok programowy „Tylko w niedzielę”. Pięcioro gości/dyskutantów — m.in. docent Jerzy Łojek oraz Beata Tyszkiewicz, filmo-

ulicę Mysią. Jak tylko Moskwa wściekła się oficjalnie przeciwko mojej kontrcarskiej/kontrrosyjskiej książce „Cesarski poker” (1978) — na Mysiej polecały dyrektorskie głowy. Rozgłośnia Wolna Europa tudzież inne „wraże radiostacje” często przypominały tę aferę, pamiętano też o niej długo po drugiej stronie Atlantyku (9 czerwca A.D. 1983 w „Przeglądzie Polskim”, magazynie literackim nowojorskiego polonijnego „Nowego Dziennika”, pisano o „Cesarskim pokerze”: „Jest to pierwsza książka opublikowana przez państwowe wydawnictwo, przeciwko której ZSRR złożył oficjalny protest w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, zarzucając jej antyrosyjskość, a także «antyradzieckość» zawartą w wyrażonych aluzjach do współczesności”).



Rytualny pochód 1-Majowy ulicami stolicy w przedostatniej dekadzie PRL-u

wa Walewska („**Marysia i Napoleon**” Leonarda Buczkowskiego, 1966) — plus prowadzący. Na wizji czwórka uczestników dyskutowała zawzięcie przez całą audycję, a piąty (Łysiak) ani razu nie otworzył ust — za sprawą nożyczek cenzora i montażyści nie odezwał się choćby jednym słowem! Czemu? Bo mówiłem, iż cesarz, gdy obłapiał Marysię, jednocześnie lał Ruskich, wypędzając ich poza dawny obszar Rzeczypospolitej Obojga Narodów i czyniąc Polskę suwerenną.

Upływające dekady sprawiły, że wiele dzisiejszych mediów (zwłaszcza lewicujących) wspominając PRL „wygładza kanty” tamtego systemu. Np. gdy „kolorówki” drukują sążniste peany o peerelowskich celebrytach — o takich idolach jak spr-

„demoludów”, będących trzymanymi za gardło i za jaja „satelitami” ZSRR). Choćby plusy kulturowe (przez co rozumiem wszelaką twórczość), czemu nijak nie można zaprzeczyć. Prof. Andrzej Szahaj (kulturoznawca, filozof, historyk myśli społecznej z Instytutu Filozofii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu) wyraził opinię wielu dzisiejszych komentatorów, chwając ten aspekt PRL-u expressis verbis: „*Po roku 1956 słynęliśmy ze znakomitych dzieł literackich, filmowych i teatralnych. Trzeba sobie uczciwie powiedzieć, że to właśnie wtedy kultura polska przeżywała swój złoty okres (...) I trzeba też powiedzieć głośno, że większość książek, które dzisiaj trafiają do księgarń, to kicz, że większość telewizyjnych programów roz-*

do zębów świetnie czyścili tenisówki i srebra. Ale i kultura twórcza miała sporo sukcesów. Choćby sztuki plastyczne były wtedy bardzo ciekawe — rzeźba, grafika i malarstwo. „*Ekspresjonista*” malował to co czuje w sercu, „*postimpresjonista*” — to co widzi w bliskim otoczeniu, a „*socrealista*” — to co słyszy w Wydziale Kultury KC. I na tym kończę szyderstwa, które zresztą przybierały „*za komuny*” formy rymowane, stając się kontrpeerelowską poezją („*Ani IXI, ani OMO, bo najlepiej pierze ZOMO*”). Niżej już będę serio bił brawa:

Trudno nie pamiętać (gdyż bywają przypominane) seriali tworzonych w erze PRL-u. „**Kariera Nikodema Dyźmy**”, „**Rodzina Połanieckich**”, „**Noce i dnie**”,



wozdawca sportowy Bohdan Tomaszewski (TW „**Guzikowski**”) czy gwiazda TVP Irena Dziedzic (TW „**Marlena**”) — ani słowem nie wzmiankują ich działalności szpiclowskiej. Owe upływające dekady sprawdziły też trafność starego porzekadła o ranach gojonych przez czas, ergo: sprawiły — jak już wzmiankowałem — że coraz słabiej pamiętana jest uciążliwość (ciągłe braki), siemienność (ciągły badziew) i opresyjność (ciągła tyrania) PRL-u, a coraz częściej wynajduje się plusy tego „*najweselejszego baraku obozu*” (tzw. „*obozu państw socjalistycznych*” vel

rynkowych to rzeczy głupie i szkodliwe, że muzyka, której słuchają miliony, to wyrób muzykopodobny, a wiele budowli nie trzyma żadnych standardów estetycznych i na długie lata będzie zaśmiecać nasz kulturowy krajobraz” (2018). Święta prawda.

Czas wymienić pozostałe — prócz młodości dzisiejszych weteranów-nostalgików — zalety/atuty PRL-u, właśnie te związane z szeroko rozumianą kulturą. Także kulturą higieny osobistej, bo peerelowskie proszki do prania „*prały lepiej niż ZOMO*” (Zmotoryzowane Odwody Milicji Obywatelskiej), zaś peerelowskie pasty

„**Lalka**” oraz wiele innych — to produkty genialne, dla dzisiejszych twórców nie-dościgłe. Filmów fabularnych o fenomenalnym poziomie artystycznym również naprodukowano wówczas bez liku (dla mnie wierzchołkiem tej maestrii jest 3 x **Po** — „**Popiół i diament**”, „**Pociąg**”, „**Pożegnania**”) — „*polska szkoła filmowa*” robiła furorę jak świat długi i szeroki. Obecne młodsze pokolenia lekceważą to, woląc „**Szybkich i wściekłych**” lub „**Wojny gwiazdne**”, czyli wszystko co przypomina gry komputerowe. Nie zapominam, rzecz prosta, iż peerelowska kinemato-

■ grafia czasami sączyła komunistyczny jad używając przemitych/sympatycznych trików, osobników i zwierzaków (rozmaitych Gustlików, Szarików, Janków, czy nawet Hansów, exemplum gieroj z NKWD w „**Stawce większej niż życie**”), albo melodii bądź piosenek chwytających za serce, jak cudowna, śpiewana przez Edmunda Fettinga ballada „**Nim wstanie dzień**” (w „**Prawie i pięści**”), z muzyką Krzysztofa Komedy i tekstem Agnieszki Osieckiej. Notabene: muzyka do tamtych polskich seriali i „filmów festiwalowych” była absolutnym mistrzostwem świata, więc długo po upadku PRL-u te „ścieżki dźwiękowe” znakomicie się sprzedawały na longplayowych taśmach i dyskach.

Mistrzostwem świata były również plakaty ery PRL-u — ówczesna „polska szkoła plakatu” (kilkudziesięciu mistrzów, kilkunastu arcymistrzów) rzucała na kolana znawców tej sztuki graficznej „all over the world”. Kolejnym mistrzostwem globu była wtedy polska sztuka kabaretowa, z tak genialnymi płodami jak „Kabaret Starszych Panów” Przybory & Wasowskiego i paragenialnymi jak „Dudek” Dziewońskiego czy „Pod Egidą” Pietrzaka. „Kabaretony” dzisiejszych — pożał się Boże! — kabaretów to w porównaniu festiwal rehotu i żenady. Edytorsko także szybowaliśmy blisko nieba: peerelowskie firmy wydawnicze („Nasza Księgarnia”, „Iskry”, „Czytelnik”, „PiW” i in.) rzucały do księgarń pyszne (zwłaszcza graficznie; z jakością samego druku tekstów bywało różnie, bo czasami szwankowała farba drukarska albo gramatura papieru, jak to w „realnym socjalizmie”) edycje dla dzieci (exemplum wszelkie baśnie



FOT. MARK CARROTT/FOTONORIA

z rysunkami Szancera), dla młodzieży (od Coopera i Stevensona, po Dumasa, Verne'a i Londona) tudzież dorosłych (od Cervantesa, Szekspira, Moliera, po Balzaka, Flauberta i Faulknera). Były też zwalające z nóg edycje typu luksusowego. Niewiele światowych firm dałoby radę wydrukować taki majstersztyk (pod każdym względem — technicznym, graficznym, materiałowym) jak imponujące albumowe wydanie „**Pana Tadeusza**” z rysunkami Gronowskiego. W ten sposób reżim kokietował społeczeństwo, lecz dziś wszystkie te edytorskie perły są dla nostalgików wizytówką PRL-u.

Społeczeństwo trzeba było kokietować sztuką/kulturą, by maskować/łagodzić „przejściowe niedobory” czyli permanentny kryzys „gospodarki socjalistycznej”. To prawda, z którą nawet sędziwi peerelowscy nostalgicy polemizować nie będą, bo pamiętają kartki na wszystko, od benzyny

do cukru. Ale ten medal ma też drugą stronę — według ekspertów: deoligarchizując egalitaryzacją społeczeństwa PRL zbudowała podwaliny niezbędne dla udanej „transformacji” gospodarczej lat 90-ych XX wieku. Ekonomista Marcin Piotrowski (wykładowca Uniwersytetu Harvard): „— PRL, pomimo wszystkich swoich absurdów, sprawił, że Polska stała się krajem egalitarnym (...) Paradoks komunizmu, a po r. 1956 realnego socjalizmu, polega na tym, że choć doprowadził Polskę do katastrofy gospodarczej, to zarazem położył fundamenty późniejszego sukcesu. To dlatego, że zlikwidował feudalne, oligarchiczne i szkodliwe struktury społeczne, podniósł miliony chłopów i robotników ze skrajnego ubóstwa, stworzył egalitarne, mobilne i dobrze wykształcone społeczeństwo” (2019).

No i uprzejmie przypominam, że nie kiedy indziej, tylko właśnie za PRL-u (w jego fazie schyłkowej) zostało stworzone, opublikowane i wdrożone najlepsze polskie prawo ekonomiczne wszech czasów — tzw. „ustawa Wilcza”. Miała 54 morderczo klarowne artykuły uzdrawiające gospodarkę i dała piorunujące rezultaty, lecz później głupi macherzy (Balcerowicz, Bielecki, Buzek i in.) zaczęli ją „nowelizować” ograniczająco, czym ją najpierw zepsuli, a w konsekwencji udupili zupełnie. Gdybyśmy teraz stosowali ten peerelowski bonus — byłibyśmy światową potęgą gospodarczą. Nie wiem czemu sternicy naszej gospodarki (Mora-wiecki i inni) nie chcą tego zrozumieć. ©©



FOT. ZYGMUNT JANUSZEWSKI/TVP/PAP





Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

Nagroda dla twórców kultury
stojących na straży prawdy i umiłowania
wolności. Jej laureatem może zostać osoba,
której działalność wpisuje się w hasło:
„A jednak coś po nas zostanie”.

IV EDYCJA NAGRODY

Laureaci NAGRODY
poprzednich edycji:

III EDYCJA 2018
FRANCISZEK PIECZKA
/NA ZDJĘCIU/

II EDYCJA 2017
EWA BŁASZCZYK

I EDYCJA 2016
STANISŁAWA CELIŃSKA
JAN POLKOWSKI
ANTONINA KRZYSZTOŃ



SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL | LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

MECENAS KONCERTU:



PARTNERZY:



PATRONI MEDIALNI:





RADOSŁAW WOJTAS: Jak to jest usłyszeć z ust Czesława Niemeny, że po twoim freestyle'u zmienił swoje zdanie o hip-hopie?

ADAM „O.S.T.R.” OSTROWSKI: Dwa razy go pytałem, czy rzeczywiście powiedział to, co usłyszałem, a i tak do dzisiaj zastanawiam się, czy się nie przejęzyczył albo czy ja czegoś źle nie zrozumiałem. Czesław Niemen fascynowała improwizacja słowna, sam próbowałem z nią eksperymentować. I jeżeli można powiedzieć, że w muzyce istniała jakakolwiek płaszczyzna nie do końca przez niego zgłębiona, to była to właśnie improwizacja słowem. Widział w tym olbrzymi potencjał i pewnie dlatego tak doceniał freestyle.

W swojej biografii nazywasz Niemeny ojcem chrzestnym polskiego rapu. Chociaż nie prosił się o to.

Stał się nim bezwiednie. Zresztą miałem okazję mu to powiedzieć. Tak jak raperzy

Jak jesteś z Niemenem w studiu, to trzymasz mordę cicho i słuchasz wszystkiego, co mówi, bo wiesz, jak wiele możesz się od tego człowieka nauczyć. Tylko głupiec próbowałby zagadywać Niemeny w studiu.

Do przekonania rodziców freestyle nie wystarczył. Nic dziwnego, że nie byli zachwyceni twoją miłością do rapu – zaczynałeś w czasach, kiedy ten rodzaj muzyki mało kto w Polsce traktował poważnie.

Nawet nie tyle muzykę, ile subkulturę. Kiedy rodzice widzą, że ich dziecko zaczyna zakładać spodnie z opuszczonym krokiem, a inni dokuczają mu, że nosi wór na ziemniaki, gdy dziecko zaczyna zaniedbywać swoje obowiązki kosztem tworzenia muzyki rozrywkowej, czyli czegoś, co w oczach ludzi poważnych prowadzi donikąd – to zaczynają się



Z Adamem „O.S.T.R.” Ostrowskim, raperem, producentem muzycznym rozmawia Radosław Wojtas

Mojego świata nie tworzą umarli królowie

w Stanach wielbili muzykę Jamesa Browna, tak w Polsce raperzy wychowali się na Niemenie, słuchali jego kawałków, jego tekstów i jego niesamowitych kompozycji.

I „pożyczyli” sobie fragmenty tych kompozycji. Ty miałeś przyzwolenie od Niemeny na korzystanie z jego muzyki. Nie korzystałeś.

Bo widzisz – nie miałem odwagi. Jego muzyka jest zbyt idealna. W życiu wykorzystałem tylko jeden fragment jego utworu. Jednak przyzwolenie Czesława Niemeny na korzystanie z jego twórczości było dla mnie ogromnym wyróżnieniem i zaszczytem.

Wpuścił cię do studia. Nie korciło cię, by chociaż spróbować podjąć rozmowy o wspólnym nagraniu?

martwić. Dla nich pewnym punktem mojego rozwoju były skrzypce. Uważali, że to jest moja przyszłość i jeżeli nawet nie uda mi się spełnić w roli wirtuoza, to zawsze mogę grać w orkiestrze czy uczyć w szkole. Chcieli dla mnie jak najlepiej. Oczywiście później, kiedy wytrwałem w rapie, kiedy pojawiły się pierwsze sukcesy, zrozumieli, że traktuję to poważnie i nie muszą martwić się o moją przyszłość i byt mojej rodziny.

Dużo zawałiłeś przez rap?

Wszystko, co tylko mogłem zawałić.

Trzynaście jedynek na świadectwie, matura zdawana w czerwonej piżamie – bo nie wstałeś na czas po koncercie – to historie podkoloryzowane na potrzeby autobiografii?

■ Żadne koloryzowanie, dokładnie tak było. Matura w piżamie to był egzamin z kształcenia słuchu. Nauczyciele usadzili mnie w ostatniej ławce, żeby ukryć mnie przed panią z Ministerstwa Kultury, która przywiozła tematy na ten egzamin. Na początku była wybierana osoba, która miała wyjść na środek i wylosować jedną z trzech kopert z ćwiczeniem egzaminacyjnym. Prawdopodobieństwo, że będę to ja, było znikome, bo od pierwszych ławek szedł „kapelusik”, z którego losowano karteczki. Wszystkie były puste, oprócz jednej, którą wylosowałem oczywiście ja, i musiałem iść w tej piżamie losować kopertę na środku sali.

Skrzypiec nigdy nie pokochałeś, ale przydawały ci się w życiu. Choćby po to, by grać na nich zarabiać na rap, z którego przecież dość długo nie było sensownych pieniędzy.

Zarabiałem na skrzypcach w różny sposób. Kiedy zaczynałem studia, grałem na pół etatu w operetce, a do tego na imprezach okolicznościowych, na ślubach czy pogrzebach. Bardzo dużo grałem też na ulicach. Mieliśmy w domu ciężką sytuację finansową, ale dawaliśmy radę. Moje granie na ulicach zaczęło się zresztą od tego, że chciałem pomóc mamie w utrzymaniu domu. Kiedy chciałem kupić sobie nowe spodnie albo buty, to też szedłem na ulicę grać na skrzypcach. Jeśli potrzebowaliśmy pieniędzy na opłacenie studia, żeby nagrywać rap, to skrzypce dawały mi możliwość zarobku.

skupić, bo na przykład grasz premierowy koncert z płyty i nie znasz jeszcze tekstów tak dobrze, jak byś chciał, ale pojawia się wtedy tylko nutka niepewności, nie strach. Pewnie to też dlatego, że kocham to, co robię, i świetnie się przy tym bawię.

Wziąłeś sobie do serca słowa dziadka: „Ludzie dzielą się na tych, co tylko myślą, i na tych, co mają odwagę realizować swoje myśli” – które cytujesz w „Brzydki, zły i szczerzy”?

Miałem tylko siedem lat, gdy zmarł, ale przez ten czas dziadek zdążył mi nakłaść do głowy dużo mądrości, co pozwoliło mi później zachować pewność siebie w tym, co robię. Nigdy nie była to pewność, że robię coś idealnie, nie jestem narcyzem, w dodatku trudno mi samemu siebie oceniać, broń Boże nie jest to tego typu pewność siebie. Ukształtował mnie jako człowieka, który choć jest wstydlivy, to robi wszystko, by dojść do swojego celu.

Wstydlivy?

Bycie wstydlivym nie pomaga w życiu, zwłaszcza wtedy, gdy musisz wyjść na scenę i prezentować swoje umiejętności. A dziadek mi pokazywał, że wstyd nie jest niczym złym. Zła jest sytuacja, w której dajesz wstydlivosti zwyciężyć. Najgorzej jest wtedy, gdy czegoś nie robisz z przyczyn zależnych od siebie – jak właśnie wstyd czy lenistwo. Wbił mi do głowy, że nie możesz ocenić tego, czy jesteś w stanie coś zrobić, jeśli nie

o ucieczce, tobym został rozstrzelany pod lasem”. Wpajał mi, że czasami podjęcie decyzji ratuje życie i trzeba mieć odwagę, by ją podjąć. Że najtrudniejszy jest pierwszy raz, ale gdy już się przyzwyczaisz do podejmowania decyzji, to nabierasz odwagi. To był niewiarygodny gość. Własne dzieci wychował twardą ręką, a do mnie miał niesamowitą cierpliwość i nigdy w życiu nie użył dyscypliny. Zawsze w płaczu albo gdy miałem jakąś karę od mamy, biegłem do dziadka, a on mnie przytulał i pytał: „Adasiu, kochanie, kto ci zrobił krzywdę?”. Zawsze był przy mnie.

Rozpieszczał cię?

Nie prezentami. Rozpieszczał mnie swoją obecnością. Potrafił mnie zaciekawić. Przy mnie rozkręcił całą syrenkę i skręcaliśmy ją razem, woził mnie na komarze, zabierał na żużel...

I to on nauczył patriotyzmu?

Cała rodzina, jej historia. Jeśli się wychowujesz w rodzinie, która była dość mocno represjonowana za czasów komuny, jeżeli twoi dziadkowie walczyli o niepodległą Polskę, o to, żebyśmy byli wolni, żebyśmy mogli żyć w lepszym świecie, to poczucie wartości patriotycznych jest u ciebie na bardzo wysokim poziomie. Mówiąc o lepszym świecie, nie mam na myśli spraw finansowych, ale świat, w którym mamy polską flagę, polskiego orła w koronie, dumnie możemy podróżować z polskim paszportem. I reprezentować naszą kulturę, która jest bardzo ciekawa, historycznie bogata i ukształtowana wielką martyrologią.

Twój patriotyzm to nie ślepa miłość do Polski, w tekstach i teledyskach nie idealizujesz jej, bywasz wręcz surowym recenzentem.

To tak jak z moją rodzinną Łodzią, o czym wspominałem w swojej książce. Ta Polska może nie być najpiękniejsza, ale to wciąż jest twoja Polska. To jak z siostrą. Nawet gdyby była tak brzydka, że twoi koledzy dostawali na jej widok skrętu kiszek, to ty ją i tak kochasz. Tak samo jest z krajem. Kocham go i jestem dumny z bycia Polakiem. Dlatego tak mnie irytuje wzajemne obrażanie się, np. wyzywanie od celebaków itp. Jedni mają taki charakter, drudzy inny. Jedni są sknerami, inni są bardziej rozrzutni. I rozwała mnie ta cała dyskusja o „normalności” – że normalny Europejczyk to taki czy taki. My jesteśmy Polakami i Europejczy-

Jeśli się wychowujesz w rodzinie, która była dość mocno represjonowana za czasów komuny, jeżeli twoi dziadkowie walczyli o niepodległą Polskę, o to, żebyśmy byli wolni, żebyśmy mogli żyć w lepszym świecie, to poczucie wartości patriotycznych jest u ciebie na bardzo wysokim poziomie

Opowiadasz o tym, jak o czymś przyjemnym.

Granie na ulicach nauczyło mnie pokory, bo ludzie zachowywali się w stosunku do mnie bardzo różnie. Czasami zdarzały się awantury, czasami ktoś chciał mi zabrać skrzypce albo okraść z tego, co zarobiłem. Ogólnie jednak było naprawdę super. A przede wszystkim dzięki tym występom nigdy nie odczuwałem strachu czy czegoś takiego jak trema przed wyjściem na scenę. OK, są momenty, kiedy musisz się bardziej

spróbujesz tego zrobić. A jeżeli nie próbujesz, to niczego nie osiągniesz.

Dziadek, który uciekł z transportu do Katynia i z obozu pracy na Syberii, musiał być w twoich oczach prawdziwym superbohaterem.

Uciekając z obozu pracy na Syberii, upozorował własną śmierć. Schował się w przerębli i wytrzymał tam dopóty, dopóki strażnicy nie odeszli, pewni tego, że już się utopił. O Katyniu mówił w ten sposób: „Gdybym ja tylko myślał

Nie dotykam się polityki. Jedyna bliska mi polityka to polityka domowa, czyli jak zmobilizować jednego syna, żeby się pogodził z drugim synem i żeby obaj poszli spać o 22

kami. I nie mamy się czego wstydzić, bo jesteśmy odważnym narodem.

Pamiętasz PRL?

Pamiętam dosyć dobrze. U mnie w domu zawsze przekazywano wartości patriotyczne, śpiewało się patriotyczne piosenki. Bardzo ważną rolę odgrywała u nas Solidarność. Pamiętam, jak mocno wszyscy w mojej rodzinie wierzyli w Wałęsę, potem się na nim zawiedli, potem się okazało, że jest „Bolkim”. Ostatnio moja mama przegrała z moim synem w taką grę „Pytanie czy wyzwanie” i musiała przyznać się do rzeczy, której najbardziej w życiu żałuje. I odpowiedziała, że najbardziej żałuje tego, że uwierzyła Wałęsie.

Wielu wciąż wierzy.

Nie chcę się bawić w politykę, podchodzę do sprawy historycznie. Cokolwiek by się działo, historia zweryfikuje wszystkich. Jeżeli ktoś zajmuje się sprawami państwowymi, czyli tym, czym zajmowali się obecni przy Okrągłym Stole, to historia ich rozliczy i za sto lat będzie wiadomo, co tak naprawdę się wydarzyło. Dzisiaj poprzez to, jak patrzy się na historię, ustawia się ludzi po jednej bądź drugiej stronie bieżącego sporu politycznego. Moim zdaniem wszystkie spory polityczne dążą donikąd. Szarzy ludzie i tak nie mają wpływu na to, co politycy ustalą przy wódcę.

To jest problem polskiej klasy politycznej czy polityki jako takiej?

Przytoczę ci przykład z muzyki. Jeżeli ktoś się z kimś układa marketingowo, to nazywamy to po imieniu – to jest polityka. Jeżeli jakiś artysta przychodzi do jakiejś firmy i mówi: „Ja wam dam to, wy mi dacie to i razem zyskamy to” – to jest polityka. Czy to jest pozytywne? Nie wiem, ja tego nie oceniam. Ja się polityki nie dotykam.

Kiedyś zdarzało ci się w rapie zahaczyć o polityczne tematy.

Byłem młody, byłem idealistą. Teraz jedyna bliska mi polityka to polityka domowa, czyli jak zmobilizować jednego syna, żeby się pogodził z drugim

synem i żeby obaj poszli spać o 22. Żona jest mistrzem polityki. Żony tak mają – tylko one potrafią zrobić tak, żebyś mimo tego, że powiesz „nie”, i tak zrobił dokładnie to, czego ona chce.

Chciałbyś, żeby twoi synowie poszli swoją drogą? Starszy już rapuje.

Chciałbym, żeby poszli swoją drogą – taką, jaką sobie wymarzą. Moim zadaniem nie jest wybieranie im drogi, moim zadaniem jest wspieranie ich w tym, co sobie założą, cokolwiek by to było.

Masz przyjacielskie relacje z synami?

Jeżeli dziecko traktuje cię jak przyjaciela i ma jakiś problem, to z nim do ciebie przyjdzie. Moje podejście jest takie, że mniej ważne jest, że problem się pojawił. Ważne, jak sobie z nim radzisz. Ten, kto ma charakter, wychodzi z problemów, a ten, kto go nie ma, spuszcza głowę i godzi się z rzeczywistością. Nie jestem pewien, jakim bym dziś był człowiekiem, gdybym w dzieciństwie nie dostał kilka razy w tyłek i w ten mniej humanitarny sposób nie został nauczony szacunku. Jednak dziś są inne czasy, nie ma kar cielesnych. Trzeba się więcej nagadać, być upierdliwym. No i są inne kary.

Równie skuteczne?

Człowieku, dwa tygodnie bez PlayStation działa lepiej niż pas. Kiedyś spytałem syna, czy woli taką karę, jaką ja miałem, czyli 10 pasów na goły tyłek, czy dwa tygodnie bez konsoli do gier. No i zaczęły się negocjacje: „A pokażesz mi na poduszce, jak mocne te pasy?”. Oczywiście wytłumaczyłem mu, że nigdy w życiu nie podniósłbym na niego ręki.

Rodzina jest dla ciebie bardzo ważna, słyhać to zwłaszcza na dwóch płytach, które nagrałeś po chorobie, operacji rekonstrukcji płuca, otarciu się o śmierć. Miłość do rodziny

pomogła ci w trudnych chwilach. Wiara również? Nie kryjesz, że jesteś wierzący.

Wiara pozwala ci znieść więcej, udzielić odpowiedzi na niewyjaśnione. Naprawdę są ludzie, których wiara trzyma przy życiu. Użyję płytkiego porównania, ale oddającego moim zdaniem to, czym jest wiara. Jest tym dla duszy, czym obuwie dla stóp. Jeden może przejść przez całe życie boso, a drugi potrzebuje czuć oparcie i ochronę. I wtedy może iść przez ciernie. Jestem wierzący, choć pokłócony z instytucjonalnością wiary. Uważam też, że religia powinna być prywatną sprawą każdego człowieka. To, że ktoś jest wierzący, nie czyni go ani lepszym, ani gorszym człowiekiem od ateisty. Niestety, dziś religia często bywa czymś, co dzieli ludzi, zamiast ich łączyć.

Wróćmy do muzyki. Twoja najnowsza płyta – „Instrukcja Obsługi Świrów” – to powrót do starej szkoły. Zresztą zaczyna się od tego, że hip-hop dobija się do twoich drzwi i prosi o ratunek. Polska scena rzeczywiście potrzebuje dziś ratunku?

„Instrukcja Obsługi Świrów” mówi o tym, że wartości, którymi kierowaliśmy się w muzyce i które wpajaliśmy naszym

słuchaczom, zostały zlekceważone i wyśmiane przez niektórych artystów, którzy weszli na scenę, liźnęli trochę sławy i poculi się, jakby pozjadali wszystkie rozumy. Sprzeciwiam się materialistycznemu podejściu do muzyki i do życia. Fajnie jest jeździć dobrym samochodem, mieszkać w dużym domu i mieć pieniądze, bo to ułatwia życie. Nie stanowi to jednak o szczęściu. Byłem tak samo szczęśliwy na 30, jak i na 100 metrach kwadratowych.

Nieważna jest przestrzeń, ale to, z kim ją dzielisz. Mojego świata nie tworzą umarli królowie na banknotach, ale żywi ludzie – rodzina, przyjaciele. Nie znoszę takiego podejścia do muzyki, gdy ktoś uważa, że mu się coś należy. Bo nic się nie należy. Robię muzykę dla moich najbliższych i dlatego, że kocham to robić. A jeżeli ludzie są tak taskawi, że są w stanie położyć chleb na stół moich dzieci za muzykę, którą robię, to ja mogę tylko być im za to wdzięczny.



O.S.T.R.
„INSTRUKCJA
OBSŁUGI
ŚWIRÓW”
ASFALT RECORDS
2019



ADAM OSTROWSKI
„BRZYDKI, ZŁY
I SZCZERY”
WIELKA LITERA
2019



Piotr Gocięk

W rzeczy niesamowite i fantastyczne wierzymy wtedy, gdy przydarzają się ludziom, w których istnienie jesteśmy w stanie uwierzyć. Tak właśnie jest w serialu „Stranger Things”

Najdziwniejsze rzeczy



FOT. NETFLIX

Miarą talentu braci Duffer, twórców serialu „Stranger Things”, jest dla mnie fakt, że już po pierwszym odcinku trzeciej serii niespecjalnie przejmowałem się tym, czy nasz świat znów czeka inwazja istot z wrogiego wymiaru. Bardziej zaś byłem zainteresowany sprawami naprawdę ważnymi: czy ochotniczy samotny rodzic, szeryf Hopper (David Harbour), znajdzie w sobie śmiałość, by zaprosić na randkę mamę Willa (Winona Ryder)? Czy Mike i Eleven na koniec serii będą w sobie tak samo zakochani jak na jej początku? Czy opiekujący się Eleven wspomniany Hopper zrozumie, że całe jego policyjne doświadczenie jest niczym wobec targającej dziećmi burzy hormonów? Czy marząca o pozamałżeńskim skoku w bok pani Wheeler, mama Mike’a i Nancy, będzie miała odwagę, by spotkać się potajemnie w motelu z podrywającym ją bezczelnie umięśnionym młodzianem? I tak dalej.

CO WPRAWIA LUDZI W RUCH

W rzeczy dziwne, niesamowite i całkowicie fantastyczne wierzymy tylko wtedy, gdy przydarzają się ludziom, w których

istnienie jesteśmy w stanie uwierzyć. Tak właśnie jest w „Stranger Things”, serialu, który przejął z powieści Stephena Kinga nie tylko ikonografię, lecz także metodę. King nie bez powodu bywa nazywany największym współczesnym amerykańskim pisarzem realistycznym czy może lepiej – obyczajowym. Miasteczko Hawkins (i jego mieszkańcy) wymyślone przez braci Duffer równie dobrze mogłoby być jego kreacją – tak jak miasteczko Castle Rock. Wszystko tu jest normalne (w miarę) i zwyczajne, a przede wszystkim wiarygodne. Kiedy zaś zaczynają się dziać rzeczy niezwykle, nikt nie okazuje się od razu superbohaterem w kolorowym trykocie. Tym, co wprawia zwykłych ludzi w ruch, są proste ludzkie odruchy: troska o dziecko, miłosne zauroczenie, przyjaźń, poczucie obowiązku.

Dla tych, którzy dopiero szykują się do posmakowania tej propozycji Netflix: miasteczko Hawkins to miejsce, nieopodal którego znajduje się tajny rządowy ośrodek badawczy. W pierwszej serii za sprawą eksperymentów tam prowadzonych rozerwano zasłonę dzielącą nasz świat od innego wymiaru. Niebezpieczne, krwiożercze istoty uznały Hawkins za jeden

ze swych terenów łowieckich. Ich ofiarą padł mały Will. Poszukiwania zaginionego chłopca i starania, by odkryć naturę zagrożenia, napędzały fabułę pierwszych ośmiu odcinków, które premierę w Netflixie miały w lipcu roku 2016.

W drugim sezonie, na który trzeba było czekać nieco ponad rok, niebezpieczeństwo powróciło. Dowiedzieliśmy się także więcej o fenomenie parapsychicznych mocy dziewczynki Eleven, która była kluczem do powstrzymania przerażającego przeciwnika. Sezon trzeci także jest w pewnym sensie powtórką z rozrywki, tyle że powtórką droższą, nakręconą z większym rozmachem i wprowadzającą nowe wątki. Jednym z nich jest zaangażowanie w sprawę Sowietów. Nie mogło być inaczej, skoro akcja „Stranger Things” rozgrywa się w połowie lat 80., a jego twórcy odtwarzają klimat ówczesnych produkcji popkulturowych. Czynią to zresztą nie tylko z wielkim znawstwem, lecz także z dużym przymrużeniem oka. Trudno się nie uśmiechnąć, widząc na ekranie rosyjskiego cyngla wyglądającego trochę jak podróbka postaci kreowanych w tamtych czasach przez Arnolda Schwarzeneggera.

Nostalgia za latami 80. rozegrana jest w „Stranger Things” na kilku poziomach. Sam pomysł, fabuła i bohaterowie – wszystko to swobodnie mogłoby powstać na biurkach pisarzy czy scenarzystów tamtej dekady. Czas i miejsce akcji pasują; mamy do czynienia ze współczesną podróbką dzieła „z epoki”, tyle że z wykorzystaniem współczesnych środków. Sprytne, bo dzięki temu spodoba się zarówno tym, którzy czasy „The Thing”, „Christine”, „Gier wojennych” czy „The Dead Zone” wspominają jako złote chwile swej młodości, jak i tym, którzy urodzili się o generację później i odkrywają na nowo „oldskulowe klimaty”, które kręciły ich rodziców.

JĘZYK WYOBRAŹNI

Jest w tym wszystkim głębszy przekaz, którego istnienie nie od razu sobie uświadamiamy. Tak jak w pewnym okresie powrót do amerykańskich lat 50. był wycieczką w czasy prosperity i spokoju przed rewolucyjnymi latami 60. (Wietnam, Watergate, kontrkultura), tak dziś rolę epoki spokoju odgrywają paradoksalnie lata 80. XX w. Tak, świat pogrążony był w zimnej wojnie, a Sowieci podejmowali kolejne ryzykowne kroki, lecz Ameryka czasów Reagana, mimo dzisiejszych prób zohydzenia jej wizerunku, była krajem gospodarczego rozwoju, spokojnego konserwatyzmu, odzyskującego siły imperium i krainą świętego spokoju.

Wojny toczono daleko od granic, nikt porwanymi samolotami nie roztrząsakiwał wieżowców – symboli wolnego rynku – w centrum Manhattanu, nikomu nie śniło się, że islamski terroryzm przyniesie zagrożenie do samego centrum Zachodu. „Stranger Things” jest więc także pieśnią miłosną ku czci ery, kiedy symbolami Ameryki byli Rambo, Arnie, Indiana Jones czy interweniujący z zielonymi beretami na Grenadzie John Wayne, porządku na ulicach miast strzegł Eddie Murphy jako gliniarz z Beverly Hills, a lepsza przyszłość wydawała się równie bliska i zabawna jak wynalazki ekscentrycznego naukowca z „Powrotu do przyszłości”.

Fantastyka jest metaforą, językiem wyobraźni, który pozwala w atrakcyjny sposób mówić na nowo o starych sprawach. Opowieści o zagrożeniu z kosmosu i inwazji porywaczy ciał, którzy niepostrzeżenie zamieniają zwykłych ludzi w swoich agentów, były szczególnie wdzięcznym wehikułem w latach zimnej wojny. Horror o wilkołakach przydawał się jako metafora dojrzewania, literatura o symbolice

fantazji wampirycznych (od utraty kobiecej niewinności po metaforę mniejszości seksualnych) liczy sobie wiele tomów.

W „Stranger Things” ładne jest także to, jak fabuła współgra z przesłaniem o dorastaniu i konflikcie pokoleń. Gdy jesteśmy dziećmi, to dorośli wydają się nam istotami z innego wymiaru: mają inne rozmiary, kształty, obyczaje, pachną inaczej, a włosy rosną im w niewłaściwych miejscach. Potem, gdy jesteśmy nastolatkami, zaczynamy traktować owe obce istoty jak wrogię – czasem z wzajemnością, a na pewno z obopólnym niezrozumieniem. Warto pod tym kątem przyrzeć się serialowi braci Duffer. Szczególnie w najnowszym sezonie. Z obcymi siłami czyhającymi na Ziemię sprawa jest prosta: chcą się tu zagnieździć i wszystkich wytluć. Konia z rzędem temu, kto zrozumie prawdziwe motywacje dziewczyny, do której człek wzdycha, szefa, który okazuje się wyjątkowym dupkiem, albo rodzica, który – uwaga, znanie to wszyscy – „przecież niczego nie rozumie!”.

Nie zapominajmy jednak i o tym, że fantastyka to dobra zabawa. I bez wątpienia



★★★★★

**SEZON 3
„STRANGER
THINGS”**

**USA 2019,
NETFLIX**

wyst. Winona Ryder,
David Harbour,
Millie Bobby Brown,
Finn Wolfhard

że w drugim sezonie wskazano jeszcze inny możliwy kierunek kontynuacji, być może już z innymi bohaterami. Obdarzona telepatycznymi mocami Eleven spotkała w Chicago inną ofiarę rządowych eksperymentów, więc gdzieś w Ameryce może być ich jeszcze więcej.

Mali bohaterowie – kolejny powód, by oglądać „Stranger Things”. Obsada okazała się trafiona, a przed większością małych aktorów rysuje się przyszłość w show-biznesie. Serial zresztą już katapultował Millie Bobby Brown (grającą

Eleven) na duży ekran („Godzilla 2: Król potworów”). Podobnie jak Finna Wolfharda (grającego Mike’a), który trafił do obsady nowej wersji horroru „To” według Kinga, a wystąpi wkrótce także w nowych „Pogromcach duchów”. Dzieciaki wybrane przez braci Duffer mają talent i charyzmę, doskonale sprawdziły się także jako zespół.

DROGA W JEDNĄ STRONĘ

Wracając do dziwnych spraw, o których przypomina nam „Stranger Things”: „Jedną z tych nierozważnych, niezwykłych i nie-



Trzeci sezon „Stranger Things” jest zabawnym, trochę przerażającym i mocno przykuwa do ekranu od pierwszego do ostatniego odcinka. FOT. NETFLIX

taką szaloną jazdą, zabawną, trochę przerażającą i mocno przykuwającą do ekranu „Stranger Things” jest od pierwszego do ostatniego odcinka. Jak informuje Netflix, w ciągu pierwszych dni po premierze trzeciego sezonu ponad 40 mln gospodarstw domowych korzystających z serwisu przełączyło się na serial braci Duffer. Ponad 18 mln od razu obejrzało cały sezon. To rekordowe wyniki amerykańskiego giganta. Będzie więc i sezon czwarty, podobno ostatni, bo jak wyznają twórcy, nie da się bez końca co wakacje zrzucać na głowy małych bohaterów kolejnego kosmicznego zagrożenia. Z drugiej strony pamiętajmy,

bezpiecznych rzeczy, które robimy, będąc nastolatkami, jest szybkie wiosłowanie ku widzianym w oddali brzegom, na których czekają wymarzone cuda dorosłego świata”. Zapisalem sobie to zdanie po obejrzeniu pierwszego odcinka trzeciego sezonu serii, ciekaw tego, czy dobrze wyczuwam kierunek zmian, które czekają bohaterów.

Po obejrzeniu odcinka ostatniego z czystym sumieniem mogłem dopisać: „Wiosłujemy tak, nie wiedząc, że to droga w jedną stronę, że nie tylko już nigdy nie popłyniemy tą trasą, lecz także nawet nigdy nie wrócimy na tamten brzeg rzeki”. Bo to opowieść także o tym. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pierwszą część ekspozycji poświęcono misji Apollo 11. Są na niej m.in. kask Michaela Collinsa, tubka (częściowo zużyta) kremu Old Spice, rekonstrukcja odcisku, który w księżycowym gruncie pozostawił but Buzza Aldrina

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Trzy oblicza Księżyca



Wiesław Chelminiak

Pół wieku po amerykańskich astronautach Srebrny Glob odwiedzili paryscy kuratorzy sztuki. Efektem jest wystawa „Księżyc. Od podróży prawdziwej do wyobrażonych”

Zycie społeczne obfituje w aberracje. Nawet osobnik niewyróżniający się rozumem, siłą charakteru ani wyglądem może stać się idolem, przedmiotem powszechnej adoracji. Z naszym

satelitą jest podobnie. W hierarchii ciał niebieskich zajmuje niską pozycję, lecz fascynuje ludzkość od tysiącleci. Bliski, a zarazem tajemniczy, patron włóczęgów i zakochanych, natchnął legiony poetów, muzyków i malarzy (o autorach

powieści fantastyczno-naukowych nie wspominając), by na koniec okazać się kłamcą.

Prawie wszystko, co o nim sądziliśmy, było złudzeniem. Począwszy od rozmiarów. Księżyc jest czterysta razy mniejszy od Słońca, lecz widziany z Ziemi wydaje się tak samo wielki. Rozjaśnia nocne niebo, jednak nie on jest źródłem tego światła. Człowiek skonstruował teleskop, by go obserwować, i rakietę, by na nim wylądować. Im więcej wiedzieliśmy, tym bardziej miny nam rzedły. Potwierdziły się najgorsze prognozy – Srebrny Glob to jałowa skała, na której życia nigdy nie było. I długo jeszcze nie będzie, bo



(częściowo zużyta) kremu Old Spice, niewykorzystana porcja zafoliowanej wołowiny („przed spożyciem parzyć we wrzątku od pięciu minut do kwadrans”), rekonstrukcja odcisku, który w księżycowym gruncie pozostawił but Buzz’a Aldrina... Do tego ikoniczne fotografie wykonane przez astronautów i egzemplarze gazet z lipca 1969 r. Z pierwszej strony dziennika „Ouest-France” krzyczy tytuł: „Fantastique! L’homme sur la Lune”.

Od „wielkiego kroku dla ludzkości” zaczyna się podróż w czasie. Mijamy drewniany model kapsuły skonstruowanej na użytek pierwszego kosmicznego programu USA, telewizory wyświetlające zdjęcia kolejnych faz Księżyca i mapy powierzchni Srebrnego Globu (jedną z nich sporządził w Gdańsku Jan Heweliusz). Nauka ustępuje jednak miejsca kulturze, wystawa zaś zamienia się w hołd złożony potężnej ludzkiej wyobraźni.

RYDWANEM NA ORBITĘ

Francuzi, co oczywiste, podkreślają własne zasługi. W sąsiedztwie repliki teleskopu Galileusza ustawili zegar astronomiczny, skonstruowany w 1699 r. przez zespół, któremu przewodniczył Charles Perrault – lepiej znany jako bajkopisarz. Pokolenie wcześniej Cyrano de Bergerac popełnił „Historię ucieszonej państw i cesarstw Księżyca”. Pisarz, obdarzony przez naturę ponadnormatywnym organem powonienia, wymyślił, że w lunarnej republice tacy jak on są hołubieni, krótkonosych zaś się kastruje, by nie mieli potomstwa.

Sto lat przed amerykańską wyprawą rekordy powodzenia biła powieść Jules’a Verne’a „Z Ziemi na Księżyc”. Bohaterowie, wyruszeni z gigantycznej armaty, dotarli na miejsce po 97 godzinach i 20 minutach. Dla porównania – w realu od startu rakiety z przylądka Canaveral do lądowania na Srebrnym Globie upłynęły 102 godziny i 45 minut.

O całe 15 lat Armstronga wyprzedził Tintin, bohater belgijskiego komiksu. W tym wypadku zawiodły jednak procedury kontrolne. Podczas lotu wyszło na jaw, że wszechubylski reporter oprócz trzyosobowej załogi i psa Milusia ma na pokładzie pasażerów na gapę. Selenitów Tintin nie spotkał, ale fantazjom o księżycowych formach życia oddawali się już starożytni. Pitagorejczycy podejrzewali,

że tamtejsze rośliny i zwierzęta są piękniejsze i 15 razy większe od ziemskich. Z kolei piękna Helena wykuła się z jajka, które spadło z Księżyca.

Ale jak się tam dostać? Lukian z Samosat, zwany Wolterem antyku, za najlepszy środek transportu uznał statek porwany przez huragan (w ten sam sposób dotarł na Srebrny Glob baron Münchhausen). Lodovico Ariosto, człowiek renesansu, wybrał rydwan zaprzęgnięty w cztery konie. Praktycznym podejściem wyróżnił się Anglik John Wilkins, autor „Odkrycia nowego świata”: zalecał pasażerom latających powozów zabieranie ze sobą atrakcyjnych towarów, na wymianę handlową z Selenitami. Największym sceptykiem był Johannes Kepler – astronom, astrolog i pionier literatury fantastyczno-naukowej. Domyślając się, że na orbicie nie ma czym oddychać, uznał, że zdolne do przetrwania podróży na Księżyc są tylko demony.

EKSPEDYCJA NA CZWORAKACH

Odkryciom poszerzającym wiedzę o kosmosie towarzyszył wysyp twórczości, która obnażała deficyty wyobraźni autorów oraz ich nieczyste intencje. Pisało się niby o gwiazdach i planetach, a tak naprawdę o Ziemi. Z reguły w bardzo krytycznym tonie. Kiedy uczeni orzekli, że na powierzchni Srebrnego Globu panują ekstremalne warunki, fantasiści uczepili się teorii, że życie kwitnie pod powierzchnią. Edgar Allan Poe wymyślił Selenitów w kształcie 60-centymetrowej kuli z wielkimi rękoma, Herbert George Wells upodobił ich do mrówek.

Polak uśmiecha się z wyższością, obserwując te literackie ekscesy. Wszak już od kilku wieków na Księżycu (drzewiej zwanym Miesiącem) rezyduje nasz człowiek – pan Twardowski. W roku 1785 na chwilę dołączył do niego Wojciech Zdzaryński, który balonem uciekł przed lichwiarzami, a w 1838 r. Piast Dantyszek herbu Leliwa, bohater zapomnianego dziś poematu Juliusza Słowackiego. Skąd wziął się ten sarmacki ciąg w kosmos? Może z przekory? Edmund Burke, XVIII-wieczny filozof i konserwatysta, skądinąd sympatyzujący z Polakami, nazwał szlachecką Rzeczpospolitą krajem z Księżyca. I nie był w tej opinii odosobniony.

Z naszych poetów największym fanem Srebrnego Globu był wspomniany Słowacki. Niewiele ustępował mu Konstanty Ildefons Gałczyński („Światło moje cichnie jak muzyka / Ten promień niech

ambitne plany kolonizacji schowano do szuflady.

WOŁOWINA Z CZASÓW BEATLESÓW

W Grand Palais zwiedzających witają półmrok i cisza, z rzadka zakłócana przez dziwne „kosmiczne” dźwięki. To miła odmiana po zgiełku panującym w sąsiednim skrzydle budynku, gdzie turyści i tubylcy korzystają z ostatniej szansy obejrzenia wystawy o sztuce bolszewickiej Rosji. Jubileusz zobowiązuje, więc pierwszą część ekspozycji poświęcono misji Apollo 11. Czegoż tu nie ma: kask Michaela Collinsa, tubka



„Błękitny pejzaż”, Marc Chagall

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



„Alegoria niestałości”, Flamand Abraham

Janssens FOT. MATERIAŁY PRASOWE



„Sentymentalna”, Johann Peter

Hasenclever FOT. MATERIAŁY PRASOWE

zostanie. Ja znikam”). Urodzeni w XX w. zapewne pamiętają dwie powieści dydaktyczne dla młodzieży: „Mój księżycowy pech” Jerzego Broszkiewicza i „O dwóch takich, co ukradli Księżyc” Kornela Makuszyńskiego. Grzechem byłoby nie wspomnieć o wielkim Papciu Chmielu. Jego podopieczni – Tytus, Romek i A'Tomek – wygrali kosmiczny wyścig z Amerykanami. Już w 1968 r. eksplorowali zakamarki Srebrnego Globu, dokonując kilku istotnych odkryć („warstwa lunochichów jest tak mała, że aby się pośmiać, trzeba chodzić na czworakach”).

Zbliżony typ poczucia humoru miał Georges Méliès, twórca niemego filmu „Podróż na Księżyc”. Celny szychy parasołem wystarczał, by agresywny Selenita zamieniał się w obłok dymu. Publika śmiała się do rozpuku, lecz następcy francuskiego reżysera poszli drogą wskazaną przez Jerzego Żuławskiego w „Księżycowej trylogii”. Polak, rezygnując z naiwnego optymizmu Verne'a, przewidywał, że ludzie próbujący podbić kosmos największy problem będą mieli sami ze sobą. Ilustracją owej tezy była „Kobieta na Księżycu” Fritza Langa (astronautów dopada gorączka złota) i „Księżyc 02” reklamowany jako „pierwszy western w kosmosie”. Akcja filmu Roya Warda Bakera rozgrywa się w 2021 r. Satelita Ziemi jest już skolonizowany oraz poddany intensywnej eksploatacji. I jak to na Dzikim Zachodzie bywa, zły bogacz dybie na działkę uczciwego sąsiada.

KOBIETA ZMIENNĄ JEST

Platonicy podejrzewali, że Księżyc to jedno z miejsc, gdzie po śmierci ciał trafiają ludzkie dusze. Dante w „Boskiej komedii” doprecyzował tę koncepcję: najniższa sfera raju jest przeznaczona

dla zmarłych, którzy bez własnej winy nie dotrzymali umów i obietnic. W kulturach solarnych Srebrny Glob siłą rzeczy odgrywał rolę drugorzędną.

Aztekowie, Egipcjanie i mieszkańcy Mezopotamii przypisywali mu cechy męskie, tak samo jak wyznawcy hinduizmu. Kobiętą stał się dopiero w naszym, grecko-rzymskim kręgu kulturowym. Personifikowały go Artemida, Selene i Hekate, przedstawiana zwykle z trzema twarzami. Ta okoliczność natchnęła kuratorów wystawy, by zbiór „lunarnych” dzieła sztuki podzielić na sekcje.

Pierwszą, romantyczną, zapowiada plakat paryskiej ekspozycji z „Błękitnym pejzażem” Marca Chagalla. Nieco mniej bajkowy jest obraz Williama Dyce'a, przedstawiający słynną parę średniowiecznych kochanków. Francesca da Rimini jakby przeczuwała, że Księżyc nie jest jedynym świadkiem jej schadzki ze szwagrem. Zwiastun tragedii, w postaci dłoni zazdrosnego małżonka, można dostrzec z lewej strony płótna. Kpiną z romantycznej miłości jest „Sentymentalna” Johanna Petera Hasenclevera. Zalana łzami dziewczyna tęsknie wypatruje przez okno, na stoliku leży list od wybranka, bukiet wędnących kwiatów i powieść „Cierpienia młodego Wertera”.

Drugie, kapryśne oblicze bogini sportretował Flamand Abraham Janssens. „Alegoria niestałości” jest kobietą z nagimi piersiami: w jednej ręce trzyma sierp Księżyca, w drugiej homara, którego uznano za stworzenie nieobliczalne z tego powodu, że równie sprawnie porusza się do tyłu i do przodu.

Trzecia bogini patronująca Księżycowi, Hekate, jest posępna. Patronuje szaleńcom, samobójcom, kabalistom, czarownicom oraz istotom, które zatraciły człowieczeństwo. Czarny Księżyc oświetla pobjawie-

sko pod Waterloo i Chrystusa w ogrodzie Oliwnym. Artyści, rozmiłowani w folklorze, malowali niemieckie ondyny – dusze dziewcząt, które umarły przed ślubem (teraz błakają się po Ziemi, wodząc śmiertelników na pokuszenie), albo ich słowiańskie siostry – rusalki. Z tej samej rodziny pochodzi Mickiewiczowska Świtezianka.

JA CIĘ KOCHAM, A TY ŚPISZ

Kuratorzy oparli się pokusie uatrakcyjnienia ekspozycji wizerunkami wampirów, wilkołaków i żywych trupów. Zlekceważyli tropy muzyczne (a byłoby w czym wybierać – od „Sonaty księżycowej” Beethovena po album „Dark Side of the Moon” zespołu Pink Floyd i hiszpański przebój „Hijo de la Luna”). Do minimum ograniczyli sekcję filmową. „First Man”, „Iron Sky” i serial „Kosmos 1999” są dostępne, ale w sklepie muzealnym.

Z prac współczesnych artystów w pamięci zostają surrealistyczne kolaże Rosjanina Leonida Tiszkowa. Srebrny Glob jest w nich na wyciągnięcie ręki. Ostatnia część wystawy nosi tytuł: „Zaproszenie do piękna”. Składają się nań przede wszystkim nokturny. Księżycowe światło odbija się w rzekach, jeziorach, morskich zatokach i weneckich kanałach. Niekompletnie ubrane lunatyczki podążają na świątynne wzgórze.

Zwiedzających zagna ukryta za zasłoną rzeźba Antonio Canovy „Endymion śpiący”. Zaniepokojony, marmurowy pies podnosi głowę. Czyżby wyczuł, że pod postacią promienia bogini Księżyca odwiedza jego pana?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „La Lune. Du voyage réel aux voyages imaginaires” w paryskim Grand Palais była czynna do 22 lipca.

76. Tour de Pologne®

03-09.08.2019

UCI  WORLD TOUR



WYŚCIG POKOLEŃ



ETAP 1 KRAKÓW — KRAKÓW / ETAP 2 TARNOWSKIE GÓRY — KATOWICE / ETAP 3 STADION ŚLĄSKI, CHORZÓW — ZABRZE
ETAP 4 JAWORZNO — ŚLĄSKIE, KOCIERZ / ETAP 5 KOPALNIA SOLI „WIELICZKA” — BIELSKO-BIAŁA
ETAP 6 MAŁOPOLSKA, ZAKOPANE / ETAP 7 BUKOVINA RESORT — BUKOWINA TATRZAŃSKA

Sponsor Główny

Carrefour 

Oficjalni Partnerzy

SS5 studio55
advertising solutions

MM CARS
car rental

Oficjalny Pomiar Czasu

TISSOT
SWISS WATCHES SINCE 1853

Oficjalna Woda

CISOWIANKA

Sponsorzy Wspomagający

SPORT
30g of moving

IMPEL GROUP

ELMAR

PROMOKRAFT

Pogotowie Ratunkowe Siedlce

MAVIC

LAVARD

BRUNOX

Sponsorzy Oficjalni

TAURON

LOTOS

Partner Strategiczny

LOTTO

Patroni Medialni

onet

SPORTOWI

TVP 1

ESKA

CINEMA CITY

cityboard media

pap
POLSKA AGENCJA PRASOWA

TVP SPORT

SUPER express

wprost

Partnerzy

BUKOVINA RESORT

WIELICZKA

Śląskie.

Polska
POLSKA ORGANIZACJA TURYSTYCZNA

Oficjalny Przewoźnik

PKP INTERCITY

SZOSA

VOX
WYBIEŻ NIE WYBIEŻ

wawa
WAWA

REZERWACJA

ZIS

quest

Związek Ochotniczych Straż Pożarnych RP

MAŁOPOLSKA

BIK WORLD.PL

plus radio

ASKA ROCK

ORGANIZATOR

LANGTEAM

WWW.LANGTEAM.COM.PL



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

O wielkim małym człowieku



★★★★★
REŻ. ASIF KAPADIA
„DIEGO”
(„DIEGO MARADONA”)
WIELKA
BRYTANIA 2019

Ludzka natura dąży do równowagi. Nadmiarowi talentu z reguły towarzyszy niedostatek charakteru. Żaden sportowiec nie wzbudzał tak skrajnych emocji jak Diego Armando Maradona. Kibice wielbili go wręcz bałwochwalczo, dla krytyków był uosobieniem patologii współczesnego futbolu. Geniusz i oszust. Wybraniec bogów, który zapłacił za swe wyniesienie wysoką cenę.

Dokument Kapadii jest przy czynkarski. Obejmuje tylko wycinek biografii futbolisty – od roku 1984 do początku lat 90. Argentyńczyk występował wtedy w barwach Napoli. Szydzono, że najbiedniejsze miasto Italii kupiło najdroższego piłkarza świata. Przeciwnicy, ośmieszani przez niskiego napastnika (165 cm), maltretowali go w każdym meczu. W tle tlił się konflikt

północ-południe. W Lombardii i Piemontie drużynę z Neapolu witały okrzyki: „Umyjcie się!”, „Jesteście hańbą Włoch!”. Nic dziwnego, że gdy przy walnym udziale Maradony udało się pokonać arogantów z Juventusu, pod Wezuwiuszem wybuchła euforia.

W podobnych okolicznościach Diego poprowadził do mistrzostwa jedenastkę Argentyny. Zwycięski, ćwierćfinałowy mecz z Anglią okrzyknięto rewanzem za przegraną wojnę o Falklandy. Pierwszy gol, strzelony ręką, był zaprzeczeniem idei fair play, drugi – poprzedzony rajdem przez pół boiska – dowodem wielkości Maradony. Rację miał jednak Pele, mówiąc, że jego następca nie jest wystarczająco dojrzały, by udźwignąć ciężar odpowiedzialności. Widać to było także poza boiskiem.

„Boski” Diego kłamał w żywe oczy. Brakowało mu odwagi, by przyznać się do spodzienia nieślubnego potomka. Zagustował w nocnych imprezach, prostytutkach i kokainie. Żył za pan brat z bossami camorry, którzy płacili mu za wspólne fotki złotymi rolexami. Grzechy gwiazdora były tajemnicą poliszynela, lecz patrzono na nie przez palce. Do czasu. Na kolejnym mundialu Argentyńczyk podpadł Włochom, ogrywając ich reprezentację w półfinale, i przestał być nietykalny.

Film na dobrą sprawę powinien nosić tytuł „Italia i Maradona – od miłości do nienawiści”. Gdy przybył do Neapolu, witano go jak Mesjasza. Wyjeżdżał chyłkiem, jak złodziej. Kapadia wykonał pracę godną Herkulesa: przekopał się przez tony materiałów, by stworzyć wiarygodny portret (anty)bohatera. Jak na mój gust, potraktował go wielkodusznie. Jak tu nie lubić 15-latkę ze slumsów, który gra, by utrzymać rodziców i cztery siostry? Czy można potępiać człowieka z rozdwojeniem jaźni? Reżyser sugeruje, że oprócz Maradony – potwora stworzonego na użytek kariery i wścibskich mediów – istniał (a może nawet wciąż istnieje) nieśmiały i sympatyczny Diego. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „TRUPOSZE NIE UMIERAJĄ”

Legenda amerykańskiego kina mniej komercyjnego znów flirtuje z horrorem. Po wampirycznym „Tylko kochankowie przeżyją” (2013) przyszedł czas na komedie o zombi. Premiera w Cannes i gwiazdorska obsada nie mogą jednak ukryć, że reklamowana jako „ostro antytrumpowska” produkcja jest średnio udanym filmem,

a satyrą ledwie przeciętną. Nawet Iggy Pop jako ożywiony trup poprawia humor umiarkowanie. ©© **Piotr Gociak**

• „Truposze nie umierają”,
reż. Jim Jarmusch,
wyst. Bill Murray, Adam Driver, Tom Waits,
USA 2019

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „W deszczowy dzień w Nowym Jorku” („A Rainy Day in New York”),
reż. Woody Allen, USA 2019
- „Pełzająca śmierć” („Crawl”),
reż. Alexandre Aja, USA 2019
- „Dzieci lata” („Sumarbörn”),
reż. Guðrún Ragnarsdóttir,
Islandia/Norwegia 2017

Niech będzie

Jaki byłby świat bez Beatlesów? Odpowiedź zmrózi fanów czwórki z Liverpoolu: dokładnie taki sam.

Pracownik hurtowni z Gorleston w hrabstwie Suffolk dostaje zaskakujący prezent od losu. Z przyczyn bliżej nieznanych z historii znika twórczość jego muzycznych idoli. Na hasło „Beatles” internetowa wyszukiwarka reaguje wyświetleniem stron o żukach, zaś na zestaw „John, Paul, George, Ringo” – o polskim papieżu.

Tylko Jack zna kulowe piosenki, a nawet potrafi je zagrać i zaśpiewać. Niestety, ma naturę outsidera. Dopiero występ w Moskwie (!) okazuje się przełomem. Młodzieniec, obwołany „Szekspirem

muzyki pop”, wpada w panikę. Nękają go wyrzuty sumienia. Natura próżni nie znoś, więc ekranem zawładną postacie z drugiego planu: brutalnie szczerza menedżerka, zabawny kumpel oraz Ed Shreeran we własnej osobie, który proponuje, by tytuł „Hey, Jude” zmienić na „Hey, Dude”.



★★★★★
REŻ. DANNY BOYLE
„YESTERDAY”
WIELKA BRYTANIA
2019

wyst. Himesh Patel,
Lily James, Joel Fry

Wakacyjne kino jak z obrazka: poprawia samopoczucie, gdy na zewnątrz jest za gorąco albo zbyt deszczowo. Po duecie Curtis-Boyle można było oczekiwać czegoś więcej niż garści fabularnych klisz, okraszonej piosenkami, które wszyscy znają i kochają. Nie spodziewałem się, że zatęsknię za „Yesterday” Radosława Piwowarskiego. ©©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DO PIEKŁA, DO PIEKŁA, DO PIEKŁA

„Dom, który zbudował Jack” to ciężka próba dla nerwów i żołądka widzów. Podczas pokazu w Cannes w ubiegłym roku blisko sto osób wyszło z pokazu, zdegradowanych okrucieństwem pokazanym szczegółowo na ekranie. Tak właśnie – pokazany, a nie sugerowany. Von Trier nie wahał się kiedyś w „Idiotach” pokazać ludzkiej śmieszności, filmując nagich amatorów i każąc im przed kamerą kopulować, teraz nie zawahał się przed pokazaniem scen, które bardziej na miejscu byłyby w horrorach typu gore czy slasher. Roztrzaskanie przez seryjnego mordercę (tytułowego Jacka gra Matt Dillon) twarzy podnośnikiem do samochodów. Obcięcie kobiecych piersi, egzekucja wykonana na całej rodzinie z myśliwskiej ambony, zbzczenie zwłok i inne chore pomysły – a jednak wszystko to zamienia się w moralitet i podróż po dalekich kręgach piekła z Wergiliuszem (Bruno Ganz) jako przewodnikiem. Von Trier nie ma litości dla widza, dla swych bohaterów ani dla cywilizacji, której choroby opisuje.

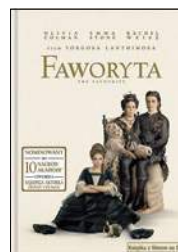


wyst. Matt Dillon, Bruno Ganz,
Uma Thurman

★★★★★
REŻ. LARS VON TRIER
„DOM, KTÓRY ZBUDOWAŁ JACK”
DANIA/
FRANCJA 2018,
DYSTR. DASAN

JAK KOCHAJĄ KRÓLOWE

Kreacja Olivii Colman w filmie „Faworyta” (zasłużony Oscar) jest niezwykła. Cierpiąca i krzywdząca, zakochana i zdradzana, samolubna, nieszczęśliwa – jej królowa Anna jest naraz tymi wszystkimi osobami, wnosząc na duży ekran portret na wskroś ludzki. Dzieło byłoby jednak niepełne, gdyby nie partnerujące jej Emma Stone i Rachel Weisz, konkurujące o względy brytyjskiej monarchini. Kostiumowy dramat władzy i namiętności to pierwszy film Yorgosa Lanthimos, przy którym skorzystał z cudzego scenariusza, ale to wciąż jego autorskie kino: przejmujące, przenikliwe, dające do myślenia. Imponujące efektywnością, bo przy niewielkim budżecie udało się wiarygodnie namalować obraz XVIII-wiecznej Anglii. Film porównywany przez niektórych zachodnich krytyków do „Barry’ego Lyndona” Kubricka jest bez wątpienia jedną z najciekawszych propozycji kinowych ostatnich lat. ©©



wyst. Olivia Colman, Emma Stone,
Rachel Weisz

★★★★★
REŻ. YORGOS LANTHIMOS
„FAWORYTA”
WIELKA BRYTANIA/
IRLANDIA 2018,
DYSTR. IMPERIAL

recenzuje Piotr Gociak

GRA TYGODNIA: „F1 2019”

Codemasters przyzwyczało nas już do kolejnych odsłon najbardziej prestiżowych wyścigów świata. W edycji sezonu 2019 tradycyjnie dostępnych będzie wszystkich 21 realistycznie odwzorowanych torów, ale jest i kilka nowości. Jedną z nich to możliwość wzięcia udziału

w efektownych wyścigach nocą, ale na prawdziwą uwagę zasługuje dodanie wątku fabularnego, w którym na szczyt wspinamy się, startując w Formule 2. Przerywniki filmowe, interakcje z zespołem i menedżerem – to wszystko wzbogaca symulator F1, choć pozostawia poczucie



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

niedosytu i niewykorzystanego potencjału. ©© Marcin Makowski

- Gatunek: Wyścigi
- Platforma: PS4/XONE/PC
- Producent, dystrybutor: Codemasters Software/CDP
- Klasyfikacja PEGI: 4+

MOJA PÓŁKA

Herling pochwala realizmu

KRZYSZTOF
MASŁON

Jak ten dziennik, mimo upływu lat, znakomicie się czyta! Niezależnie od tego, że nie wszystkie oceny Gustawa Herling-Grudzińskiego – mniej może polityczne, a bardziej dotyczące się konkretnych osób – wytrzymały próbę czasu. Zastanowić się też można, dlaczego przyłgnęła do autora „Innego świata” etykieta człowieka bezkompromisowego, surowego w swych sądach, nieprzejednanego w stosunku do tych kolegów po piórze, którzy dali się, choćby i na krótko, złapać na lep w czerwonym kolorze. Dość przeczytać to, z jaką wyrozumiałością pisał on nawet np. o Janie Kotcie, choć nie omieszczał wspomnień mu wyznania uczynionego po wybuchu poznańskiego powstania w czerwcu roku 1956, kiedy to – czytamy – ten „znakomity przedstawiciel środowisk intelektualnych zasłabł i wyszeptał: »Teraz będą nas wieszać«”. Że jeszcze tylko napomknę o Adamie Michniku, którego „Listem z więzienia” i „Z dziejów honoru w Polsce” Herling zachwycał się w latach 80. niepomiernie.

Nie znaczy to, że tam, gdzie wyraźnie nerwy mu puszczały, nie potrafił uderzyć pięścią w stół. Na przykład gdy kilka rzewnych strof poświęcił niedysyjszemu arcydziełu, czyli „Popiołowi i diamentowi” Jerzego Andrzejewskiego. W 1948 r. – wspomina Herling – „napisałem w Londynie artykuł o powieści Andrzejewskiego, który wywołał w kraju dwojakie reakcje. Paru przedwojennych przyjaciół (a wówczas już »diamentowych budowniczych Polski Ludowej«) dało mi, nie przebiegając zanadto w słowach, znać, że wolą nie utrzymywać w przyszłości stosunków z »rozbitkiem na śmietniku historii«. Trzy przesłane pocztą listy od anonimowych przedstawicieli »popiołu« zawierały gorące



FOT. BASIO CANARSKA/OPALE/LEPIEJ JEJEST NEWS

i jednobrzmiące prawie podziękowania. Osią mojego artykułu było zdanie: »Od pierwszej do ostatniej strony książki Andrzejewskiego jest nieuczciwa i świadomie zniekształca rzeczywistość«.

Sławomir Mrozek pisał o powieści tej, „przerabianej” w szkołach na lekcjach języka polskiego jako lektura obowiązująca przez wszystkie lata PRL, jeszcze mocniej: „kłamliwa”. A Tadeusz Konwicki we „Wschodach i zachodach księżycy” zwracał uwagę na drugą stronę medalu zwanego „Popiół i diament”, czyli film Andrzeja Wajdy. „Mogę o tym mówić – pisał Konwicki – bez skrępowania, bo sam się miałem tego procederu... Ja, kłamca, domagam się prawdy. Dla kilku pokoleń ten film (przeróbka »Popiołu i diamentu«) był prawdą o moim pokoleniu. Był prawdą wbrew mnie, ponad moją głowę, właściwie przeciwko mnie. Ale go wspierało mozną dłoń państwo. Reżym czynił z tego filmu etos Polaka po wielkim trzęsieniu ziemi w połowie XX wieku. To był nasz, to jest nasz dzisiejszy »Pan

Tadeusz« i dzisiejsze mazurki Chopina”.

Nawiasem mówiąc, Państwowy Instytut Wydawniczy przymierza się do edycji „Dzieł” Jerzego Andrzejewskiego. Nie, żeby mi akurat „Popiołu...” w nich brakowało, ale jakoś mi ten autor do zbiorowych wydań nie pasuje. Ułomny był bez „Ładu serca”, kulawy i zezowaty pozostaje bez „Partii i twórczości pisarza”. A Herling-Grudziński pod osąd publiczny wystawiał jego mocno cyniczne postępowanie pozwalające na, z jednej strony, aktywne uczestniczenie w działaniach Komitetu Obrony Robotników i szeroko pojętej opozycji politycznej, a z drugiej akceptowanie w obiegu swojej kłamliwej książki. Która zresztą przynosiła, w związku z licznymi dodrukami, niemałe zyski. Przywoływał tu zdanie, jakie usłyszał od innego pupila komunistycznej władzy, Kazimierza Brandysa, który o swej obrzydliwej powieści „Obywatele” powiedzieć miał: „Książka jest kłamliwa, ale dobrze napisana”.

Pisał Herling-Grudziński swoje uwagi o „Popiole i diamentach” w końcu 1982 r. Twierdził, że następuje proces ozdrowieńczy, ale przecież nie mógł zaręczyć, iż recydywa totalitaryzmu się nie powiedzie. W każdym razie przed nią ostrzegał, a półtora roku później – po lekturze „Rozmów polskich latem 1983” Jarosława Marka Rymkiewicza – wzdychał niczym ja teraz nad „Dziennikiem pisanym nocą”: „Jaka ładna i rozumna książka!”. I wyliczał Herling-Grudziński, sporządzając swą pochwałę realizmu w literaturze, a dokładnie pochwałę realizmu „Wenecji ocalonej” Simone Weil, „Raportu z oblężonego Miasta” Zbigniewa Herberta i właśnie „Rozmów polskich latem 1983”. ©©



★★★★★

**GUSTAW
HERLING-
GRUDZIŃSKI
„DZIENNIK
„PISANY NOCĄ”
(VOL. 2, 1982–
1992, DZIEŁA
ZEBRANE, TOM 8)
WYDAWNICTWO
LITERACKIE 2019**



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Tradycja to nie imię

Ptaki mieszkające w zamku, otoczone świętą ludzkich służących? Błagam was, kto to widział!" – żartuje Christopher Skaife, autor książki „Strażnik kruków. Moje życie wśród kruków w Tower”. Historia Skaife’a też zwyczajna nie jest – niemal przez trzy dekady służył w brytyjskiej armii, najpierw szkolono go do walki z armią sowiecką, potem stacjonował w Irlandii Północnej pod kulami IRA, jeszcze później los rzucił go w tropiki. A wszystko to było dopiero wstępem do jego nowej kariery – opiekuna żywych symboli imperium.

„Strażnik kruków” to książka błaha i niespecjalnie istotna, a mimo to czytałem ją z wielkim zainteresowaniem. Może dlatego, że jednym z moich ulubionych punktów spacerów po londyńskim zamku jest wycieczka po krętych schodkach do historycznego mieszkania strażników. A może winić trzeba Andrzeja Perepeczko i jego powieść

„Dzika Mrówka i tam-tamy”, bo to tam za młodu po raz pierwszy czytałem (z wypiekami na twarzy) o atrakcjach Londynu i o tym, że „do obowiązków tych w czerwonych kubrakach należy karmienie kruków”. Oraz o tym, że „z takimi krukami, od których zależy przyszłość brytyjskiego imperium, to nigdy nic nie wiadomo”.

Książka Skaife’a to lamus

ciekawostek, groch z kapustą: mamy tu trochę wiadomości o samych krukach (bez wątplenia najinteligentniejszych z ptaków), o ich postrzeganiu w legendach i kulturze. Są opowiadki z życia codziennego strażników Tower, sekrety szkolenia, opis rekrutacji ludzi i... ptaków. Nie każdy kruk się nadaje, choć w odróżnieniu od swoich opiekunów nie musi mieć za sobą przynajmniej 22 lat nieposzlakowanej służby wojskowej zakończonej w stopniu przynajmniej chorążego.

Narzekam nieraz, że w księgarniach mamy dziś zbyt wiele nowości nieistotnych, czytając „Strażnika kruków” częściej się uśmiechałem, niż sarkając. To szczerza książka literackiego laika, który dzieli się z innymi swą dumą i miłością – nie tylko do zwierząt ale także do tradycji, historii, do swojego kraju po prostu. Zazdroszczę Anglikom tego wszystkiego, marząc o chwili,

kiedy i nad Wisłą tradycja będzie czymś więcej niż imieniem dziewczynki z „Misia” Barei. A Chrisowi gratuluję: dwa tygodnie przed narodzinami księcia Archiego to właśnie pan Skaife ogłosił światu, że po raz pierwszy od 30 lat w kruczej kolonii w Tower wykluły się młode. Imperium zatem nie upadnie. Przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. ©©



★★★★★
CHRISTOPHER SKAIFE
„STRAŻNIK KRUKÓW”
ZNAK LITERANOVA 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Kronikarska biografia jednego z najsłynniejszych afrykańskich dyktatorów (władcy Zairu – dziś Kongo), mniej szalonego niż Idi Amin, ale o większych ambicjach i sprytniejszego. Chwilami zbyt przychylna dla despoty.



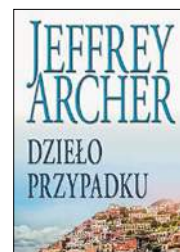
JEAN-PIERRE LANGELLIER
„MOBUTU”
PIW

Ćwierć wieku od ostatniego wydania słynna seria brytyjskiego przyrodnika wraca na księgarskie półki. A dzięki temu i my wracamy na grecką wyspę Korfu lat 30. XX w. – do domu utalentowanej rodziny Durrellów.



GERALD DURRELL
„MOJA RODZINA I INNE ZWIERZĘTA”
NOIR SUR BLANC

Piętnaście opowiadań plus fragment powieści – autor bestsellerów z serii „Kane i Abel” czy kronik rodziny Cliftonów wraca do pisania krótkiej formy, której jest mistrzem. Pomysł przynosi mu życie, a czas pióra nie stępił.



JEFFREY ARCHER
„DZIEŁO PRZYPADKU”
REBIS

Najważniejsze, najbardziej znane opowiadania mistrza grozy w nowym przekładzie, z ciekawym posłowiem i w eleganckiej szacie graficznej. Ciąg dalszy wskrzeszania klasyki horroru i fantastyki przez oficynę Vesper. ©©



H.P. LOVECRAFT
„ZEW CTHULHU”
VESPER

poleca Piotr Gociek

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Jo Nesbø „Nóż” (Wydawnictwo Dolnośląskie)** – 12. powieść o Harrym Hole’u, który znów tkwi po uszy w kłopotach, także osobistych.
2. **Blanka Lipińska „Kolejne 365 dni” (Agora)** – ciąg dalszy bestsellera erotyczno-kryminalnego produkcji polskiej, wkrótce niestety także film.
3. **Rachael Lippincott „Trzy kroki od siebie” (Media Rodzina)** – o dziewczynie bez układu odpornościowego – melodramatyczna love story. Film w kinach.
4. **Blanka Lipińska „365 dni” (Edipresse)** – sukces sequela (patrz: miejsce drugie zestawienia) przywrócił na listy bestsellerów powieść sprzed roku.
5. **Vincent V. Severski „Odwet” (Czarna Owca)** – ciąg dalszy „Zamętu”. I ciąg dalszy strojenia się autora – dawnego szpiega SB – w szaty celebryty III RP.

(Najchętniej kupowane książki w sieci salonów Empik od 24 czerwca do 7 lipca 2019 r.)



Gospodarze z Czeremchy

Niemal od ćwierćwiecza na Festiwal Wielu Kultur i Narodów w Czeremsku na Podlasiu przyjeżdżają zespoły z Polski i z zagranicy. Bywają tam nie tylko muzycy zza miedzy, lecz także i artyści prezentujący kulturę narodową tysiące kilometrów od Wisły. Goszczą ich oczywiście organizatorzy festiwalu, ale

też pewien zespół, który występuje tu w roli gospodarzy – Czeremska. Gospodarski chwalić się nie wypada, to goście i ich potrzeby są najważniejsze, jednak zrobimy na przekór i przy okazji festiwalu, który rozbrzmiewał w ostatni weekend w Czeremsku, przypomnimy właśnie o gospodarzach.

Czeremska to przykład tego, że wytrwałość popłaca. Grupa zawiązała się w 1993 r. w ośrodku kultury w niewielkiej miejscowości na pograniczu polsko-białoruskim. Inicjatorką powstania zespołu, który będzie występował z repertuarem charakterystycznym dla tego miejsca, będącego mieszanką wpły-

wów polskich, białoruskich i ukraińskich, była Barbara Kuzub-Samosiuk. Przez ćwierć wieku Czeremska pozostała wierna podlaskiej muzyce, dbała o to, by wykonywać ją na najwyższym poziomie, by wielogłosowym śpiewom towarzyszyło bogate instrumentarium, by poważnie traktować swoich odbiorców i dbać nie tylko o to, jak grupa brzmi, lecz także o to, jak prezentuje się na scenie.

To zaowocowało. Czeremska wyrosła na liczący się polski zespół folkowy, który jest chętnie zapraszany na wydarzenia folkowe w Polsce i zagraniczne festiwale „world music”. Na koncie ma zaledwie siedem albumów. Niewiele jak na 26 lat działalności. Jednak Czeremska to zespół typowo koncertowy. Na scenie czuje się lepiej niż w studiu, a na żywo odbiera się ją przyjemniej niż ze słuchawkami na uszach. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Jest jeden problem

Ten wykonany musical scenarzysta Richarda Curtisa („Cztery wesela i pogrzeb”, „Dziennik Bridget Jones”) oraz zdobywcy Oscara, reżysera Danny’ego Boyle’a („Slumdog Millionaire”, „Trainspotting”) oparty jest na piosenkach Beatlesów. Na prawa do wykorzystania 17 utworów Wielkiej Czwórki poszła znaczna część budżetu filmu.

Jack Malik budzi się w świecie, w którym Beatlesi nie istnieli i tylko on zna ich piosenki. Na papierze, a nawet ekranie taki pomysł może mieć sens, ale na płycie to już tak intrygujące nie jest. Debiutujący w kinowej fabule Himesh Patel otrzymał rolę Malika dzięki bezpretensjonalnemu wykonaniu piosenki Coldplay „We Never

Change”. W filmie śpiewa wszystkie piosenki Beatlesów, „I Want to Hold Your Hand” w duecie z Lily James oraz premierowy utwór „Summer Song”. Jego ciepło-słodkie interpretacje bardziej przekonują w balladach. Może też dlatego, że intymne utwory, zachowujące charakterystyczne elementy oryginałów, posiadają wyraźnie zmienione aranżacje. Aby rozbić monotonię, na płycie jest siedem interludów autorstwa Daniela Pembertona, doświadczonego kompozytora muzyki filmowej znanego ze współpracy z Ridleyem Scottem.

Jest jeden problem. W świecie, w którym istnieją nagrania Beatlesów, wysłuchanie bez irytacji trwającego prawie godzinę soundtracku jest możliwe tylko przez noworodki. ©©



★★★★★
MUZYKA
FILMOWA
„YESTERDAY”
POLYDOR



★★★★★
THOM YORKE
„ANIMA”
XL

Lider Radiohead, nie bacząc na trendy, penetruje obszary chłodnej, rozrzuconej elektroniki. Zniekształcone brzmienia, niepokojące rytmy, a w tekstach nieufność do otaczającego nas świata. Rozhisteryzowana bajka na dawno przerobione tematy.



★★★★★
HOLLYWOOD
VAMPIRES
„RISE”
EARMUSIC

Starzy rozpustnicy (Alice Cooper, Joe Perry, Johnny Depp) z rozkoszą toją i szerzą hedonistyczną anarchię. Na drugim albumie poza coverami (m.in. „Heroes” Bowiego) dostajemy sporo premierowych numerów przesiąkniętych rockową naftaliną. ©©



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Kaczynski miał rację

W serialu satyrycznym „Little Britain” jest taka seria skeczy, które opierają się na jednym zdaniu: „Komputer mówi nie”. Ktoś przychodzi do banku, chce otworzyć konto albo wziąć kredyt. Pracownik stara się mu pomóc, stuka w klawiaturę, ale niestety: komputer mówi – „nie”. I nic nie można na to poradzić.

Satyra bywa również przewidująca jak powieści science fiction. Historia jak z „Little Britain” zdarzyła się mojej żonie (pewnie nie jej jednej). Otóż, w wyniku pewnego dziwnego układu zer i jedynek, a może po prostu w wyniku zwykłej złośliwości przedmiotów martwych, zablokowano jej możliwość przedłużenia umowy na telefon.

To było nawet całkiem zabawne. Otóż co jakiś czas dzwonił do niej przedstawiciel operatora sieci komórkowej i wypowiadał znane nam wszystkim teksty. Że nowa umowa, że wierny klient i że wspaniała oferta. Moja żona odpowiadała, że chętnie przedłuży, ale niestety jest to niemożliwe. Na co handlowiec zapewniał ją z lekceważącym uśmiechem, że jak najbardziej. Po czym przechodzili kilka kroków i nagle komputer mówił „nie”. Facetowi (tudzież kobiecie) z call center zrzęda mina, podkulił ogon i wycofywał się skonfundowany.

Tych prób było – nie przesadzam – z 15. Sprawa przeszła nawet na jakiś wyższy szczebel ludzki (skądinąd, wiecie, jak zwie się żywych pracowników w procedurach bankowych? Interfejs biał-

kowy). Ten wyższy szczebel ludzki natężał się i bardzo starał, ale efekt za każdym razem był ten sam: komputer mówił „nie”. Mojej żonie nie można było przedłużyć umowy. System nie pozwalał.

Wydawałoby się, że te systemy są kontrolowane przez ludzi, ale – jak się okazuje – nie do końca. Tutaj nie dało się nic zrobić. Człowiek przegrał z maszyną. Ba! Nawet kapitalizm przegrał z technologią. Korporacja straciła panowanie nad własnym narzędziem! Bo jak się skończyła sprawa? Interfejs białkowy zadzwonił do mojej żony, przyznał się do klęski i wyznał, że jest tylko jedno wyjście z sytuacji. Moja żona musi zmienić operatora. Czyli przejść do konkurencji. Słyszał kto kiedy coś takiego?

Ta historia przypominała mi manifest „Społeczeństwo przemysłowe i jego przyszłość” autorstwa Teda Kaczynskiego, czyli słynnego Unabombera. W latach 80. i 90. ubiegłego wieku wysyłał on pocztą sprytnie skonstruowane bomby, które okaleczyły i uśmierciły wiele osób, głównie związanych z nauką i techniką. Unabomber był nieuchwytny. W 1995 r. zgodził się zakończyć swą działalność, pod warunkiem opublikowania jego manifestu w „New York Timesie”. Dzieło było wielkim ostrzeżeniem przed nowoczesnością i dowodziło, że technologia nas zniewala. Że to nie my ją kontrolujemy, lecz ona nas.

Kaczynski pisał to wszystko w czasach, gdy Zuckerberg miał 11 lat. No cóż, chyba miał rację. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Muezin z Notre Dame

To, że świat (zachodni) zwariował, wydaje się dziś tezą bezdyskusyjną. Owszem, słabe oznaki normalności daje się słyszeć ze Stanów, głównie za sprawą prezydenta Trumpa. Ostatnio wygarnął on czterem lewackim (i w dodatku kolorowym) kongresmenkom, przy każdej okazji zawzięcie krytykującym Amerykę, że jeśli nie podoba im się USA, to mogą wrócić do siebie (np. do Somalii) i tam

postępowego myślenia jest dyskusja na temat odbudowy katedry Notre Dame. I tak dobrze, że mówi się o odbudowie.

Gdyby merem Paryża był Rafał Trzaskowski, kto wie – może by wyburzył obiekt, wybetonował teren, zrobił dookoła kilka ścieżek rowerowych i postawił leżaki. Podejrzewam jednak, że nie pozwala na to kalkulacja finansowa, turyści ciągle wolą oglądać Notre Dame niż Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Dlatego pomysły władz francuskich są bardziej minimalistyczne, choć jakoś nie przychodzi im do głowy, żeby odbudować dokładnie tak, jak było, i nie kombinować.

Niestety, od czasu, kiedy szklana piramida oszpeciła Luwr, nie wchodzi to w grę. Pojawiły się więc koncepcje, żeby zamiast gotyckiego dachu zrobić taras albo szklany strop, albo ogród na dachu, albo basen... Osobiście proponowałbym połączyć te wszystkie koncepcje – a więc szklany strop, basen otoczony sztucznymi palmami, a zimą lodowisko. Ponieważ w międzyczasie katedra będzie już meczetem (zabraknie katolików, by ją wypełnić), a wieżyczkę odbuduje się na minaret, już widzę oczyma wyobraźni funkcjonowanie tego przybytku. Na dole mężczyźni tłumnie biją łąbem w dywanik, na górze paryżanki-muzułmanki pluskają się w burkini. Całość mogłaby ukoronować nowa ekranizacja głośnej powieści Wiktora Hugo – „Muezin z Notre Dame”. ©©

Szklany strop, basen otoczony sztucznymi palmami, zimą lodowisko, a wieżyczkę odbuduje się na minaret

walczyć o wolność i demokrację. Postępowe media zawyły, ale Trump od dawna nie przejmuje się mediami. Przeciwnie – w drażnieniu CNN-owskiej hołoty doznaje dwuznacznej przyjemności.

W Europie odwrotnie – tu każdy polityk dba, ile sił, aby nie podpaść czwartej władzy – i nawet jeśli w głębi ducha jest rozsądny, musi klepać brednie o walce z klimatem, dyskryminacji mniejszości seksualnych (gdy faktycznie dyskryminowana już jest normalna większość) i konieczności przyjmowania uchodźców, którzy „ubogacają” Stary Kontynent. Esencją

Czy polscy żołnierze pojedą do Syrii?



Witold Repetowicz

Na początku lipca USA zintensyfikowały swoje wysiłki, by część amerykańskich sił przebywających w Syrii północno-wschodniej została zastąpiona sojusznikami

Na razie nie ma mowy o wysłaniu tam polskich żołnierzy. Taka decyzja mogłaby być niepopularna przed wyborami, gdyż polska opinia publiczna nie zna celów tej misji i brak jej świadomości, że nie ma ona charakteru bojowego.

Sugestie ze strony USA, by europejscy sojusznicy zastąpili Amerykanów w Syrii, pojawiły się już niedługo po tym, jak w grudniu ub.r. Donald Trump zapowiedział wycofanie stamtąd sił swojego kraju. Deklaracja ta spotkała się wówczas z dość intensywną krytyką zarów-

no w Europie, jak i w samej Ameryce. W proteście przeciwko tej decyzji do dymisji podał się m.in. ówczesny sekretarz obrony James Mattis, a wpływowi senatorowie, tacy jak Marco Rubio, Bob Menendez, Bob Corker czy nawet bliski Trumpowi Lindsey Graham, apelowali do prezydenta o zmianę tej decyzji. Wśród krytyków był wówczas również szef niemieckiej dyplomacji Heiko Maas, który stwierdził, że wycofanie się Amerykanów oznacza ryzyko zaprzepaszczenia efektów walki przeciwko Państwu Islamskiemu. Niestety kilka miesięcy później te same Niemcy wykluczyły możliwość wysłania tam swoich żołnierzy, odrzucając prośbę Amerykanów krótkim „nein”.

Kluczowe znaczenie ma zrozumienie charakteru i celów misji w Syrii, a także uświadomienie sobie, że jedynymi Europejczykami biorącymi tam udział w walkach byli z jednej strony pochodzący z naszego kontynentu terroryści, z drugiej zaś ochotnicy walczący w szeregach Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF). Ani amerykańscy, ani również przebywający w Syrii francuscy i brytyjscy żołnierze nie uczestniczyli w bez-

pośrednich starciach. Ich misja miała charakter szkoleniowy, doradczy, a także służyła namierzaniu celów do bombardowania.

Po drugie, celem tej interwencji nie było wspieranie dżihadystów czy jak kto woli „umiarkowanych rebeliantów” w walce z Baszarem al-Asadem, lecz zniszczenie Państwa Islamskiego, czyli organizacji zagrażającej również Europie i Ameryce. Starcia SDF z syryjskimi siłami rządowymi miały wyłącznie charakter sporadycznych incydentów. Od 2012 r. oddziały syryjskich Kurdów, tj. Powszechne i Kobiece Jednostki Ochrony (YPG/YPJ), które potem weszły w skład SDF jako jego trzon, toczyły walki najpierw z syryjską Al-Kaidą, działającą tam pod nazwą Front Nusra, a potem Państwem Islamskim. I to dzięki stoczonej przez SDF zwycięskiej bitwie o Rakkę zlikwidowane zostało centrum operacji Państwa Islamskiego, z którego planowano takie zamachy w Europie jak atak w Paryżu w listopadzie 2015 r. (131 ofiar) czy w Brukseli w marcu 2016 r. (32 ofiary). W walkach z Państwem Islamskim w Syrii zginęło co najmniej

12 tys. żołnierzy SDF. Między innymi po to, by w Europie nie wybuchały bomby. Śmierć poniosło również ok. 30 ochotników z Europy i Ameryki walczących po stronie SDF przeciwko Państwu Islamskiemu.

USA włączyły się w walkę z Państwem Islamskim w Syrii pod koniec 2014 r., dokonując nalotów na nacierające na kurdyjskie miasto Kobane oddziały terrorystów. Pierwsi „specjaliści” pojawili się jednak na terenach opanowanych przez SDF dopiero w 2016 r., a zwiększenie wsparcia nastąpiło na początku 2017 r. po objęciu prezydentury przez Donalda Trumpa. Liczba żołnierzy amerykańskich w Syrii północno-wschodniej osiągnęła wówczas 2 tys. W tym samym mniej więcej czasie na tych terenach pojawili się też Francuzi, a następnie Brytyjczycy. Ich liczba była jednak znacznie mniejsza (ok. 200–300).

Wsparcie międzynarodowe dla SDF odegrało ogromną rolę w wojnie z Państwem Islamskim i zostało okupione bardzo niską ceną. Przez przeszło trzy lata obecności tych sił w Syrii zginęło zaledwie dziewięciu żołnierzy amerykańskich i jeden francuski, przy czym nie doszło do tego w wyniku walk.

W końcu marca 2019 r. SDF zdobyły ostatnią redutę terrorystów Państwa Islamskiego. Ale zagrożenie ze strony tej terrorystycznej organizacji nie ustało, gdyż pozostała potencjał, dzięki któremu może ona wciąż szybko odbudować swoje struktury. A wtedy problemy będą mieli nie tylko miejscowi, lecz także Europejczycy. Chodzi tu z jednej strony o siłę oddziaływania ideologii Państwa Islamskiego oraz funkcjonujące wciąż ukryte komórki. Z drugiej strony chodzi też o jeńców wziętych do niewoli przez SDF, wśród których jest również ok. 800 Europejczyków.

Wielu spośród ochotników, którzy pojechali do Syrii walczyć w szeregach Państwa Islamskiego, to nie imigranci z krajów muzułmańskich lub ich potomkowie, lecz konwertyci urodzeni w rodzinach rdzennie europejskich. Ponieważ SDF ma tysiące jeńców i jeszcze w dodatku kilkadziesiąt tysięcy kobiet i dzieci z rodzin dżihadystów, więc chce ich się pozbyć. W Europie tymczasem toczy się dyskusja, czy ci terroryści mają prawo wrócić, czy nie. Niewielu zastanawia się zaś, co z tym fantem mają zrobić trzymający ich syryjscy Kurdowie, którzy ich do siebie nie zapraszali. W szeregi Państwa

Islamskiego wstąpiło ok. 6 tys. Europejczyków, w tym ok. 1 tys. z Niemiec i kilku Polaków.

Wyjściem z tej sytuacji nie jest bynajmniej „rozwalenie” terrorystów, gdyż SDF to nie jakaś banda dokonująca zbrojnych egzekucji i nieprzejmująca się oskarżeniami o zbrodnie wojenne. Jednak wysłanie tam europejskich żołnierzy przyczyniłoby się m.in. do tymczasowego załatwienia problemu z panowaniem nad taką liczbą jeńców.

Na terenach opanowanych przez SDF, a obejmujących około jednej trzeciej terytorium Syrii i zamieszkanym przez ok. 5 mln osób, stworzono Autonomię Syrii Północno-Wschodniej z cywilną administracją i konstytucją gwarantującą równe prawa bez względu na płeć, wyznanie czy narodowość. Jest to ogromny sukces w świecie, gdzie z jednej strony czają się świeckie dyktatury, a z drugiej religijny fanatyzm. Nikt też mieszkającym Syrii północno-wschodniej nie narzucił demokracji i nie przywiózł wolności na czołgach. Oni sami ją sobie wywalczyli. Nie jest też prawdą, że są separatystami. Nie chodzi tu o jakiś podział Syrii i celem SDF nigdy nie było oddzielenie się terenów kurdyjskich i ogłoszenie niepodległości.

To wszystko może jednak zostać zaprzepaszczone, jeśli syryjscy Kurdowie czy, szerzej, SDF zostaną zdradzeni. Zdrada ze strony sojuszników to coś, co Polakom bynajmniej obce nie jest, i dlatego tym bardziej powinniśmy być na to wyczuleni. W końcu mieliśmy na naszych sztandarach hasło „Za wolność naszą i waszą”, a nasi żołnierze uczestniczyli też w wielu misjach pokojowych.

Mieszkającym Syrii północno-wschodniej zagrażają bowiem Turcy, którzy od samego początku sabotowali walkę Kurdów z Państwem Islamskim, strzelając im w plecy i wspierając dżihadystów. Turcy chcieliby zaatakować te tereny, co doprowadziłoby do masakry miejscowej ludności, pojawienia się setek tysięcy uchodźców i odrodzenia się Państwa Islamskiego. Łatwo temu jednak zapobiec. Turcja nie odważy się bowiem na inwazję dopóty, dopóki na tym terenie będą Amerykanie lub ich sojusznicy. Oczywiście Turcja formalnie też jest sojusznikiem USA, ale od dawna tak się nie zachowuje.

Trump zadeklarował wycofanie wojsk USA z Syrii, bo w swojej kampanii wyborczej obiecywał Amerykanom mniejsze zaangażowanie żołnierzy za

granicą. A w przyszłym roku będzie walczył o reelekcję. Poza tym to Europa jest bardziej wystawiona na zagrożenie ze strony Państwa Islamskiego.

Konieczność kontynuowania międzynarodowego wsparcia SDF ma więc wymiar i moralny, i praktyczny. Moralny, gdyż dla Europy haniebne będzie bezczynne przyglądanie się, jak w nierównej walce z Turkami (dysponującymi siłami powietrznymi) ginąć będą bohaterowie, którzy pokonując Państwo Islamskie, ochronili Europejczyków przed terrorystami. Praktyczny, bo za taką zdradę Europa zapłaci tym, że odrodzi się Państwo Islamskie i zorganizuje jeszcze wiele zamachów na ulicach Paryża, Berlina i Brukseli, a może kiedyś również Warszawy.

Powodem, dla którego Niemcy odmówiły USA wysłania do Syrii swoich wojsk, nie był ani niemiecki „pacyfizm”, ani też niechęć do angażowania się w wewnętrzne sprawy innego kraju. Niemcy mają po prostu problem z wielomilionową mniejszością turecką i boją się uaktywnienia jej przez wściekłego sułtana. Polska takiego problemu nie ma.

Na misję w Syrii należy patrzeć nie jak na zaangażowanie się w jakąś wojnę. To nie Irak roku 2003 czy Afganistan. To misja pokojowo-stabilizacyjna. Taka, jaką nasi żołnierze wypełniali na Bałkanach, w Libanie, na Wzgórzach Golan i w wielu innych miejscach.

Francja i Wielka Brytania prawdopodobnie zwiększą liczbę żołnierzy w Syrii, a sami Amerykanie planują utrzymać tam ok. 200 swoich. To jednak nie wystarczy. Według niepotwierdzonych doniesień wsparcie mają zadeklarować niektóre państwa bałkańskie i bałtyckie, trudno jednak powiedzieć, jak wielkie ono będzie, zwłaszcza że chodzi o nieduże kraje.

Dlatego Polska powinna też rozważyć wysłanie tam ok. 100–200 swoich żołnierzy. Oczywiście od razu rozległby się krzyk, że rząd „wysłał naszych chłopców, by znów ginęli na wojnie, która nas nie dotyczy”. Tak samo było bowiem w 2016 r., gdy Polska postanowiła wysłać ok. 200 żołnierzy do Iraku. Doskonale spełnili oni swoją misję, trenując Irakijskich do walki z Państwem Islamskim. Irakijscy wygrali, a nasi wrócili cali i zdrowi do domu. Problem z polską opinią publiczną jest jednak taki, że jest niedoinformowana – czas to zmienić.



Krystian Kratiuk

Niektóre postulaty zaplanowanego na październik synodu ds. Amazonii mogą wprowadzić w osłupienie nawet najbardziej postępowych katolików

Pod koniec maja papież Franciszek spotkał się z plemiennym wodzem amazońskim, Raonim Metuktire. Watykan ujawnił wyłącznie fotografie z tego spotkania, obrazujące dużą zażyłość między Ojcem Świętym a indiańskim przywódcą, nieznane pozostają jednak szczegóły rozmów.

Komentatorzy są jednak całkowicie zgodni – spotkanie przygotowywało synod amazoński, do którego dojdzie już w październiku tego roku.

Raoni Metuktire, wódz ludu Kayapo, od lat podróżuje po krajach Zachodu, starając się przekonać możnych tego świata do włączenia się w walkę o przetrwanie amazońskich lasów równinowych i tamtejszej dzikiej kultury lokalnej. Wizyta w Watykanie dotyczyła jednak najpewniej nie tylko tego elementu, lecz także stanowiła element kampanii zmierzającej do dalszej promocji tzw. ekologii integralnej i dowartościowania indiańskiej duchowości tubylczej (mówiąc prościej – szamanizmu) wśród katolików.

W RZYMIE O AMAZONII, CELIBACIE I NIE TYLKO

Chociaż do synodu ds. Amazonii pozostały już tylko trzy miesiące, a oficjalna tematyka wydaje się europejskiemu odbiorcy dość egzotyczna, to synodalna agenda wywołuje zainteresowanie dziennikarzy. To typowe dla synodów zwoływanych przez papieża Franciszka – na synodzie ds. rodziny dyskutowano bowiem o rozwodnikach i homoseksualistach, a podczas synodu ds. młodych o decentralizacji Kościoła i – pierwszy raz oficjalnie – o „katolikach LGBT”.

W kontekście synodu amazońskiego dziennikarze najczęściej piszą o możliwości zniesienia kapłańskiego celibatu. Kwęstię tę podniósł niedawno, po raz kolejny, ulubiony teolog papieża Franciszka – kard. Walter Kasper. Niemiecki hierarcha zadeklarował, że „jeśli synod o to poprosi, to papież przywróci posługę żonatych kapłanów”.



Papież Franciszek spotkał się z plemiennym wodzem amazońskim, Raonim Metuktire

FOT. VATICAN MEDIA/AFP/EAST NEWS

Pożegnanie z celibatem, powitanie z szamanem?

Na razie postulat dotyczy wyłącznie rejonu Amazonii, w którym to katolicy misjonarze wciąż zmagają się z olbrzymimi trudnościami organizacyjnymi. Dotarcie do odległych o setki kilometrów wiosek jest niezwykle trudne, a czasem wręcz niemożliwe, więc część tamtejszych biskupów od lat promuje postulat wyświęcania na kapłanów viri probati, a więc „sprawdzonych mężów” – żo-

natych mężczyzn, co do których mocy wiary i moralności biskup jest całkowicie przekonany. Mogliby oni sprawować sakramenty i pełnić posługę kapłańską w najbardziej niedostępnym dla „regularnych” duchownych miejscach.

Jednak odpowiedzialni za organizację watykańskiego synodu już zapowiadają, że jeśli ustalenia zgromadzenia będą przełomowe, to nic nie stoi na przeszkodzie

dzie, by zastosować je nie tylko w Amazonii, lecz także w innych miejscach globu. Takiego zdania jest m.in. austriacki bp Erwin Kräutler, przez wiele lat posługujący w brazylijskiej Xingu czy od lat opowiadający się za fakultatywnością celibatu relator generalny synodu kard. Cláudio Hummes.

KOŚCIÓŁ SZAMANÓW?

Jednak tematy wywołujące największe kontrowersje w przedsynodalnych publikacjach prasy zachodniej wcale nie są jedynymi, które powinny interesować katolików w kontekście październikowego zgromadzenia. Otóż w dokumencie przygotowawczym synodu pojawiają się postulaty, których realizacja – przy odpowiedniej interpretacji – może całkowicie zmienić lub zanegować dotychczasowe rozumienie powszechności Kościoła!

W dokumencie duży nacisk kładzie się bowiem na „nawrócenie duszpasterskie i ekologiczne”, które realizować się powinno poprzez „adaptację, dialog, inkulturację i solidarność”. A ewangelizacja? Owszem, została uwzględniona, ale w dość nietypowej odsłonie. „Zadanie ewangelizacji zachęca nas do walki z nierównością społeczną i brakiem solidarności poprzez promowanie miłości, sprawiedliwości, współczucia i troski między nami oraz ze zwierzętami, z roślinami i całym stworzeniem” – głosi dokument. Co więcej, według autorów dokumentu „działalność ewangelizacyjna Kościoła w Amazonii musi ustanowić mosty łączące mądrość przodków z wiedzą współczesną, szczególnie łączącą się ze zrównoważonym zarządzaniem terytorium i rozwojem zgodnie z kulturowymi systemami wartości populacji zamieszkujących tę przestrzeń, które należy uznać za prawdziwych opiekunów, a nawet właścicieli ziemskich”. Wskazuje się też na potrzebę... „inkulturacji rytuałów związanych z wodą, które pochodzą od starożytnej mądrości ludów amazońskich”.

Synod ds. Amazonii ma więc być okazją do dostosowania się Kościoła – który zbudował najpiękniejszą ze wszystkich cywilizacji – do dzikich ludów tubylczych!

Założenia takiego procesu zostały już kiedyś opisane przez niemieckiego werbiście Karla Heinza Arenza. Opisując praktyki ludów Amazonii – w tym również niektórych ochrzczonych autochtonów – zwracał uwagę na rzekome podobieństwa między magicznymi praktykami uzdrowieńczymi szamanów a... działalnością Chrystusa. Twierdził również, że Jezus... stosował

magię i Kościół też nie powinien z niej rezygnować!

UBÓSTWIENIE „MATKI ZIEMI”

Nikt z sekretariatu synodu oficjalnie nie przywołuje tych tez ani nie powołuje się na nazwisko o. Arenza. Jednak wydaje się, że postępująca decentralizacja Kościoła, swoiste ubóstwienie przyrody, natury i ekologii doprowadzić może do zastosowania takich właśnie rozwiązań – na co zwracają uwagę autorzy strony panamazonsynodwatch.com.

Watykańscy autorzy dokumentu przed-synodalnego ogromny nacisk kładą wszak na „wysłuchiwanie rdzennej ludności i wszystkich społeczności żyjących w Amazonii”, co ma mieć „kluczowe znaczenie dla Kościoła powszechnego”. Twórcy dokumentu chcą wiedzieć, jak ludzie ci wyobrażają sobie „pogodną przyszłość” i „dobre życie dla przyszłych pokoleń”. Chcą pytać ich również o to, „jak można współpracować, aby zbudować świat, który zerwie ze strukturami odbierającymi życie i mentalnością kolonizacyjną, aby budować sieć solidarności i międzykulturowości”, a przede wszystkim „jaka jest szczególna misja Kościoła dzisiaj, w obliczu tej rzeczywistości?”.

Jakby tego było mało, w dokumencie poświęcono wiele miejsca... różnorodności amazońskiej przyrody, bogactwu lasów deszczowych oraz umiejętności życia ludów tubylczych w zgodzie z naturą. W kościelnym dokumencie jedną z najważniejszych części stanowią zdania ubolewania nad tym, że fauna i flora zagrożone są przez „ekspansywne interesy gospodarcze”. Autorzy zwracają też uwagę na występujące tam „największe na świecie konflikty agrarne i społeczno-środowiskowe”, a także na rozliczne patologie wśród mieszkańców tamtejszych miast.

To bardzo symptomatyczne dla obecnego pontyfikatu – żadnych patologii nie dostrzeżono bowiem wśród hołubionych w dokumencie ludów dzikich. Twórcami nieszczęść są zaś – w myśl dokumentu – promotorzy „kolonializmu i współczesnego neokolonializmu” oraz „kultura konsumpcjonizmu i odpadów zamieniająca planetę w jedno gigantyczne składowisko śmieci”.

W dokumencie czytamy również wielokrotnie o autochtonicznych „mądrych starcach promujących harmonię ludzi żyjących wspólnie z kosmosem i ze sobą nawzajem”. W watykańskim dokumencie padają nawet pewne słowa w amazońskich

dialektach, określające to samo zjawisko – plemiennych czarowników. I to oni mogą się stać nauczycielami katolickich misjonarzy, którzy „mają czerpać wiedzę płynącą od przodków”.

ZEMSTA NA RATZINGERZE?

Pojawiły się również pogłoski, że synod ds. Amazonii stanie się okazją do swoistej zemsty na – uważanym za konserwatystę – Benedyktie XVI. Gdy jeszcze jako kard. Joseph Ratzinger szefował Kongregacji Nauki Wiary, sugerował, że twórca koncepcji tzw. teologii indiańskiej o. Eleazar López Hernández jest „pseudoteologiem”. W trakcie pontyfikatów Jana Pawła II i Benedykta XVI dbano, by wspomnienie o teologii indiańskiej czy tubylczej (traktowane wówczas de facto jako mutacja skompromitowanej teologii wyzwolenia) nie pojawiało się w oficjalnych dokumentach kościelnych. Watykan szczególnie sprzeciwiał się planom stworzenia „tubylczego Kościoła” przez wyświęcenie tubylców na stałych diakonów i dawanie im nadziei, że w przyszłości staną się kapłanami.

Ojciec Hernández – wbrew Rzymowi – promował założenia „teologii indiańskiej” najpierw w Ameryce Południowej i Ameryce Łacińskiej, a potem szerzej, na całym świecie. Opisywał ją jako „coś więcej niż mądrość tubylczą”, jako „tamtejszy sposób opowiadania o Bogu”.

Trzy lata po abdykacji Benedykta XVI papież Franciszek – Argentyńczyk – udał się do meksykańskiego Chiapas, by w towarzystwie licznych tubylczych diakonów (na których wyświęcenie się zgodził) przewodniczyć mszy, podczas której czytania odbywały się w językach tubylczych, a zgromadzeni otoczeni byli przez figury zwierząt. Papież zacytował „Popol Vuh” – „świętą księgę” ludu Kicze wywodzącego się z cywilizacji Majów. W dokumencie przygotowawczym synodu czytamy zaś, że „w procesie myślenia o Kościele z amazońską twarzą” otworzą się nowe ścieżki i będą one miały „wpływ na kapłanów, liturgię i indiańską teologię”.

Czy tak rzeczywiście będzie i czy Kościół zyska twarz szamana, dowiemy się pod koniec października. Spotkanie odbędzie się jednak w Rzymie, a nie w Amazonii – hołubiącej dziką przyrodę i zwyczajnie autochtonów hierarchowie Kościoła nie zdecydowali się bowiem przenieść swego zgromadzenia poza centrum zbudowanej przez chrześcijaństwo cywilizacji.



Jacek Komuda

Czy koniec XVII stulecia oznaczał zaprzepaszczenie szans na utrzymanie oraz odbudowę imperium Batorego i Zygmunta III?

Rzeczpospolita na geopolitycznej mapie Europy XVII w. Czy w ówczesnym systemie sojuszy i przewagi sąsiadów wykorzystano wszystkie możliwości rozwoju i budowania naszej siły? Jakże w ówczesnym układzie politycznym były i mogły być kierunki prowadzenia geopolityki Polski?

KLEJNOTY KORONY I LITWY

Ustalmy najpierw, gdzie znajdowały się ziemie o kluczowym znaczeniu. Takie

– mówiąc dzisiejszym językiem – rdzenie, a staropolszczyzną – klejnoty Korony i Litwy, czyli prowincje będące najważniejszym źródłem bogactwa i siły Rzeczypospolitej, jej rodowe srebra, bez których stawała się żałosnym, okaleczonym przez wrogów kikutem. Posłużmy się źródłami ekonomicznymi – rejestrami podatków – i wykorzystajmy prace Anny Filipczak-Kocur „Skarb koronny za Zygmunta III” i Romana Rybarskiego „Skarb i pieniądz za Jana Kazimierza, Michała Korybuta...”.

W dawnej Polsce bowiem wpływy z dwóch podatków świadczyły o zamożności prowincji: łanowego – płaconego przez szlachtę, chłopów, duchownych, uzależnionego od posiadanego gruntu. Jego wysokość pokazuje zamożność danej ziemi – im więcej odprowadzała do skarbu, tym więcej było tam folwarków, zagród, łąnów, a więc zagospodarowanych obszarów. A także podymnego – podatku od nieruchomości, domów, dworów, kuź-

ni, młynów itd., mówiącego wiele o uprzemysłowieniu badanego terytorium.

Spróbujmy porównać ze sobą regiony RP, korzystając np. z wpływów podatkowych z 1629 r. Rezultaty są ciekawe: najbogatsze ziemie to rejony współczesnej Polski! Województwo krakowskie płaciło 23 tys. łanowego i 36 tys. podymnego, poznańskie i kaliskie (dzisiejsza Wielkopolska) – 29 tys. łanowego i 39 tys. podymnego. Sandomierskie odpowiednio 26 i 28. W tym samym czasie lwowskie, zawierające prawie całe dzisiejsze Podkarpacie, ziemię lwowską, halicką, i chełmską – dawało tylko 7,7 tys. łanowego i 21 tys. podymnego.

Im dalej na wschód, tym województwa są biedniejsze. Wołyńskie, większe dwukrotnie od sandomierskiego, płaci 15 tys. łanowego i aż 54 tys. podymnego. Podolskie: 5 i 16 tys., a bractawskie jeszcze mniej. Ciekawe, że w 1629 r. najwięcej podatków zapłaciło... Mazowsze w dzisiej-

szych granicach geograficznych. Województwo mazowieckie razem z płockim i rawskim dało do skarbu ponad 40 tys. łanowego i 52 tys. podymnego; więcej niż wołyńskie, podolskie, a nawet Wielkopolska; pamiętajmy, że w XVII w. Warszawa nie zawiązała, tak jak dziś, statystyk!

Porównanie wydatków Korony na przygotowanie wojny ze Szwecją w 1635 r. wygląda podobnie. Najwięcej wprawdzie zapłaciło województwo ruskie, po nim kijowskie z czernihowskim, jednak następne są: poznańskie, krakowskie, sandomierskie. Wpływy z geograficznego Mazowsza – liczonego z rawskim i płockim – przewyższają te z kijowskiego – 167 tys. zł, podczas gdy Kijowszczyzna dała 164 tys. Pamiętajmy jednak, że była większa niż Wielkopolska, Kujawy i Mazowsze razem wzięte!

Wschodnich województw Rzeczypospolitej nie można nie doceniać – w latach spokoju rozwijały się szybko. Jednak co chwila spadały na nie wojny, tatarskie najazdy i kozackie powstania, powodując zniszczenia i spadek zamożności. Jak podaje Roman Rybarski, na początku XVII w. ich udział w wydatkach wynosił nawet do 41 proc., podczas gdy w drugiej połowie stulecia, po zagarnięciu części tych terenów przez Moskwę i Turków, spadł do 23 proc. Jak było na Litwie? Pobory podymnego i pogłównego pokazują, że najbogatsze były gęsto zaludniona Żmudź, okolice Nowogródka, Brześcia Litewskiego i Grodna.

Wspomniane prowincje stanowiły w XVII w. rdzeń Rzeczypospolitej, niezniszczony, gęsto zaludniony i cieszący się spokojem. W Wielkopolsce i Małopolsce nie prowadzono dużych działań wojennych od czasu wojny domowej Grzymaliów z Nałęczami w 1385 r. aż do potopu szwedzkiego w 1655 r.! Spustoszenie „klejnotów” – na Litwie w czasie wojny polsko-moskiewskiej w 1655 r., a na pozostałym obszarze w okresie potopu – oznaczało cios w całą Rzeczypospolitą.

KLUCZE DO KRÓLESTWA

Na geopolitycznej mapie były też punkty o znaczeniu strategicznym. Ich strata oznaczała ograniczenie polityki dyplomatycznej i militarnej na różnych obszarach. Nazwijmy je kluczami do Korony i Litwy. Idąc od zachodu, najważniejszym były Prusy Królewskie i Gdańsk – gdzie przechodził eksport zboża, drewna i innych surowców. Wszystkie „klejnoty” Korony położone były nad Wisłą i związane ze wspomnianym obszarem szlakami

handlowymi. Pod koniec XV w. wywożono przez Gdańsk 10 tys. łasztów rocznie (łaszt – miara objętości towarów sypkich, wynosząca między 3 a 4 tys. litrów), a na początku XVII – już ponad 200 tys.

Gustaw Adolf, król Szwecji, wiedział, że zajmując Inflanty w 1621 r. i atakując Prusy Królewskie pięć lat później, chwytając Rzeczpospolitą za gardło. Przejęcie przez wroga tej prowincji stwarzało zagrożenie dla „klejnotów” Korony. Co więcej: ponieważ droga wiślana do spławiania zboża, drewna i innych towarów była niemożliwa do ominięcia, pojawiało się niebezpieczeństwo podwójne – że agresor będzie bogacił się na handlu kosztem Rzeczypospolitej – tak jak Szwecja po rozejmie w Starym Targu, przyznającym jej prawo pobierania cła w Prusach. Kolejnym zagrożeniem dla Gdańska zaczęło stawać się uniezależnienie się Prusów Książących po 1657 r.

Kluczem była Ryga, dająca kontrolę nad Dźwiną – rzeką odcinającą Inflanty od Korony i Litwy. Zdobyta w wyniku paktu wileńskiego w 1561 r., została utracona w 1621 r. na rzecz Szwecji i nigdy nieodzyskana; jednak nie oznaczało to jeszcze upadku Rzeczypospolitej.

I wreszcie Smoleńsk, klucz do całej polityki wschodniej. Miasto położone w „wrotach smoleńskich”, gdzie ramiona Dniepru i Dźwiny tworzą charakterystyczny przesmyk. Ten, kto miał Smoleńsk w ręku, zyskiwał kontrolę nad drogą do Moskwy, odpychał i zatrzymywał jej siły na granicach. Spoglądając zaś od strony państwa carów – otwierał drogę na przestrzeń Litwy (dzisiejszej Białorusi) i dalej – Polski. Litwa straciła Smoleńsk w 1514 r., odzyskała jako Rzeczpospolita w 1611 r.

Kolejnym kluczem była Ukraina – zapewniająca kontrolę nad szlakami biegnącymi na wybrzeża Morza Czarnego, odsuwająca na wschód granicę z Moskwą i przyjmująca większość ataków Tatarów. Ziemia obiecana dla szlachty, Żydów i śmiałych ludzi, niestety o ograniczonych szlakach handlowych. Naturalna droga spławu towarów – Dniepr – była zablokowana – najpierw przez porohy w dolnym biegu, a potem Turków – obsadzających Tawań i Oczaków u ujścia rzeki – i Tatarów. Podobnie miała się rzecz z Dniestrem – przegradzanym licznymi skałami, kończącym się w pobliżu Akermanu pozostającego pod kontrolą chanatu krymskiego.

Ukraina nie była kluczowym teatrem operacyjnym dla wojen z Moskwą, gdyż w XVII w. błota poleskie dzieliły wschodnie

ziemie państwa na dwa teatry – białoruski i ukraiński. Główne ataki Moskwy szły przez „wrota smoleńskie” na ten ostatni – jak uderzenie na Smoleńsk w 1632 r., późniejsze w 1654 r. i wielką wyprawę w 1660 r. Szlak południowy, przez Ukrainę, był o wiele dłuższy i niebezpieczny. Jedyne Dymitrowi Samozwańcowi udało się tędy przejść, miał on jednak poparcie mieszkańców Wielkiego Księstwa. Klęskę poniósł tu Jan Kazimierz w wyprawie z lat 1663–1664, kiedy szukał sposobu na ominięcie Smoleńska. I wreszcie Kamieniec Podolski strzegący szlaków handlowych na południe – do Mołdawii, Wołoszczyzny i Turcji. Arcyważna twierdza zapewniająca panowanie nad dorzeczem Dniestru i blokująca drogę w głąb Rzeczypospolitej.

KIERUNKI GEOPOLITYKI

Kontrolując ogromne obszary Niziny Wschodnioeuropejskiej, Rzeczpospolita mogła prowadzić politykę na trzech wielkich teatrach operacyjnych i kilku małych, jak Rzesza, Węgry i Śląsk, jednak z braku miejsca zajmujemy się tylko największymi. Pierwszym były wybrzeża Bałtyku – polityka zdobycia portów, kolejnych strategicznie ważnych kluczy do Korony i Litwy. Zapoczątkowano ją w XV w., likwidując zakon krzyżacki i zdobywając Gdańsk, a w sto lat później przejmując państwo zakonowi kawalerów mieczowych i zajmując Inflanty. Rzeczpospolita zderzyła się na tym kierunku z polityką Szwecji, a także Moskwy i częściowo Danii. Prawdziwe przyczyny konfliktu ze Szwedami były dwie. Pierwsza to dążenie Szwecji do uczynienia z Bałtyku własnego „jeziora” – aby kontrolować przepływ towarów z Rzeczypospolitej i Moskwy. Drugą stała się rywalizacja obu gałęzi rodu Wazów, z których Zygmunt III Waza i jego synowie władali Rzeczpospolitą, a synowie Karola IX Sudermańskiego, który odebrał mu tron – Szwecją.

Od początku XVII w. Rzeczpospolita mogła wyłącznie bronić stanu posiadania nad Bałtykiem, ponieważ nie była w stanie – z powodu braku floty, funduszy i różnic religijnych – zagrozić rdzeniom Szwecji odgródzonej morzem. Obroniła część posiadłości: Kurlandię, Żmudź i Prusy Królewskie, jednak straciła Inflanty i zapłaciła ogromne koszty – w czasie potopu zniszczone zostały „klejnoty” nad Wisłą.

STARCIE Z MOSKWĄ

Najważniejszym kierunkiem był jednak wschód, gdzie polityka

Rzeczypospolitej zdarzała się z dążeniem Księstwa Moskiewskiego do zjednoczenia ziem dawnej Rusi, z których zachodnie zostały zajęte przez Litwę, a potem wchłonięte przez Rzeczypospolitą. Dla Moskwy Litwa była największym wrogiem, gdyż po pokonaniu ostatnich chanatów tatarskich carowie realizowali doktrynę przebicia się na zachód – będący źródłem nowinek technicznych i bogactwa.

Porównanie Rzeczypospolitej i Moskwy wypada ciekawie. Pierwsza była państwem wieloetnicznym, szlachecką republiką, otwartą na Zachód, znaną z wolności i tolerancji. Moskwa, jak podaje Richard Pipes w „Rosji carów”, samowładną monarchią, wzorowaną na ustroju Złotej Ordy, z zamkniętymi granicami, rynkiem wewnętrznym i nieograniczoną władzą carów. Aż do połowy XVII w. w Rzeczypospolitej pojawiały się plany jej podporządkowania. Po pierwsze – jako ogromnego obszaru zbytu towarów i handlu. Po drugie – jako sojusznika w walce ze Szwecją i z Turcją, a zwłaszcza w pozbyciu się Tatarów blokujących drogi ekspansji handlowej ziem ukraińskich. Rzeczypospolita jednak nie zamierzała bezpośrednio wcielić Moskwy do swych ziem. Widać to po ponawiających się propozycjach unii lub sojuszu obu państw, jak unia Lwa Sapiehy, próbach wsparcia Dymitrow Samozwańców i wreszcie – po projektach sojuszu z czasów Władysława IV. Wszystkie zakładały zmuszenie Moskwy do otwarcia się na wpływy z zachodu. W najlepszych okolicznościach – osadzenie na tronie moskiewskim przychylnego Polsce cara, np. któregoś z Dymitrow Samozwańców czy młodego Władysława IV. W mniej przychylnych okolicznościach – stworzenie wspólnej armii, floty, skarbu, możliwość nabywania włości dla poddanych cara i króla Rzeczypospolitej w obu krajach. Jak widać, usiłowano zastosować tę samą metodę asymilacji sąsiada co w przypadku unii z Litwą. Jednak Moskwa za wszelką cenę broniła się przed niebezpiecznymi, kulturowymi wpływami Polski. Służyło temu zamknięcie granic, brak przywilejów dla katolików, bezustanna wrogość w kontaktach.

Armia Rzeczypospolitej górowała nad moskiewską doskonałą jazdą, a także piechotą typu zachodnioeuropejskiego. Moskwa uczyła się jednak na błędach i słabościach przeciwnika. Już w ostatnich

latach rządów Iwana Groźnego pojawił się w jej wojsku najemnicy, a w latach 20. wprowadzono pułki „nowowo stroja” wzorowane na zachodnioeuropejskich. Rozwijała się artyleria, a po okresie wielkiej smuty udoskonalono sztukę fortyfikacji miast tak bardzo, że w czasie wyprawy carewicza Władysława w 1617 r. i wojny o Smoleńsk w 1633 r. zdobycie Moskwy oraz innych miast okazało się niemożliwe.

Piętą achillesową Rzeczypospolitej była słabość skarbu i niezdolność do szybkiego stawienia czoła atakowi, a atutem – ogromna siła wojsk w boju. Carscy wodzowie atakowali zatem z zaskoczenia, aby jak najszybciej zająć klucze do Korony i Litwy, umocnić się w nich i następnie odeprzeć kontratak. Tak postąpili, atakując Smoleńsk

Piętą achillesową RP była słabość skarbu i niezdolność do szybkiego stawienia czoła atakowi, a atutem – ogromna siła wojsk w boju

w 1632 r., co jeszcze skończyło się klęską. W 1654 r. zawarli ugodę perejaśławską, która brała pod ochronę zbuntowanych Kozaków Chmielnickiego; żołnierzy tych przywódcy wykorzystali do realizacji własnych celów. Na Ukrainę wysłali nieliczne posiłki, główne uderzenie zaś skierowali na Smoleńsk, który zdobyli. Odparli potem kontratak wojsk Rzeczypospolitej i w 1655 r. zajęli prawie całą Litwę. W traktacie w Niemieży car Aleksy Michajłowicz miał zostać wybrany na króla Polski po śmierci Jana Kazimierza. Niewykonanie tego układu doprowadziło do odnowienia wojny i moskiewskich porażek pod Połonką, Cudnowem i Basią w 1660 r., po których zrezygnowano chwilowo z marszu na zachód. Rzeczypospolita ocalała niepodległość, ale poniosła klęskę. Nie tylko nie podbiła kulturowo Moskwy, lecz także straciła „wrota smoleńskie”, połowę Ukrainy, ziemie czernihowską i siewierską.

WYJŚCIE NAD MORZE CZARNE

Rzeczypospolita odniosła sukces przynajmniej na jednym kierunku geopolitycznym – prowadzącym do

Mołdawii i Wołoszczyzny, gdzie jej interesy zderzały się z Turcją. Pod koniec XVII w., przyjmując pod władzę hetmana Piotra Doroszenkę i zdobywając klucz do Korony – Kamieniec Podolski – państwo sułtanów stało się zagrożeniem. Dzięki zwycięstwom Jana III Sobieskiego pod Wiedniem i Parkanami zostało pokonane. W 1699 r. Podole wróciło do Rzeczypospolitej, otwierając nam ponownie drogę do ekspansji nad Morze Czarne. Największym sukcesem było złamanie ofensywnej siły Turcji – od pokoju w Karłowicach nigdy już militarnie nie zagroziła Rzeczypospolitej.

Porażką okazały się próby rozciągnięcia wpływów Rzeczypospolitej na księstwa naddunajskie – Mołdawię i Wołoszczyznę; podobnie jak utrzymywanie całości Ukrainy. Zbuntowaną przeciw Koronie w 1648 r. i podzieloną w rozejmie w Dywilinie w 1667 r. ostatecznie przepełowiono w pokoju Grzymułtowskiego w roku 1686. Nie była to jednak nieodwracalna porażka, bo Rzeczypospolita i tak nie była na siłach odzyskać całego województwa kijowskiego, a rezultaty pokoju przynajmniej określiły granicę polsko-moskiewską na najbliższe 86 lat.

ŚWIT NOWEJ EPOKI

Rozpoczynając rządy w 1697 r., król August II Sas przejął państwo, które choć nie było już niezwyciężonym imperium, nie stało się jednak bezwonną marionetką w ręku sąsiadów. Miało okrojone, ale ustabilizowane granice, traktaty pokojowe z sąsiadami – Szwecją, Moskwą i Turcją. Największą słabością był upadek parlamentaryzmu i konflikt pomiędzy szlachtą a magnaterią, który na Litwie zmienił się w wojnę domową z Sapiehami. Obawą mógł napawać zmieniający się układ geopolityczny – zamiast dwóch starych przeciwników, Szwecji i Turcji, pojawiły się potężniejsze Prusy i Austria.

Kraj potrzebował reform, aby stworzyć sprawny ośrodek rządów w trójkącie król – Sejm – Senat. A także spokoju, by odbudować „klejnoty” oraz zniszczoną, zrujnowaną naddnieprzańską Ukrainę, która w ciągu jednego dziesięciolecia czy dwóch mogła stać się ważnym rdzeniem państwa. Niestety August II Sas wpłatał osłabioną Rzeczypospolitą w nową wojnę – zaatakował Szwecję. Ten konflikt kolejny raz zrujnował kraj, pozbawiając króla całej władzy i chwały.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Uwaga! Sowieci

Stanisław Cieślukowski został aresztowany w swoim domu w Białogórze, w gminie Giby, w pobliżu Sejna. Kiedy się przebierał, sowiecki strażnik wyszedł na papierosa. Cieślukowski wybiegł wówczas z domu i ukrył się w szuwarach porastających brzeg jeziora. Zanurzył się i oddychał przez słomkę.

„Żołnierze ruszyli we wszystkich kierunkach – wspomniała córka, Maria Krzywak. – Jeden z nich szedł wodą, powyżej pasa, prosto na Ojca, ale w tym czasie ktoś wydał jakiś okrzyk na drodze, dzięki temu odwrócił się i zmienił kierunek, omijając Ojca. Zabrali z podwórka mojego przyrodniego brata. Syna Ojca z pierwszą żoną. Tylko dlatego, że nosił imię Ojca – Stanisław. Stał miał wówczas 15 lat”.

Wten sposób wytypowany do aresztowania Stanisław Cieślukowski znalazł się w rękach NKWD. A że był to inny człowiek? Kto by się tam przejmował takimi szczegółami! Grunt, że w papierach wszystko było „w porządku”.

To tylko jedna z wielu ludzkich tragedii, które wydarzyły się w trakcie obławy augustowskiej. W dniach 12–19 lipca 1945 r., w okolicach Suwałk i Augustowa sowieckie jednostki przeprowadziły gigantyczne polowanie na polskich patrio-

tów, członków partyzantki i wszystkich podejrzanych o jej wspieranie. Czarne listy dostarczyły bolszewikom zbiry z UB.

Los aresztowanych był tragiczny. Co najmniej 592 z nich zostało zamordowanych. Los tysiąca kolejnych pozostaje nieznany. „Była to największa masowa zbrodnia popełniona na cywilach w Europie pomiędzy zakończeniem II wojny światowej a wybuchem wojen bałkańskich w latach dwudziestych” – czytamy we wstępie do rewelacyjnego wydawnictwa źródłowego „Miotła Stalina”.

Trzech znakomitych historyków – Grzegorz Motyka, Łukasz Adamski i Grzegorz Hryciuk – spenetrowało rosyjskie archiwa i wydobyło z nich kluczowe dokumenty dotyczące obławy. Dowiadujemy się z nich, że tę zbrodniczą operację przeprowadziło nie NKWD, lecz jednostki Armii Czerwonej działające pod nadzorem

funkcjonariuszy Smierszu. Pomocniczą rolę odegrały zaś „polskie” formacje komunistyczne.

Rozkaz o „rozgromieniu polskiej reakcji” wyszedł od samego Stalina. Obława była częścią gigantycznej operacji przeciwpartyzanckiej przeprowadzonej na terenie państw bałtyckich i Polski. Ale jednocześnie – była całkowicie unikalna. Tylko tutaj sowieccy zamordowali bowiem tak wielu ludzi. ©©



★★★★★
**ŁUKASZ ADAMSKI,
GRZEGORZ
HRYCIUK,
GRZEGORZ
MOTYKA**
**„MIOTŁA STALINA”
CENTRUM POLSKO-
ROSYJSKIEGO
DIALOGU
I POROZUMIENIA**



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Korzenie uniwersytetu

Za czasów Kazimierza Wielkiego w związku z szybkim rozwojem kraju wzrastało zapotrzebowanie na wykształconych urzędników. Król otaczał się prawnikami, byli to jednak wychowankowie obcych szkół. A jak wiadomo, nauka za granicą była bardzo droga i niedostępna dla wielu Polaków.

Akademia Krakowska to druga szkoła tego typu w Europie Środkowej

W czasach średniowiecza powstał uniwersytet zależny od zgody papieża i w 1363 r. Kazimierz wysłał odpowiednie poselstwo do Stolicy Apostolskiej. Akademia Krakowska powstała rok później, jako druga szkoła tego typu w Europie Środkowej.

Ustanowiono pięć katedr: prawa rzymskiego, trzy prawa kościelnego i jedną nauk wyzwolonych, a król zadbał także o prawa profesorów i uczniów. Najwyższą władzę na terenie uniwersytetu sprawował rektor i tylko w szczególnych przypadkach sprawy mogły trafić do sądu królewskiego. Podczas nauki studenci mieszkali w kwaterach na mieście, ale opłaty za wynajęcie lokali nie mogły być dowolnie ustalane przez właścicieli. Kwatery musiały być utrzymywane w dobrym stanie, a studenci mieli pierwszeństwo przy ich wynajęciu.

Profesorowie byli dobrze opłacani, król przeznaczył dla nich część dochodów z żup solnych, a nigdy nie był skąpym pracodawcą. Zadał również o zniżki dla wykładowców i studentów. Zostali oni zwolnieni z ceł od przywożonych i przysyłanych im rzeczy, a krakowscy kupcy mieli obowiązek sprzedaży im towarów po tych samych cenach co innym mieszkańcom stolicy. Na koniec król zagwarantował odszkodowania finansowe w przypadku kradzieży lub napadu. Kazimierz zadbał o doskonałe warunki do nauki dla swoich żaków!

Niestety, śmierć króla i objęcie tronu przez Ludwika Węgierskiego spowodowały, że Akademia Krakowska zaprzestała działalności.

Zmianę przyniosło dopiero panowanie Jadwigi Andegaweńskiej. Córka Ludwika i cioteczna wnuczka Kazimierza zdecydowała się reaktywować uczelnię i w 1397 r. uzyskała nawet zgodę papieża na utworzenie fakultetu teologii.

Wprawdzie królowa nie dożyła wznowienia działalności przez uczelnię, ale w swoim testamencie zapisała na jej rzecz osobiste klejnoty. Dzięki temu 24 lipca 1400 r. odbyły się pierwsze zajęcia dla studentów w salach budynku Collegium Maius, a sześć lat później powstały samodzielne katedry matematyki i astronomii, co było pierwszym takim przypadkiem w Europie. Zasługi Kazimierza i Jadwigi są niepodważalne, jednak uczelnia nosi nazwę Uniwersytetu Jagiellońskiego. ©©



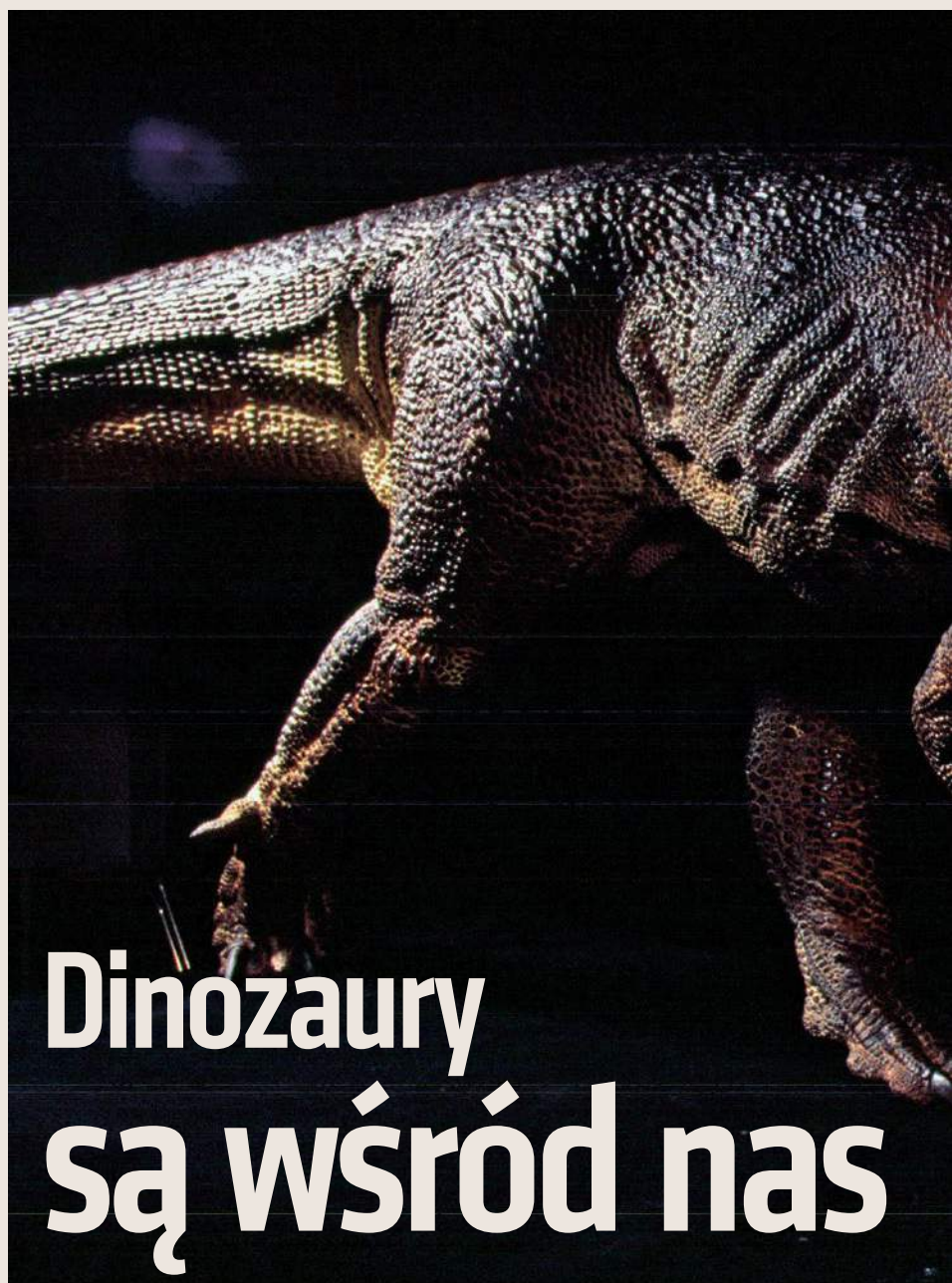
Adam Zubek

Każdy mieszkaniec budynku wzniesionego w latach 70. lub późniejszych, zwłaszcza tego z wielkiej płyty, może mieć niemal pewność, że na co dzień obcuje z... dinozaurami. Ich śladów odnajduje się w Polsce coraz więcej, niektóre regiony zostały przez nie wręcz zadeptane

Cement, który został użyty do budowy twojego domu, zwłaszcza jeżeli pochodził z jednej z większych polskich cementowni w Strzelcach Opolskich, najprawdopodobniej wyprodukowano z surowca pozyskanego z jednego z największych w Europie cmentarzysk mezozoicznych gadów i płazów, z Krasiejowa na Opolszczyźnie. Właśnie minęło 25 lat, gdy młody wrocławski paleontolog Robert Niedźwiedzki zaprowadził na to miejsce prof. Jerzego Dzika: „Brodziliśmy – wspominał potem profesor swoją wizytę w Krasiejowie – po zboczach w okrucinach skalnych. Rzeczywiście, tu i tam, wśród większych bloków na skraju oсыpiska leżały skamieniałe kości. Podnosiliśmy z ziemi dziesiątkami kręgi płazów tarczogłowych i ułamki tarczy kostnych z charakterystycznym labiryntem żeberka na powierzchni. Wspiąłem się do szczytu ściany. Gdzieś tam wystawały z niej wapienne płaskurki z widoczną na przełamach ciemną gąbczastą tkanką kości. Jedną z owalnych w przekroju kości sterczała ze skały. Oczyszciliśmy młotkiem jej otoczenie i osłupiałem. Była to nosowa część czaszki dużego gada. Tego jeszcze w Polsce nie było!”

ZACZEŁO SIĘ OD JASZCZURKI

Profesor wiedział, na co natrafił. W bezporównania trudniejszej sytuacji był 170 lat wcześniej pastor William Buckland. Przez kilka dobrych lat przyglądał się bezzradnie podobnym przedziwnym kościom. Dostarczano mu je z kamieniołomu w Stonesfield wkrótce potem, gdy w 1813 r. został wykładowcą mineralogii na uniwersytecie w Oksfordzie. Rozpoznał wśród nich zuchwę z dużymi zębami o piłkowanych brzegach, kręgi, fragmenty



Dinozaury są wśród nas

miednicy, kości kończyn. Wszystko to znał – jaszczurka. Tylko te rozmiary... Właśnie mija 195 lat od momentu, gdy zdecydował się na publikację – w 1824 r. wysłał do Geological Society of London artykuł zatytułowany: „Notice on the Megalosaurus or Great Fossil Lizard of Stonesfield”. Ta data i ten artykuł są uważane za początek naukowej „kariery” dinozaurów. Również nazwisko angikańskiego pastora, Williama Bucklanda (1784–1856), na zawsze zostało związane z dinozaurami.

Co właściwie odkrył Buckland? Jego megalozaur był dla niego po prostu wielką jaszczurką czy może czymś bardziej podobnym do gigantycznego krokodyla. Dziś wiemy, że zupełnie błędnie rekonstruował

jego wygląd. Znacznie także przecenił jego rozmiary – ocenił, że miał ponad 20 m długości (dziś uważa się, że mogło to być ok. 10 m) i ważył kilkadziesiąt ton (w rzeczywistości prawdopodobnie ok. 2 ton). Prawidłowo zaliczył znalezisko do gadów mięsożernych. Przez prawie sto lat wszystkie wykopane szczątki wielkich gadów mięsożernych nazywano megalozaurami.

Stwory te stały się dinozaurami dopiero w 1842 r, gdy znaleziska kości kolejnych mezozoicznych gadów (znane były jeszcze w tym czasie szczątki iguanodona i hileozaura) skłoniły Richarda Owena (1804–1892), wybitnego angielskiego anatoma i paleontologa, do uznania tych zwierząt za oddzielną grupę. Nazwał ją



Pełnowymiarowa rekonstrukcja dinozaura terosaurus, którego szczątki zostały znalezione podczas wykopaliś w Krasiejowie. Jej autorką jest Magdalena Szubert FOT. WOJCIECH FRANUS/REPORTER

dinosauria, co z grecka oznacza przerażającą wielkie jaszczury. Owena można też uznać za ojca chrestnego współczesnych dinoparków. Z jego inicjatywy rzeźbiarz Benjamin Hawkins wykonał (z betonu, cegieł i stali) ponad 20 naturalnej wielkości modeli prehistorycznych zwierząt, w tym dwa iguanodony. Tak w 1854 r. powstała, istniejąca do dziś, wystawa Crystal Palace (dziś w Londynie, dzielnica Bromley). Na jej otwarciu 21 wybitnych naukowców wesoło biesiadowało w... brzuchu wielkiego iguanodona. Rzeźby Hawkinsa bardzo odbiegały od tego, co dziś wiemy na temat wyglądu tych zwierząt. Wobec szczupłości materiałów wykopaliskowych i słabej znajomości anatomii wszelkie

próby rekonstrukcji kształtów mezozoicznych gadów skazane były w tych czasach na niepowodzenie.

MROCZNA Tajemnica GÓR ŚWIĘTOKRZYSKICH

Historia spotkań człowieka z dinozaurami jest oczywiście znacznie starsza niż publikacja Bucklanda. Kości „olbrzymów” lub „smoków” były znane od wieków w Chinach, gdzie przypisywano im magiczną moc. Ale przecież dinozaury to przez wieki codzienność mieszkańców regionu świętokrzyskiego. Nie znali tylko ich naukowej nazwy. Dla nich były to bieszczy i diabły. Im właśnie przypisywane były odciski w skałach ślady niezwy-

kłych trójpalczastych, jakby ptasich, łapsk z wielkimi pazurami. Stąd zapewne wzięła się legenda Gór Świętokrzyskich jako mrocznej krainy magii i złych mocy – czarownic i diabłów. W 1857 r. odnotował te diabelskie ślady Oskar Kolberg („Lud. Jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce”).

Jak dinozaury zawędrowały do Polski? Trzeba pamiętać, że dinozaury były panami całego mezozoicznego świata. Można je znaleźć wszędzie tam, gdzie na powierzchni występują niezniszczone przez erozję skały ery mezozoicznej – z triasu, jury i kredy. Ich szczątki można też znaleźć wśród innych skał, osadów naniesionych przez rzeki. Paleogeografowie zrekonstruowali krajobraz naszej części Europy sprzed 200 mln lat. Skały występujące w rejonie Gór Świętokrzyskich i Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej wskazują, że musiała tu sięgać dość płytka zatoka tzw. morza retyckiego (rociągniętego się dalej na północ i na zachód), okresowo wysychająca i zapełniana przez okoliczne rzeki masami piaszczystego, ilastego i wapiennego osadu. Po plażach tej zatoki przechadzały się dinozaury, zostawiając odciski swoich łap. Możemy je dziś oglądać w wielu miejscach. Okazuje się, że znaczna część Polski, a konkretnie strefa występowania na powierzchni skał ery mezozoicznej (triasu, jury i kredy), czyli Opolszczyzna, Śląsk, region świętokrzyski, jest wręcz zadeptana przez dinozaury. Lista miejsc, gdzie odnaleziono tropy dinozaurów, wydłuża się z każdym rokiem: Idzikowice, Gromadzice, Jakubów, Zapniów, Sołtyków, Iłża, Błasiny, Bałtów, Opatów, a także Dolina Tomanowa w Tatrach. Spełniło się też w ostatnich latach marzenie paleontologów – odkrycie kości „prawdziwych” dinozaurów – w Sołtykowie (na południe od Radomia) i w Lisowicach (koło Lublińca na Śląsku).

NIEOCZEKIWANE NASTĘPSTWA „WYŚCIGU ZBROJEŃ”

Jak to się stało, że świat ery mezozoicznej wypełnił się tymi przerażającymi dzisiaj dla nas stworami? Na początku był kataklizm (o wciąż nierozpoznanej przyczynie), który na przełomie ery paleozoicznej i mezozoicznej (250 mln lat temu) unicestwił w 90 proc. dawniejsze formy życia. Gdyby nie to zdarzenie, człowiek i jego cywilizacja miałyby szansę zaistnieć miliony lat wcześniej, gdyż pod koniec paleozoiku na lądzie królowały gady ssakokształtne (synapsydy) – nasi



Skamielina silesaurusa, najprawdopodobniej najstarszego dinozaura na Ziemi, znaleziona w Krasiejowie FOT. WOJCIECH FRANUS/REPORTER

dalecy prapraprzodkowie. Niestety, po permskim końcu świata niedobitki tych kręgowców musiały zejść do podziemia. W ciągu triasu (250–200 mln lat temu), najstarszego okresu ery mezozoicznej, rozwinęły się archozaury, przodkowie dinozaurów, które wkrótce niepodzielnie zapanowały nad lądami. Miały ułatwione zadanie, bo ówczesny świat składał się z jednego lądu, zwanego Pangeą. Dlatego też szczątki dinozaurów występują dziś na wszystkich kontynentach.

Dlaczego ewolucja nadała im te nieprawdopodobne rozmiary i wyposażyła w te wielkie zębiska, rogi, kolce na grzbiecie, kostne kołnierze, grzebień i kryzy, tarcze i płyty, szpony, wielkie i ciężkie ogony? Niektóre z nich miały zapewne znaczenie jako ozdoby godowe, ale za większość z nich odpowiada „wyścig zbrojeń” – zjawisko eskalacji zmian ewolucyjnych. Mniejsze i słabsze zwierzęta, nie chcąc stać się obiadem dla drapieżników, kształtowały u siebie cechy utrudniające atak napastnikom (np. roślinożerne ankylozaury, dinozaury pancerne, czy edmontonia). Drapieżcy z kolei musieli znaleźć antidotum na nowe formy obrony potencjalnych ofiar. Gigantozaur lub tyranozaur dysponowali czymś w rodzaju broni atomowej – zębami niekiedy 30-centymetrowej długości. Rzeczywistość w epokach jury i kredy wyglądała prawdopodobnie znacznie gorzej, niż pokazywał to film Spielberga „Park jurajski”. A namacalny dowód tej rzeczywistości odkryła w 1971 r. polsko-mongolska wyprawa na pustyni

Gobi – kompletny szkielet welociraptora wczepiony w szkielet protoceratopsa. Wszystko wskazuje na to, że była to walka na śmierć i życie.

Ale nie wszystko w ewolucji tych potworów zmierzało w złym kierunku. Pod koniec ery dinozaurów, parę milionów lat przed ich zagładą wskutek uderzenia w Ziemię wielkiego meteorytu, pojawił się troodon – teropod o wyjątkowo dużej mózgowcaszce. Badacze wysnuli stąd wniosek, że musiał być zdecydowanie inteligentniejszy. A Dale Russell z National Museum w Ottawie sugerował swojego czasu, że gdyby nie ten meteoryt, to ziemską cywilizację budowałoby potomkowie tego niewielkiego, ptasiopodobnego dinozaura.

Ostatecznie, po kataklizmie z końca kredy na placu boju pozostały... ptaki. Skąd wziął się taki pomysł, dziś oficjalnie potwierdzony przez naukę? Wpadł na to podobno Thomas Huxley (1825–1895), słynny angielski zoolog, paleontolog, filozof i lekarz, podczas uroczystego obiadu po dniu spędzonym na badaniach muzealnych skamieniałości. Podczas obgryzania kości jakiegoś drobiu zauważył na swoim talerzu kość podobną do tej, którą wcześniej widział, oglądając szczątki dinozaurów. Rzeczywiście, pewne cechy budowy stawu biodrowego oraz kończyn dolnych są wspólne tylko dla dinozaurów i ptaków.

POLOWANIE NA DINOZAURY

Dawni paleontolodzy ekscytowali się przede wszystkim rozmiarami kostnych

znalezisk. Największe zainteresowanie poszukiwaczy budziły szkielety olbrzymów, które tak spektakularnie prezentują się w muzeach. Złoty wiek takich poszukiwań przypadł na ostatnie dziesięciolecie wieku XIX. Słynna stała się wówczas niemal wojenna rywalizacja dwóch paleontologów amerykańskich, Edwarda Drinkera Cope’a i Othniela Charlesa Marsha. Początkowo zaprzyjaźnieni wspólnie eksplorowali coraz to nowe stanowiska, nadając odkrywanych gatunkom nazwy pochodzące od nazwiska drugiego i vice versa. Jednak cechy ich charakterów sprawiły, że w latach 70. XIX w. ich rywalizacja prowadziła wręcz do rękoczynów między członkami kierowanych przez nich zespołów, nie mówiąc już o wojnie na słowa w naukowych publikacjach. Jak pisze Bill Bryson w swojej „Krótkiej historii prawie wszystkiego” – w ciągu kilku lat Marsh i Cope zwiększyli liczbę znanych w Ameryce dinozaurów od siedmiu do prawie 150. „Niemal każdy znany powszechnie dinozaur – stegozaur, brontozaur, dipłodok, triceratops – został odkryty przez jednego z nich. Obaj pracowali w tak szalonym pośpiechu, że często zdarzało się im przeoczyć przypadki powtórnego odkrycia tej samej istoty. Gatunek zwany Uintatheres anceps odkryli łącznie nie mniej niż 22 razy”.

Są jednak na świecie cmentarzyska dinozaurów, miejsca, z których paleontolodzy wywozili znalezione kości tonami. Bogate „złóża” dinozaurów występują w kilku miejscach na zachodzie Stanów Zjednoczonych. Marsh i Cope eksploatowali stanowisko Morrison koło Denver. Inne stanowiska znajdują się w stanie Utah (Dinosaur National Monument), w Montanie (Hell Creek) czy w stanie Alberta w Kanadzie (Dinosaur Provincial Park). Począwszy od lat 50. XX w. terenem sensacyjnych odkryć stały się Chiny; wcześniej, w latach 20., odkryto równie bogate stanowisko na pustyni Gobi w Mongolii (Płonące Urwiska). Szczególnie cennym cmentarzyskiem, badanym od lat 80. ub. wieku, jest Dolina Księżycowa w Argentynie. Pochodzą stamtąd najstarsze okazy dinozaurów, sprzed ponad 220 mln lat.

W Europie najwięcej szczątków dinozaurów (iguanodonów) wydobyto pod koniec XIX w. z kopalni w Bernissart. Czyżby okolice Brukseli (Bernissart leży kilkadziesiąt kilometrów na zachód od stolicy Belgii) nie były zbyt przyjazne dinozaurom?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



- Eksplozja na Kilińskiego
- Wstrząsający wywiad z żołnierzem AK
- Dodatek specjalny na 75. Rocznicę Powstania '44



Reynald Secher – **Wolność, równość, ludobójstwo**

Piotr Semka – **Męczeństwo Ludwika XVI**

Marcin Bartnicki – **Rebelia w Wandei**

Piotr Zychowicz – **Jak Węgrzy ratowali Polaków na Wołyniu**

Tomasz Stańczyk – **Niesamowite wyczyny lotników II RP**

Yunte Huang – **Szokująca historia braci syjamskich**

Marian Zacharski – **Gestapo porywa oficera Abwehry**

Sławomir Cenckiewicz – **Zwalczać bolszewizm!**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Większość śmigłowców Tiger i myśliwców Eurofighter nie jest zdolnych do lotu, duża część okrętów wojennych nie jest w stanie pływać, łodzie podwodne leżą na dnie niczym zdechłe wieloryby, a w wojskowych magazynach brakuje niemal wszystkiego: od amunicji poprzez paliwa po kalesony. W niemieckiej armii brakuje zresztą nie tylko sprzętu, lecz także ludzi – tak stan Bundeswehry scharakteryzował w raporcie opublikowanym w styczniu tego roku członek komisji obrony, socjaldemokrata Hans-Peter Bartels.

Komentatorzy nie mogli powstrzymać się od złośliwości, gdy media publikowały zdjęcia, na których było widać, że niektóre niemieckie pojazdy opancerzone najgroźniejszej niegdyś armii świata podczas ćwiczeń oddziałów szybkiego reagowania zamiast w karabiny maszynowe były uzbrojone jedynie w pomalowane na czarno kije od mioteł. Niewykluczone też, że fatalny stan niemieckiej armii był jedną z przyczyn czerwcowej katastrofy lotniczej

Kameleon z wyższych sfer



Jacek Przybylski

Ekonomistka, ginekolożka, poliglotka, matka siedmiorga dzieci i zaufana podwładna Angeli Merkel. Ursula von der Leyen, mało dotąd znana polityk bez konkretnego programu, została pierwszą w historii kobietą na stanowisku przewodniczącego Komisji Europejskiej

– w powietrzu zderzyły się dwa myśliwce Luftwaffe, co kosztowało życie jednego z pilotów.

Pewne jest jedno: za katastrofalny stan niemieckiej armii w dużej mierze odpowiada Ursula von der Leyen. To ona nakazała m.in. remont trzymasztowego żaglowca szkolnego „Gorch Fock”, który funkcjonował jako statek muzeum, a którego remont zamiast 10 mln euro kosztował ponad 70 mln. A to tylko jeden z wielu przykładów fatalnych decyzji von der Leyen.

Szeroko krytykowana we własnym kraju minister obrony Niemiec – będąca jednocześnie wpływową działaczką Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU) – długo tłumaczyła, że nie da się szybko nadrobić 25 lat zaniedbań. W końcu została jednak zmuszona do przyznania, że popełniła wiele „błędów”, w tym do zawierania podejrzanych wielomilionowych kontraktów zbrojeniowych. Mimo uchybień, zarzutów niegospodarności i oskarżeń o nepotyzm kanclerz Angela Merkel konsekwentnie odmawiała zdymisjonowania swojej przyjaciółki. Wiadomo było jednak, że skoro von der Leyen, która niegdyś była szykowana na następczynię żelaznej kanclerz, stała się jednym z urzędników najgorzej ocenianych w całym rządzie, to sytuacja ta nie może trwać wiecznie. Wymieniano ją więc jako potencjalną kandydatkę na nowego sekretarza generalnego NATO lub na któregoś z unijnych komisarzy.

POWRÓT DO BRUKSELI

Wreszcie do niemieckich wojskowych uśmiechnął się los. Kiepska szefowa resortu obrony już podała się do dymisji i na kilka lat opuści nie tylko obecny rząd, lecz także nawet kraj.

Gdy po upadku kandydatury Fransa Timmermansa Ursula von der Leyen została wybrana na pierwszą w historii szefową Komisji Europejskiej, pełna energii 60-letnia Niemka dostała od losu podwójny prezent: nie dość, że ucieknie od krajowych kłopotów, to jeszcze wróci do luksusowej krainy swego dzieciństwa. Ursula Gertrud z domu Albrecht urodziła się bowiem w ekskluzywnym belgijskim Ixelles jako córka wysokiego rangą urzędnika struktur europejskich. Jej rodzina wróciła do Niemiec, gdy Ursula miała 13 lat. Pani von der Leyen mówi więc płynnie zarówno po angielsku, jak i po francusku, co w unijnych strukturach jest szczególnie cenione.

60-letnia Niemka ma też nienaganną prezencję, zawsze idealnie uporządkowaną

fryzurę i gotowy w każdym momencie telewizyjny uśmiech. Wybór jej na to stanowisko trafnie skomentował dawny przewodniczący Parlamentu Europejskiego Martin Schulz. „Von der Leyen to nasz najłabszy minister. Najwyraźniej to wystarcza, aby zostać przewodniczącą Komisji Europejskiej”. Pod taką oceną socjaldemokraty podpisałoby się też wielu chadeków.

Eurokratom z pewnością spodoba się jednak jej zdecydowana postawa w kwestii pogłębienia integracji europejskiej. – Moim celem są Stany Zjednoczone Europy, o strukturze takiej jak Szwajcaria, Niemcy czy USA – deklarowała w 2011 r. w wywiadzie dla tygodnika „Der Spiegel”, a pięć lat później w rozmowie z tygodnikiem „Die Zeit” podtrzymała swoje stanowisko, podkreślając, że „kiedy myśli o Europie dla swoich dzieci i wnuków, nie myśli o luźnej unii państw uwięzionych pośród narodowych interesów”. Zdyscyplinowana Niemka, z mentalnością klasowego prymusa, opowiada się więc m.in. za zacieśnieniem unijnej współpracy w kwestiach militarnych i stworzenia „armii Europejczyków”, aby UE mogła wzmacniać „potencjał Europy w promocji pokoju”. Sama von der Leyen chętnie wspomina słowa ojca Ernsta Albrechta – będącego nie tylko unijnym urzędnikiem, lecz także długoletnim premierem Dolnej Saksonii – który powtarzał dzieciom, że kiedy kraje rozwijają wymianę handlową, to budują przyjaźnię i już do siebie nie strzelają. Na jej korzyść – z punktu widzenia Warszawy – świadczy też wielokrotnie wyrażane twarde stanowisko wobec Rosji. W jednym z wywiadów dla telewizji ZDF przekonywała, że chociaż Berlin powinien rozmawiać z Moskwą, to jednocześnie powinno się wzmocnić NATO tak, aby móc prowadzić negocjacje z pozycji siły.

GINEKOLOG W POLITYCE

Nowa szefowa Komisji Europejskiej jako nastolatka nie marzyła jednak wcale o pójściu śladami politycznej kariery ojca. Studiowała ekonomię na nazywanym wylegarni noblistów Uniwersytecie w Getyndze, kiedy jej ojciec został poinformowany przez służby specjalne, że on i jego rodzina mogą stać się celem Frakcji Czerwonej Armii (RAF) – lewicowej organizacji terrorystycznej kierowanej przez Andreasa Baadera oraz Ulrike Meinhof. Dla swojego bezpieczeństwa młoda Ursula przyjęła pseudonim Rose Ladson – będący kombinacją jej nazwiska rodzowego z nazwiskiem jej amerykańskiej prababki

– zamieszkała w apartamencie swojego wujka i kontynuowała naukę ekonomii na prestiżowej brytyjskiej uczelni London School of Economics.

Skończyła także studia na Hanowerskiej Akademii Medycznej i na przełomie lat 80. i 90. pracowała jako lekarz w klinice ginekologii. W 1991 r. została nawet doktorem medycyny i chociaż w 2015 r. oskarżono ją o to, że jej rozprawa doktorska jest plagiatem, to te informacje nie zostały potwierdzone.

Do Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej (CDU) wstąpiła w roku 1990. Rozpoczęcie kariery politycznej tłumaczyła chęcią zajęcia się kwestiami opieki zdrowotnej. Przez kilkadziesiąt lat zajmowała się jednak najróżniejszymi problemami, ale akurat zdrowiem nigdy. W środowisku tradycyjnie zdominowanym przez mężczyzn musiała przyzwyczaić się do tego, że często jest niedoceniana. Wyjątkowo ambitna, szybko pokonywała jednak męskich konkurentów i błyskawicznie pięła się po kolejnych szczeblach politycznej kariery.

Zaczynała jako radna, ale już w roku 2003 została ministrem ds. społecznych Dolnej Saksonii. Dwa lata później weszła do pierwszego rządu kanclerz Angeli Merkel: w latach 2005–2009 pracowała jako minister ds. rodziny, osób starszych, kobiet i młodzieży. W tamtych czasach złośliwcy nazywali ją Krippen-Ursel – krytycy widzieli w niej bowiem konserwatywną, ukrytą feministkę, która ma bzika na punkcie zakładania nowych państwowych przedszkoli. A kiedy minister zaczęła dbać o to, aby chronić młodzież przed złym wpływem ciemnych zakamarków Internetu, jej przeciwnicy zarzucili jej skłonności cenzorskie i przezwali Zensursula.

Von der Leyen nie przejmowała się krytyką i po prostu robiła to, co uważała za słuszne. Pod jej kierownictwem w Niemczech przyjęto także ustawę, która gwarantuje każdemu dziecku powyżej pierwszego roku życia miejsce w przedszkolu, a także wprowadza prawo do co najmniej dwóch miesięcy „urlopu tacierzyńskiego” dla ojców. Trudno nie pochwalić jej za walkę z dziecięcą pornografią w Internecie.

Taka minister spodobała się wielu Niemcom. W każdych kolejnych wyborach w 2009, 2013 oraz w 2017 r. zdobywała więc mandat do Bundestagu. Została też jedynym politykiem, który tekę ministra otrzymał we wszystkich czterech gabinetach tworzonych przez Angelę Merkel. Od 2009 do 2013 r. von der Leyen



Ursulę von der Leyen typowano kiedyś na następczynię Angeli Merkel. FOT. KAY NIETFELD/PAP/DPA

pełniła funkcję ministra pracy i spraw społecznych, a od 2013 r. ministra obrony. Nominacja na szefa resortu siłowego musiała być dla niej – i zapewne także dla wielu niemieckich oficerów – podobnym zaskoczeniem jak jej wybór na szefową Komisji Europejskiej. Długo typowano ją bowiem na ministra spraw wewnętrznych. Nominacja na zwierzchnika armii miała być jednak dla niej ostatecznym sprawdzianem przed prognozowanym przejęciem władzy z rąk Merkel. Jako bliska przyjaciółka wpływowego Wolfganga Schäuble, przewodniczącego Bundestagu, miała realne szanse na zostanie kancierzem. Jako pierwsza kobieta w historii na stanowisku ministra obrony Niemiec poległa jednak z kretesem. Zamiast skupić się na modernizacji niezbędnego sprzętu fundowała żołnierzom np. dni otwarte LGBTQ i dyskusje o wprowadzeniu parytetu płciowego wśród szefów sił zbrojnych.

Dorobiła się też nowej ksywy – jej męscy krytycy mówili o niej Flinten-USchi, co stanowi połączenie słów „flinta” oraz zdrobnienia imienia pani minister i nawiązuje do apodyktycznych skłonności karierowiczki.

Zaufanej podwładnej Angeli Merkel karierę w różnych ministerstwach ułatwiał brak klarownego programu politycznego, a także łatwość obiecywania różnym stronom tego, co akurat chciałyby usłyszeć. Ta ostatnia jej cecha widoczna była również w relacjach z rozmówcami Niemki z przedstawicielami różnych frakcji w Parlamencie Europejskim jeszcze przed głosowaniem w sprawie jej kandydatury na szefową KE. Hiszpański dziennik „El Confidencial” nazwał ją więc wprost politycznym kameleonem. I trudno Hiszpanom odmówić racji. Podobnie jak w przypadku Angeli Merkel trudno bowiem jednoznacznie stwierdzić,

czy nowa szefowa Komisji Europejskiej jest bardziej liberałem czy konserwatystką. Teoretycznie to polityk chadecka, ale głosowała za legalizacją „homomażeństw”, i to mimo że jej mentorka Angela Merkel była temu przeciwna. Ostatecznie w Niemczech małżeństwa jedнопłciowe zostały zalegalizowane w roku 2017, co oczywiście środowisku LGBT nie wystarczyło. Nowa przewodnicząca KE popiera więc też żądania dotyczące adopcji dzieci przez gejów i lesbijki, podkreślając, że nie zna żadnego badania, które mówiłoby, że dzieci wychowywane przez osoby tej samej płci zachowują się inaczej niż te, które dorastają w małżeństwach heteroseksualnych.

Aby odeprzeć krytykę wobec fatalnej w skutkach decyzji kanclerz o otwarciu granic dla setek tysięcy przybyszów z Afryki i Bliskiego Wschodu, von der Leyen gościła w swym domu 19-letniego imigranta z Syrii i pomogła mu dostać się na praktykę zawodową. Nowa szefowa Komisji Europejskiej niczym rasowa socjalistka chce też wprowadzenia w całej UE „sprawiedliwej płacy minimalnej”, która pozwoliłaby na godne życie w kraju, w którym się pracuje.

W Europie von der Leyen była dotąd mało znanym politykiem. W Polsce jej nazwisko zaczęło się częściej pojawiać w mediach dwa lata temu, kiedy niemiecka minister obrony w wywiadzie dla ZDF zadeklarowała wsparcie dla „zdrowego demokratycznego oporu młodego pokolenia w Polsce”. Sprowokowała w ten sposób do protestu ówczesnego szefa polskiej dyplomacji Witolda Waszczykowski, który uznał jej słowa za próbę ingerencji władz w Berlinie w wewnętrzne sprawy Polski. W odpowiedzi niemiecki resort obrony podkreślił, że wypowiedź von der Leyen została wyrwana z kontekstu, a ona sama rozumie „wyjątkowe znaczenie” partnerstwa Niemiec z Polską. Nie wia-

domo, w które słowa wierzyć, bo szefowa niemieckiego resortu obrony popierała też prowadzoną przez Merkel politykę „zimnego chowu” wobec węgierskiego premiera Viktora Orbána.

Prywatnie od 1986 r. jest żoną szanowanego lekarza, pochodzącego z arystokratycznej niemieckiej rodziny prof. Heiko von der Leyena. Gdy jej mąż otrzymał stypendium na amerykańskim Uniwersytecie Stanforda, porzuciła karierę zawodową i wyjechała do Kalifornii w roli kury domowej. Wychowana w konserwatywnej rodzinie o wielowiekowej tradycji von der Leyen jest szczęśliwą matką aż siedmiorga dzieci, co robi duże wrażenie praktycznie w każdym europejskim kraju, a szczególnie w Niemczech, gdzie jedna kobieta rodzi średnio zaledwie 1,59 dziecka. Jej biograf Daniel Goffart zwracał uwagę na zręczną próbę połączenia przez nią kariery politycznej z życiem rodzinnym. A także na polityczną cenę, jaką musiała zapłacić za to, że od letnich imprez z kolegami z CDU w Dolnej Saksonii wolała weekendy ze swoimi dziećmi.

GORZKIE POPARCIE

Ursula von der Leyen swoje obowiązki jako przewodnicząca Komisji Europejskiej rozpocznie 1 listopada. Już teraz wiadomo, że na kartach historii zapisze się nie tylko jako pierwsza kobieta oraz pierwszy od ponad pół wieku przedstawiciel Niemiec na tym stanowisku, lecz także jako kandydatka, która podczas głosowania w Parlamencie Europejskim otrzymała jedynie 383 głosy. To zaś oznacza, że o mały włos jej kandydatura zostałaby odrzucona, a pani von der Leyen zostałaby bez posady w Brukseli i już bez teki w Berlinie.

Nie jest więc wcale wykluczone, że osłabiona pani von der Leyen, aby zaskarbić przychylność kluczowych graczy, powróci do forsowanej przez Timmermansa „kontroli praworządności” w krajach członkowskich. Zwłaszcza że pod koniec roku zostanie najprawdopodobniej wezwana do Berlina, aby tłumaczyć się przed parlamentarną komisją z oskarżeń o nepotyzm w resorcie obrony, w tym z przyznawania kontraktów międzynarodowej firmie doradczej, w której pracuje jej syn. Zahartowaną w boju „konserwatywną feministkę” czeka więc walka co najmniej na kilku frontach. Przeworsowanie jej kandydatury, m.in. przez Polskę i Węgry, może więc okazać się fatalne w skutkach zarówno dla Warszawy, jak i dla Budapesztu.

Rośnie znaczenie żeglugi na Odrze

Odrzańską Drogę Wodną czeka renesans i wzrost znaczenia dla krajowego śródlądowego transportu wodnego. Wszystko dzięki inwestycjom Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie, wśród których duże znaczenie odgrywa kompleksowa modernizacja śluz na Kanale Gliwickim. W ubiegłym roku prześluzowano tą drogą wodną aż 16.000 jednostek pływających, a z gliwickiego portu do wrocławskiej elektrociepłowni popłynęło ok. 230 tys. ton węgla.

Z Gliwic do Wrocławia i jeszcze dalej

Ile należałoby postać składów kolejowych, aby przewieźć 230 tys. ton węgla ze Śląska do Wrocławia? Około 96 pociągów – łącznie 3.833 wagonów.

W ubiegłym roku ten tonaż węgla przetransportowano Kanałem Gliwickim na kilkuset barkach. Urobek z górnośląskich kopalń trafił Odrzańską Drogą Wodną do opolskiej elektrowni i Elektrociepłowni Wrocław.

Na Kanale Gliwickim w sezonie żeglugowym w 2018 roku prześluzowano łącznie 16 tys. jednostek pływających. W roku poprzednim było ich 12 tys., a dwa lata wcześniej 5 tys. Z roku na rok droga wodna cieszy się coraz większym powodzeniem nie tylko dla transportu ładunków masowych, ale również w żegludze pasażerskiej i turystycznej.

Powrót żeglugi śródlądowej na Odrę można powiązać z kompleksową modernizacją sześciu śluz Kanału Gliwickiego, którą prowadzi Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie.

Jubileuszowy rok

W bieżącym roku obchodzimy 200 rocznicę podpisania Protokołu Bohumińskiego – strategicznego dokumentu, który w 1918r.

określił zasady regulacji Odry i przystosowania jej do żeglugi. Obecnie Odrzańską Drogą Wodną liczy 646 km i tym samym jest najdłuższym śródlądowym szlakiem żeglugowym w Polsce.

Część Odrzańskiej Drogi Wodnej stanowi Kanał Gliwicki, dla którego bieżący rok również jest jubileuszowy. Dokładnie przed 80-laty – 8 grudnia 1939 roku – po pięciu latach budowy kanał został oddany do użytku. Dla żeglowności Kanału największe znaczenie ma sześć śluz, które umożliwiają pokonanie różnicy wysokości 43,6 m między skrajnymi stanowiskami. Śluzy w Kłodnicy, Nowej Wsi, Sławięcicach, Rudzinie, Dzierżnie i Łabędach przez prawie 80 lat użytkowania były jedynie utrzymywane, serwisowane i poddawane doraźnym naprawom. Aktualna inwestycja Wód Polskich w ramach projektu „Modernizacji śluz odrzańskich na odcinku w zarządzie Regionalnego Zarządu Gospodarki Wodnej w Gliwicach – przystosowanie do III klasy drogi wodnej” jest pierwszą gruntowną modernizacją śluz w ich historii. Prace na śluzach Sławięcice i Nowa Wieś przebiegają pod okiem konserwatora zabytków, gdyż te obiekty mają już status zabytku techniki.

Wykorzystać potencjał żeglugi śródlądowej

Projekt realizowany jest w dwóch etapach, między innymi dlatego aby prace modernizacyjne nie zakłócały znacząco żeglugi na Kanale Gliwickim. Każda ze śluz posiada dwie komory: północną i południową. Po zakończeniu prac w jednej komorze front robót jest przetrzany na kolejną, przy zachowaniu ciągłości żeglugi. Całość prac została zorganizowana tak, aby zawsze umożliwić śluzowanie z wykorzystaniem jednej czynnej komory.

W pierwszym etapie modernizacji Kanału Gliwickiego poddano śluzy Kłodnica, Rudziniec, Dzierżno, Łabędy, z czego dwie zostały już w pełni ukończone. W bieżącym roku pozostało ukończenie prac na śluzach Dzierżno i Łabędy. Równolegle realizowany jest drugi etap projektu, polegający na modernizacji śluz w Sławięcicach i Nowej Wsi.

Zakres prac obejmuje przebudowę i remont odcinków awanportów oraz komór śluz, rekonstrukcję żelbetowych głów dolnych i górnych wraz z dnem, remonty maszynowni oraz budynków sterowni, a także



modernizację mechanizmów napędowych. W zależności od stanu, regenerowane lub wymieniane na nowe są też stalowe wrota do śluzowania. Ich łączna masa przekracza 360 ton!

O skali przedsięwzięcia i rozmiarach konstrukcji inżynierskich, z którymi mamy do czynienia świadczy fakt, iż każde śluzowanie w Sławięcicach lub Nowej Wsi wiąże się z użyciem 5.800 m³ wody w jednej komorze. To objętość wystarczająca do napełnienia 290 tys. stalowych wiader. Cała inwestycja zostanie zakończona w pierwszym kwartale 2020 roku.

- Obok trwających robót modernizacyjnych, gliwickie Wody Polskie przygotowują się do realizacji trzeciego etapu, który poprawi warunki żeglugowe na Kanale Gliwickim, czyli do modernizacji ubezpieczeń brzegowych i urządzeń funkcjonalnie związanych z Kanałem Gliwickim. Wszystkie te elementy umożliwią optymalne wykorzystanie potencjału Kanału Gliwickiego i sprawią, że transport drogą wodną stanie się atrakcyjną alternatywą dla kolei oraz transportu kołowego. Zwiększy również konkurencyjność regionu i atrakcyjność dla potencjalnych inwestorów – zapowiada Łukasz Lange, dyrektor Regionalnego Zarządu Gospodarki Wodnej w Gliwicach.

Warto przypomnieć, iż Odrzańską Drogą Wodną w całym swym przebiegu należy do europejskiego systemu dróg wodnych o znaczeniu międzynarodowym i ujęto ją w ramy transeuropejskiej sieci transportowej (TEN-T).

Wartość projektu pn. "Modernizacja śluz odrzańskich na Kanale Gliwickim, na odcinku w zarządzie RZGW Gliwice - przystosowanie do III klasy drogi wodnej - etap II", realizowanego przez Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie wynosi 72 336 680,00 zł, z czego 61 486 177,27 zł stanowi unijne dofinansowanie z Funduszu Spójności w ramach POIiŚ 2014-2020.



Sutener amerykańskiego salonu



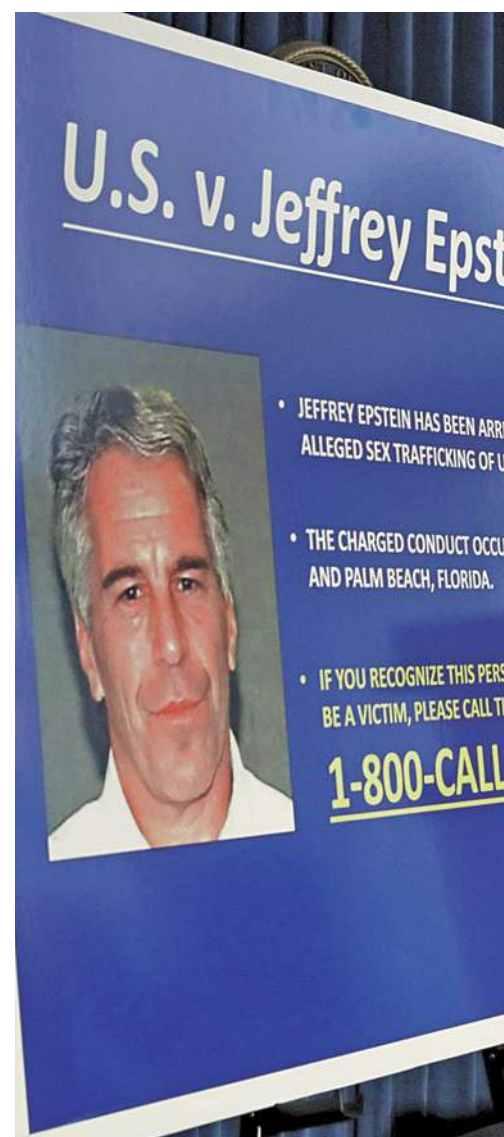
Tomasz Wróblewski

Z 53-stronicowego aktu oskarżenia przeciwko Jeffreyowi Epsteinowi, ekscentrycznemu nowojorskiemu miliarderowi, można by pewnie nakręcić kilka hollywoodzkich thrillerów erotycznych. Mała jest jednak szansa, żeby ktokolwiek odważył się nakręcić film, w którym w tle za roznegliżowanymi 14- i 15-latkami musiałyby się przewijać takie postaci jak Bill Clinton, Woody Allen czy Kevin Spacey

Epstein czeka na rozprawę w areszcie w New Jersey, ale ta najważniejsza rozprawa już trwa. Amerykańskie media, klasycznie podzielone na lewicowe i prawicowe, prześcigają się w wyciąganiu nazwisk polityków z kolumn plotkarskich nowojorskiej socjety i kolorowych magazynów od lat obserwujących Epsteina i jego elitarnie otoczenie. Pierwszą ofiarą był szef resortu pracy Alexander Acosta, który podał się do dymisji po oskarżeniach, że 10 lat temu, jako prokurator stanowy w Miami, był zbyt łagodny dla Epsteina, co miało sugerować, że i on należał do przyjaciół miliarderów, którzy mieli korzystać z załatwianych przez niego usług seksualnych nastoletnich dziewcząt. Epstein, oskarżony o stręczycielstwo i wykorzystywanie seksualne nieletnich, odsiedział zaledwie 13 miesięcy z 18 zasądzonych, co i tak zdaje się szczególnie łagodną karą, jeśli

się weźmie pod uwagę, jak poważnie amerykański wymiar sprawiedliwości traktuje seksualne wykorzystywanie nieletnich. Prawda była taka, że lokalny prokurator w Miami początkowo postawił Epsteinowi zarzut drobnego wykroczenia. Policja w Palm Beach poprosiła Acostę o interwencję. Ten zażądał rozszerzenia aktu oskarżenia, ale niespodziewanie sprawą zainteresował się Departament Sprawiedliwości w Waszyngtonie, który dziwnym obrotem sprawy nalegał na rezygnację z dodatkowych oskarżeń, ponoć w obawie przed upolitycznieniem sprawy. Acosta przegrał, a jedyne, co udało mu się wtedy wywalczyć, to odszkodowanie dla poszkodowanych dziewcząt. Dzisiaj i to wydaje się za mało.

Historia wypływa po latach, bo według prokuratora pojawili się nowi świadkowie, w tym co najmniej jedna



osoba, która odmówiła uczestnictwa w seksprocederach i w 2002 r. została, jak twierdzi, zgwałcona przez Epsteina i jego przyjaciółkę Maxwell.

WPLYWOWI ZNAJOMI

Epstein i jego „rekruterzy” szukali dziewcząt w najbardziej niebezpiecznych dzielnicach. Często bezdomnych, bez żadnych perspektyw, które później łatwo można by było przekupić czy zastraszyć. Jednak to, co w tej sprawie i losie poszkodowanych dziewcząt jest najważniejsze, to wpływowi ludzie, którymi miał otaczać się Epstein. Sam bez skończonych studiów zaczynał karierę jako nauczyciel matematyki w liceum, i to zwykle w zastępstwie etatowych nauczycieli. Potem zatrudnił się jako zwykły makler w Bear Stearns, gdzie szybko awansował. Od zawsze wykazywał się niezwykłymi umiejętnościami w budowaniu relacji



Geoffrey Berman, prokurator Południowego Dystryktu Nowego Jorku, na konferencji prasowej poświęconej sprawie Jeffreya Epsteina (jego zdjęcie na tablicy) FOT. RICHARD DREW/AP/EAST NEWS

międzyludzkich. Trochę postać naszego Dyżmy. Epstein, zdobywając insiderskie informacje od kolejnych klientów, przekazywał je nowym, bogatszym inwestorom.

Na początku lat 80. założył własną firmę J. Epstein and Co. W 1992 r. był już właścicielem największej prywatnej rezydencji na Manhattanie. Do celów podatkowych prowadzi swoją działalność z wyspy St. Thomas na Wyspach Dziewiczych, gdzie nieopodal kupił własną wyspę Little St. James. Tam też, według świadków, odbywały się kilkudniowe spotkania i, jak je nazywał, konferencje z udziałem wpływowych postaci ze świata polityki i biznesu.

Little St. James jest także siedzibą fundacji Epsteina, znanej m.in. z przekazania 6,5 mln dol. Uniwersytetowi Harvarda na stworzenie programu biologii matematycznej i dynamiki ewolucyjnej.

Nazwisko Clintona pojawiło się na liście pasażerów prywatnego boeinga 447 Epsteina 26 razy, i to w czasach, kiedy był on jeszcze prezydentem

Łącznie Epstein podarował Harvardowi 30 mln dol., czym był prezydent uczelni Larry Summers tłumaczył swoje wyjazdy zagraniczne z Epsteinem. Fundacja z Little St. James podarowała też kilkaset tysięcy dolarów stanowiemu Baletowi Florydy, na stypendia dla utalentowanych ubogich dziewczyn, które też w ramach grantu miały korzystać z zaproszeń do wspólnych „masaży”.

Do swoich znajomych zaliczał również Donalda Trumpa z czasów, kiedy ten był jeszcze deweloperem, co lewicowe media natychmiast podchwyciły. Chociaż w przeciwieństwie do Billa Clintona Trump nigdy nie był ani na Little St. James, ani też jego nazwisko nigdy nie pojawiło się w żadnym z manifestów pokładowych prywatnego boeinga 447 Epsteina, wykorzystywanego do dziwnych eskapad do Afryki czy na Karaiby. Wiadomo o dwóch spotkaniach Epsteina z Trumpem. Jedno odbyło się w 1997 r., a drugie w 2000 r., obydwa w rezydencji Trumpa na Florydzie i w obydwu uczestniczyła żona Melania. Nazwisko Clintona pojawiło się na liście pasażerów 26 razy, i to w czasach, kiedy był on jeszcze prezydentem. Razem z nim podróżował Kevin Spacey, później również oskarżony o molestowanie. Na listach pasażerów pojawiają się też takie nazwiska, jak Alec Baldwin, David Blaine, Richard Plepler czy Chris Tucker. Niezależnie od tego, czy mieli cokolwiek wspólnego z erotycznymi spektaklami gospodarza, czy nie, to dziś mają sporo do wyjaśniania FBI i opinii publicznej.

SEKSUALNA PIRAMIDA

Dzięki swoim zamożnym znajomym Epstein dość szybko założył własną firmę brokerską, w chwili aresztowania obracał budżetem kilku miliardów dolarów, a jego osobista fortuna wyceniana była na 500 mln dol. Większość „życia towarzyskiego” Epsteina kręciła się wokół bardzo młodych dziewcząt. W 2007 r. felietonista „Vanity Fair” opisał jeden z takich lotów – „wszędzie podążały za nim dziewczęta nie starsze niż 14–15 lat, z których żadna nie była jego córką”. Jak dalej czytamy w Vanity Fair: „Epstein nigdy nie krył się ze swoim zamiłowaniem do dziewczyn”. Miał nawet powiedzieć reporterowi: „Co mogę powiedzieć, lubię młode”.

Pierwszy raz historia wypłynęła w 2005 r. Kobieta zgłosiła się na policję na Florydzie, twierdząc, że zamożny mężczyzna molestował jej pasierbicę. Sprawa została ostatecznie skierowana do FBI, a w 2008 r., po latach śledztwa i przepychanek prawnych, Epstein przyznał się do zarzutów o nakłanianie do prostytucji, ale jego prawnicy z pomocą Departamentu Sprawiedliwości zawarli ugodę. Trzydzieści miesięcy, które odsiedział, to też w praktyce były wizytacje w więzieniu o niskim rygorze. Większość nocy miliardier spędzał w domu.



Na tej prywatnej wyspie Little St. James Epstein miał gościć wielu wpływowych ludzi FOT. LAWTON/SPLASH NEWS/EAST NEWS

Według lokalnego dziennika „Miami Herald”, który przeprowadził wtedy własne śledztwo, Epstein rutynowo sponował nieletnie dziewczęta do swojej rezydencji w Palm Beach, pod pozorem masażu. Masaże szybko zmieniały się w relację czysto seksualną. Na koniec płacił im jeszcze więcej pieniędzy za spotkanie z klientami, przy czym miał obiecywać, że wtedy nie udostępni zdjęć z „masażu”. Dodatkowe pieniądze dziewczęta otrzymywały za przyprowadzenie swoich koleżanek. Według Josepha Recareya, który od początku zajmował się sprawą w Palm Beach, Epstein stworzył coś na kształt „piramidy seksualnej”. Policja zidentyfikowała ponad 80 kobiet, które twierdzą, że były molestowane lub seksualnie wykorzystywane przez Epsteina w młodości. Jedną z pokrzywdzonych pierwszy raz spotkała Epsteina w wieku 15 lat, niedawno w wywiadzie dla „Miami Herald” powiedziała: „Po wszystkim chciałam, żebym przyprowadziła koleżanki, ale nie mogłam być starsze ode mnie. Nigdy nie byłam młodsza i nigdy nie było dość”. Epstein nowe dziewczyny, które zwykle nie miały więcej niż 15 lat, prowadził do pokoju zwanego czystym i tam oferował je „specjalnym gościom”.

Pikanterii sprawie dodaje fakt, że osobą, która, jak się twierdzi, nagabywała większość z tych dziewcząt, była Ghislaine Maxwell, córka nieżyjącego już miliardera prasowego. Z zeznań zebranych przez FBI wynika, że nie tylko zapraszała dziewczęta, lecz także potem szkoliła je, jak mimo braku wcześniejszego doświadczenia obsługiwać gości. Kilka dziewcząt oskarża ją, że też uczestniczyła w wyuzdanych sesjach erotycznych,

a czasem zmuszała je do uprawiania seksu z nią samą.

Prokuratura kilkakrotnie usiłowała postawić nowy akt oskarżenia. Jednak nawet po tym, jak sędzia federalny stwierdził, że lokalny prokurator podpisał ugodę z prawnikami Epsteina, łamiąc prawo, Departament Sprawiedliwości odmawiał wszczęcia dochodzenia. Dopiero nowi świadkowie i zmiany personalne w republikańskim już Departamencie Sprawiedliwości pozwoliły na postawienie nowych zarzutów i aresztowanie Epsteina. Według „Miami Herald” krok w krok

Odmowa kaucji i brak ostatecznego aktu oskarżenia mogą sugerować, że teraz prokuratura zaczyna negocjacje z Epsteinem co do ewentualnego złagodzenia kary za podanie nazwisk innych uczestników orgii z nieletnimi

za policję krążyli prywatni detektywi Epsteina, oferujący świadkom pieniądze, czasem szantażujący zdjęciami albo problemami, które mogą spotkać ich rodzinę. Kiedy sprawa mimo wszystko trafiała przed oblicze sądu, natychmiast zjawiali się zaprzyjaźnieni adwokaci Epsteina, tacy jak gwiazda amerykańskiej palestry Alan Dershowitz, który skądinąd sam był częstym gościem w rezydencji mi-

liardera i latał z Epsteinem na tajemnicze eskapady na Little St. James i również miał teraz postawione zarzuty za udział w spisku na rzecz stręczenia nieletnich. Został bowiem wskazany przez jedną z ofiar jako jedna z trzech osób, obok Epsteina i Maxwell, które uczestniczyły razem w jednej z sesji nazywanych masażem. Drugim prawnikiem, który bronił Epsteina, był Kenneth Starr, prawnik Billa Clintona, który zasłynął obroną byłego prezydenta w wielu sprawach obyczajowych, w tym przed oskarżeniami Moniki Lewinsky.

CO TAM ROBIŁ CLINTON?

Wciąż nie brakuje spekulacji co do osób uczestniczących w erotycznych ekscesach Epsteina. Według Reince’a Priebusa, szefa kampanii Trumpa, wśród częstych bywalców był Bill Clinton. Jak mówił w rozmowie z Bloombergiem: „Kiedy spotykasz się z facetem, który ma reputację Jeffreya Epsteina, wielokrotnie, w prywatnych odrzutowcach, w weekendy, w trakcie wycieczek, w miejscach, w których nie ma żadnych mediów i za każdym razem zostajesz tam kilka dni, to możesz być pewien, że nic dobrego tam nasz były prezydent nie robił”.

Gościem na wyspie był również George Stephanopoulos, swego czasu główny strateg wyborczy Clintona, a obecnie gwiazda telewizji ABC. W nowojorskiej rezydencji Epsteina często pojawiał się Woody Allen, który chętnie też pokazywał się w towarzystwie miliardera w restauracjach. Jedną z postaci, która odwiedzała Epsteina w rozlicznych rezydencjach oraz towarzyszyła mu w męskich wypadach do Tajlandii, był książę Yorku Andrzej.

66-letniemu dziś Epsteinowi grozi 45 lat więzienia. To, co w tej chwili najbardziej niepokoi demokratyczny establishment, to odmowa kaucji i brak ostatecznego aktu oskarżenia, co może sugerować, że teraz prokuratura zaczyna negocjacje z Epsteinem co do ewentualnego złagodzenia kary za podanie nazwisk innych uczestników orgii z nieletnimi. Może to się okazać elementem gry w kampanii wyborczej 2020 r. Chociaż, jak pisze „Wall Street Journal”, Epstein na kilka miesięcy przed aresztowaniem kazał namalować swój obraz, jak stoi na dziedzińcu aresztu, żeby oswajać się z myślą, że tak przyjdzie mu spędzić resztę życia.

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER GŁÓWNY



PARTNERZY



Arbitrażowy sąd Socjaldemokratycznej Partii Niemiec dla oddziału partii Berlin-Wilmersdorf orzekł 11 lipca, że Thilo Sarrazin, członek tej partii, wypełnia kryteria oskarżeń o poglądy rasistowskie i tym samym powinien zostać usunięty z SPD. Lars Klingbeil, sekretarz generalny socjaldemokratów, pozytywnie przyjął decyzję sądu partyjnego: „Z uznaniem przyjmuję ten werdykt. Widzimy, że nasze podejrzenia zostały potwierdzone. Swymi oświadczeniami Thilo Sarrazin złamał zasady partii i zrobił wiele szkód. Dla rasistowskiego myślenia nie ma miejsca w SPD”.

To już trzecia próba usunięcia z partii autora książek zadających pytania o koszty i sens masowej imigracji w kraju naszych zachodnich sąsiadów czy niewygodnego dla unijnych elit, wydanego również po polsku tytułu „Europa nie potrzebuje euro”. Próby usunięcia Thilo Sarrazina z partii ciągną się już 19 lat i jak dotąd już dwukrotnie nie kończyły się sukcesem. Tym razem jednak wrogowie Sarrazina w SPD triumfują. Są pewni, że partia pozbędzie się w końcu skutecznie pisarza, na którego nazwisko lewicowcy i Zieloni reagują jak byk na czerwoną płachtę.

SKANDAL NA WŁASNE ŻYCZENIE

Dziewiętnaście lat temu 55-letni wówczas doktor Thilo Sarrazin znajdował się u szczytu polityczno-urzędniczej kariery. Był członkiem zarządu Deutsche Bundesbank – banku centralnego RFN. Droga do tego prestiżowego fotela wiodła przez doktorat na uniwersytecie w Bonn, udaną karierę partyjną w SPD, funkcję asystenta Hansa Eberharda Apela – jednego z wpływowych polityków socjaldemokratów, stypendium w Międzynarodowym Funduszu Walutowym w Waszyngtonie i wreszcie funkcję senatora stołecznego miasta do spraw finansów w berlińskim rządzie landowym (2002–2009). Wejście do zarządu Banku Centralnego w 2009 r. zapowiadało parę lat obowiązków, a po nich solidną emeryturę lub atrakcyjne finansowo doradztwo dla banków komercyjnych.

A jednak, jak się okazało, Sarrazin równolegle do obowiązków partyjnych i zarządzania finansami landu Berlin miał cichą pasję i jednocześnie powód do niepokoju. Jako senator zawiadujący finansami stolicy Niemiec zaczął zwracać uwagę na rosnące koszty integracji imigrantów, szczególnie tych z krajów muzułmańskich. Zainteresował się też tym, jak wzrost liczby dzieci imigrantów w berlińskich szkołach wpływa na

Sam przeciw wszystkim



Piotr Semka

Thilo Sarrazin ma odwagę mówić głośno to, co w kwestii migracji myśli wielu Niemców. Od lat próbowano go za to usunąć z Socjaldemokratycznej Partii Niemiec. Niedawno jego przeciwnikom się to udało

FOT. ANDREAS PENN/LAIFORUM



ogólny poziom nauczania. Jego wypowiedzi na ten temat na paru publicznych debatach wywołały ostry sprzeciw obrońców masowej imigracji. Już w 2009 r. za jedną z takich wypowiedzi starano się usunąć go z SPD, ale bezskutecznie. Krytyka nie tylko nie skłoniła Sarrazina do trzymania języka za zębami, lecz wręcz na odwrót.

Po cichu zaczął pracować nad książką opowiadającą, jakie konsekwencje dla RFN może mieć stały wzrost liczby przybyszów. Jak na finansistę przystało, wszystkie swoje tezy poparł dokładnymi obliczeniami.

Nie stawiał też wniosków ogólnikowych, tylko empiryczne. Zwrócił uwagę, że nieporównanie więcej kosztuje integracja

przybyszów z krajów islamu niż imigrantów z Azji czy z Europy Środkowej, czyli takich krajów jak Polska, Czechy, Ukraina. Swoje wnioski opublikował w książce „Deutschland schafft sich ab” („Niemcy się zwijają”), która trafiła na rynek latem 2010 r. Gdy książkę przeczytali dziennikarze i zwolennicy tezy, że wszyscy imigranci to niemiecki kapitał na przyszłość, wybuchła awantura. Stateczny socjaldemokrata o aparycji urzędnika magistratu opisał i poparł liczbami coś, na co wielu Niemców zwracało uwagę już od wielu lat. I na Sarrazina szybko spadły gromy. Politycy SPD uznali za stosowne odcinać się do swego partyjnego kolegi. Głos zabrał

również rzecznik Angeli Merkel, który mówił o „obraźliwych wypowiedziach, obok których kanclerz Merkel nie może przejść obojętnie”. Autora książki bronił jedynie polityk CSU, członek Bundestagu Peter Gauweiler: „Nawet jeżeli nie trzeba się z nim zgadzać we wszystkich punktach – o tym, że imigracja przerasta możliwości Niemiec, Helmut Schmidt, Oskar Lafontaine, a także Rudolf Augstein wypowiadali się już znacznie ostrzej”.

3 września 2010 r. doszło do przesilenia. Zarząd Bundesbanku zwrócił się do prezydenta Christiana Wulffa z wnioskiem o odwołanie członka zarządu Thilo Sarrazina. Powód: rasistowskie wypowiedzi. Jak ujawnił prezydent Banku Federalnego Axel Weber, wniosek o wykluczenie Thilo Sarrazina z zarządu banku przeszedł jednogłośnie, pod nieobecność samego zainteresowanego. Zarząd banku odebrał mu jednocześnie jego kompetencje. Taki błyskawiczny tryb odwołania bez wysłuchania wykluczanego wywołał nieliczne głosy krytyki. Większość prasy jednak pisała o ekspulsji niekiedy wręcz w triumfalnym tonie. Doszło też do niemającej precedensu demonstracji. Poparcie dla usunięcia Sarrazina wyraził Claude Trichet, ówczesny prezydent Europejskiego Banku Centralnego (EBC). „Jako prezydent EBC darzę całkowitym zaufaniem Bank Federalny i decyzje podejmowane przez jego zarząd” – powiedział we Frankfurcie nad Menem, dodając, że jako obywatel jest zaszokowany wypowiedziami Sarrazina.

WOLNY HARCOWNIK

Książka „Niemcy się zwijają” szybko stała się bestsellerem. Na rynek księgarski weszła we wrześniu 2010 r. i pierwszy nakład do 250 tys. egzemplarzy zniknął z księgarni w krótkim czasie. Do końca 2010 r. sprzedano blisko 1,5 mln egzemplarzy. Spotkania z Sarrazinem przyciągały spore rzesze czytelników. Jednocześnie zaczęły się demonstracje lewicy przeciw autorowi. Na transparentach wymalowywano podobiznę byłego bankowca i hasło: „Halt's Maul”, czyli „Stul pysk”. Łatwym powodem kpin było nazwisko Sarrazin – odpowiednik polskiego słowa „Saracen” [w średniowieczu nazywano tak Arabów, a później wszystkich wyznawców islamu – przyp. red.]. Wypominano mu, że krytykuje imigrantów, a tymczasem jego rodzina sama przybyła do Niemiec w XVIII w. jako uchodźcy. Byli to francuscy hugenoci, którzy po odwołaniu aktu tolerancyjnego w swojej ojczyźnie, musieli uciekać za granicę.

Sarrazin odpowiadał na takie zarzuty, że sugerowanie mu postawy niechęci wobec imigrantów jest nieuczciwe. Nie chce bowiem blokady imigracji, a jedynie unikania przyjmowania ludzi bez kwalifikacji i woli uszanowania zasad swojej nowej ojczyzny. W obronie Sarrazina wystąpił nawet jeden z publicystów „Die Welt”, wskazując, że pisarz i jego ród są przykładem Immigrationserfolg – udanej asymilacji. Nie zmienia to jednak tego, jak wyjaśnia Sarrazin, że w przypadku pewnych imigrantów – głównie muzułmańskich – bagaż kulturowy bardzo utrudnia asymilację. Wskazywał, że dzieci wietnamskich przybyszy, przodując w nauce, zachęcają do większej pracy swych niemieckich kolegów. Z kolei dzieci arabskie wymuszają niejednokrotnie na nauczycielu zwolnienie tempa nauki i tym samym równają w dół ich niemieckich kolegów z klasy.

NIEUSUWALNY

Na tle świętego oburzenia, które wyrażali na temat poglądów Sarrazina liderzy SPD, zdumiewać musi nieskuteczność dwóch kolejnych prób usunięcia skandalisty z partii. Tutaj niepokornemu autorowi pomogła zasada, że dla usunięcia kogoś z SPD potrzeba kolejnych werdyktów paru kolejnych instancji partii. Szef socjaldemokratów nie może sam kazać usunąć kogoś z partii. W marcu 2011 r. ogłoszono, że Sarrazin może pozostać w ugrupowaniu. Wszyscy czterej socjaldemokraci, którzy złożyli wnioski o jego wykluczenie, wycofali je po oświadczeniu złożonym przez Sarrazina – poinformowała Sybille Uken, szefowa komisji rozjemczej okręgowej organizacji partyjnej w Berlinie-Charlottenburgu-Wilmersdorfie. Sam Sarrazin nie odciął się od swych tez. Zapewnił jednak, że przez ich głoszenie w najmniejszym stopniu nie chciał dyskryminować migrantów czy łamać socjaldemokratycznych zasad. „Twierdzenie, jakoby grupy te poprzez indywidualną pracę czy dodatkowe oferty edukacyjne, ze względu na uwarunkowania genetyczne, nie mogły się integrować, nie są zgodne z moimi poglądami”. Jednak przyznał, że jego partia musi się zająć „poważnymi deficytami w zakresie migracji, integracji i problemami demograficznymi w Niemczech”.

Gdy w 2013 r. powstała partia Alternative Für Deutschland, Sarrazin nie zaczął zbliżać się do tego nowego ugrupowania. Były bankier ostro protestował, gdy ktoś chciał go wiązać z AfD. Solennie ogłaszał,

że uważa się za lojalnego członka SPD i nikt nie zachęci go do opuszczenia partii.

Swoich poglądów nie zmienił. W 2018 r. wszedł na rynek jego kolejny bestseller pt. „Wrogie przejęcie. Jak islam utrudnia postęp i zagraża społeczeństwu”. Na podstawie doświadczeń masowej migracji z 2015 r. wskazywał na groźby tworzenia się Parallelgesellschaft – społeczności równoległych. Jesienią 2018 r. nowa książka natychmiast była numerem jeden na liście bestsellerów tygodnika „Der Spiegel”. Dziennikarz Arno Luik zapytał wówczas autora, czy według niego rozbitkowie na Morzu Śródziemnym powinni utonąć. Sarrazin odpowiedział: „Im niższy współczynnik przyciągania, tym mniej ludzi tonie w basenie Morza Śródziemnego. Czynniki przyciągania generowany przez Angelę Merkel zwiększył liczbę tonących ludzi. Ludzie nie udają się już na Morze Śródziemne, kiedy wiedzą, że z drugiej strony nie ma dla nich niczego. Kiedy ta wiedza do nich dociera, nikt już nie tonie”.

Po pojawieniu się na rynku „Wrogiego przejęcia” znów w SPD złożono wnioski o usunięcie Sarrazina z partii. 17 grudnia 2018 r. komitet wykonawczy SPD zdecydował o wszczęciu procedury przeciwko Sarrazinowi. Sekretarz generalny Lars Klingbeil powiedział, że podstawą decyzji był raport komisji śledczej na temat poprzecznych oświadczeń i publikacji Sarrazina. Komisja stwierdziła, że „Sarrazin propaguje tezy niezgodne z zasadami SPD i poważnie szkodzi partii”. Tym razem – jak wykazał werdykt sądu partyjnego – skutecznie.

Sarrazin bynajmniej nie spuścił z tonu. Zapowiada dalsze odwołania i wykorzystanie całej procedury partyjnej, a gdy to nie pomoże, chce zaskarżyć usunięcie z partii do sądu administracyjnego.

Wciąż jest niełatwym przeciwnikiem dla władz SPD. W rozmowie z pismem „Junge Freiheit” wskazywał, że w sąsiedniej Danii partia socjaldemokratyczna wygrała wybory 5 czerwca br. właśnie wskutek programu znacznego ograniczenia imigracji.

W rozmowie z niemieckim pismem „Cicero” argumentował: „Gdyby moja partia traktowała problem imigracji rzeczowo, AfD nie zyskiwałaby pola i nie zdobywałaby aż tak wielu byłych wyborców SPD”.

Sarrazin wyraźnie dobrze czuje się w roli tego jedynego, który ma chęć i odwagę mówienia o tym, co nurtuje wielu Niemców. A powolny schyłek SPD w sondażach nie jest dla niego przypadkiem.



NIENAWISTNA DEKLARACJA NIEPODLEGŁOŚCI

Algorytm Facebooka uznał amerykańską Deklarację niepodległości za „mowę nienawiści”. Poszło o akapit uzasadniający prawa kolonii brytyjskich do uniezależnienia się: „Wznęcał on wewnętrzną rebelię wśród nas i starał się nasłać na mieszkańców naszych kresów bezlitosnych dzikich Indian, których znaną taktyką jest mordowanie ludzi bez względu na wiek, płeć i stan”. Po awanturze w mediach przedstawiciele firmy przywrócili post i przeprosili.

FOT. WIKIPEDIA

NOTATNIK MALKONTENTA

Moralne zwycięstwo



ŁUKASZ WARZECHA

Można zrozumieć, że Beata Szydło startowała po raz pierwszy na szefową Komisji Zatrudnienia Parlamentu Europejskiego. Takie były ustalenia. Choć można by też oczekiwać, że złe nastroje wokół jej kandydatury nie powinny być dla delegacji PiS zaskoczeniem i że rezultat głosowania zostanie wybadany przed zgłoszeniem kandydatury. Tak to się robi w dorosłej polityce. Jednak start po raz drugi wyglądał na desperacką próbę powtórzenia pamiętnego sukcesu „27 do 1”

BO BYŁY ZA GŁOŚNE

W czasach, gdy powstają ruchy deklarujące ochronę klimatu dzięki zrezygnowaniu z potomstwa, takie informacje jak ta z Holandii nie powinny dziwić. A jednak. Przy jednej ze szkół w Nijmegen zamknięto plac zabaw. Mieszkający w jego pobliżu ludzie udowodnili, że hałas powodowany przez dzieci przekracza dopuszczalny w tym kraju limit 70 decybeli. Za uwytykanie placu szkole grożą teraz kary finansowe. 4 tys. mieszkańców podpisało petycję wzywającą do zwrócenia miejsca dzieciom.

LEKARZ ZWOLNIONY PRZEZ ZAIMKI

Lekarz z Wielkiej Brytanii pracujący w rządowym departamencie został zwolniony, bo zadeklarował, że jest chrześcijaninem i nie wierzy w płynność płci u ludzi. A dokładnie – jak okazało się na procesie, bo lekarz pozwał departament – jego szef pytał go, czy nazwałby „panią” dwumętnego mężczyznę z brodą, gdyby ten sobie tego życzył. Doktor David Mackereth zaprzeczył. W sądzie podkreślał, że jego zdaniem transgeneryzm to „przekonanie urojeniowe” i ideologia, w którą po prostu nie wierzy. Pan Mackereth teraz zamierza dowieść w sądzie, że to on jest dyskry-

minowany ze względu na przekonania religijne.

JODŁOWANIE Z MYŚLIWCAMI

W szwajcarskiej miejscowości Mümliswil po raz 31. odbył się Północnozachodni Festiwal Jodłowania. Niestety, części występów nie usłyszymy, bo pomylili się żołnierze. Piloci myśliwców F5E Tiger II z pokazowego zespołu lotniczego, w innej miejscowości mieli uświetnić rocznicę śmierci szwajcarskiego pioniera lotnictwa. Pomylili trasę i przelecieli nad miejscem, w którym zgromadzili się ludzie chcący posłuchać jodłowania. Szwajcarskie dowództwo sił powietrznych wydało oficjalne przeprosiny.

LAZUROWY ŚCIEK

Zbiornik Novosibirsk CHP-5 w Rosji to składowisko popiołów z pobliskiej elektrowni węglowej. Ponieważ w wodzie rozpuszczają się m.in. sole wapnia i tlenki metali, ta ma niezwykle błękitny odcień. Siberian Generating Company, która zarządza tym miejscem, musiała wydać oficjalne ostrzeżenie. Żądni pięknych zdjęć ludzie gotowi byli wchodzić tam i robić sobie zdjęcia, którymi zamierzali imponować innym w mediach społecznościowych. ©©

Łukasz Zboralski



**polski
produkt**

**IV EDYCJA
KONKURSU**

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL



PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER GŁÓWNY



PARTNER



PARTNER GALI



Solidarność czysto teoretyczna



Protest rolników w Brukseli (11 lipca 2019 r.) przeciw umowie handlowej pomiędzy UE a krajami grupy Mercosur. FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES



Jakub Wozinski

Porozumienie handlowe między Unią Europejską a krajami grupy Mercosur pokazuje, że unijna solidarność to tylko pięknie brzmiące hasło

Ustępujący przewodniczący Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker tuż przed unijnym szczytem, na którym ustalono nazwisko jego następczyni, zdołał sfinalizować jedną z najważniejszych umów handlowych ostatnich lat. Trwające od 2000 r. negocjacje z krajami tworzącymi Wspólny Rynek Południa (czyli Mercosur, do którego należą Brazylia, Argentyna, Paragwaj i Urugwaj) zakończyły się podpisaniem porozumienia okrzykniętego przez sygnatariuszy mianem „największej umowy o wolnym handlu w historii”. I rzeczywiście pod względem samych rozmiarów nowy układ robi wielkie wrażenie. Powstanie bowiem strefa

handlu obejmująca łącznie 773 mln osób i generująca aż 19 bln dol. PKB rocznie. Oznacza to utworzenie bloku handlowego odpowiadającego za jedną czwartą całej światowej gospodarki.

WBREW TRUMPOWI

Podpisanie porozumienia ma wielkie znaczenie dla Unii Europejskiej, która od czasów wyboru Donalda Trumpa na urząd prezydenta USA próbuje zrekompenzować sobie pogorszenie relacji transatlantyckich zbliżeniem z innymi krajami. W tym właśnie celu podpisano wcześniej nowe umowy handlowe z Kanadą (2016) i Japonią (2018). Chociaż od 2013 r. negocjowano także specjalne porozumienie TTIP między Stanami Zjednoczonymi i Unią Europejską, obecnie rozmowy praktycznie zawieszono. Zamiast tego Donald Trump podpisał kolejne umowy, m.in. z Kanadą i Meksykiem.

Negocjacje na temat umowy handlowej z grupą Mercosur przyspieszyły znacznie w momencie, gdy prezydentem został Trump. Jednakże dążenie do osiągnięcia porozumienia z krajami Ameryki Południowej ma także inny podtekst. Wartość rocznego eksportu z krajów

Unii do państw Mercosur wynosi 45 mld euro, z czego łącznie ponad 42 proc. przypada na sprzęt maszynowy i środki transportu. Kraje zachodnie, a przede wszystkim Niemcy, są wyraźnie zainteresowane ekspansją swojego przemysłu na południowoamerykańskich rynkach, co zresztą potwierdza kształt zawartej umowy. Wedle uzgodnionych zapisów obowiązujące w krajach Mercosur cła na europejskie samochody i sprzęt maszynowy, wynoszące obecnie odpowiednio nawet 35 i 20 proc., miałyby zostać znacząco obniżone. Równie istotne miałyby być obniżki stawek dla przemysłu chemicznego. W ciągu ostatnich lat inwestycje krajów zachodniej Europy w Brazylii, Argentynie i pozostałych krajach grupy znacząco wzrosły i w 2017 r. wyniosły aż 381 mld euro. Zawarta umowa bez wątpienia zauważalnie wzmocni tę tendencję.

Kraje Wspólnego Rynku Południa nie otwierają się jednak na europejskich graczy w sposób bezinteresowny. Kształt zawartego porozumienia każe sądzić, że w zamian wynegocjowały dla siebie niezwykle korzystne warunki do rozwoju własnej branży rolno-spożywczej. Dotyczy to w szczególności Brazylii

i Argentyny, będących potentatami w produkcji drobiu i wołowiny. Dyrektor generalny Krajowej Rady Drobiarstwa Łukasz Dominiak nie ma złudzeń, że jedną z najbardziej poszkodowanych przez umowę UE-Mercosur jest właśnie polska branża drobiarska: „Ta umowa stanowi prawdziwy tygiel interesów, obejmując niemal wszystkie sfery gospodarki. Mamy poczucie, że w ramach wieloobszarowych negocjacji branża rolno-spożywcza, a w szczególności drobiarska, została poświęcona przez decydentów unijnych na rzecz innych sektorów. Z przykrością należy stwierdzić, że solidarność europejska w tym wypadku wyraźnie nie działa. Branża motoryzacyjna czy chemiczna zyskują na tej umowie naszym kosztem”.

PODWÓJNE STANDARDY

Obawy dotyczące skutków otwarcia unijnego rynku na towary wytwarzane w Ameryce Południowej mają zresztą nie tylko polscy producenci, lecz także przedstawiciele całej branży rolno-spożywczej w Europie. Bardzo głośno protestują m.in. rolnicy z Irlandii, którzy czują się zagrożeni zalewem mięsa wołowego z Argentyny. Pozornie mogłoby się wydawać, że głosy protestu pochodzą ze środowisk, które zwyczajnie boją się konkurencji. W rzeczywistości zaś źródłem gwałtownych reakcji jest stosowanie przez Unię Europejską podwójnych standardów w stosunku do własnych producentów oraz tych, którzy prowadzą działalność na innym kontynencie. Podczas gdy unijni producenci drobiu i wołowiny muszą przestrzegać bardzo wygórowanych standardów, z dnia na dzień na rynek ma zostać dopuszczone mięso wytwarzane w budzących wiele wątpliwości warunkach. Łukasz Dominiak uważa, że tego typu sytuacja jest zwyczajnie niezrozumiała: „Należy pamiętać o bardzo ważnym aspekcie ochrony konsumentów, o którym praktycznie w ogóle się nie mówi w kontekście negocjacji z krajami Mercosur. Drób produkowany w Brazylii jest znacznie gorszej jakości i nie spełnia wymogów związanych z bezpieczeństwem żywności, charakterystycznych dla produktów pochodzących z Unii Europejskiej. De facto tą umową sankcjonujemy napływ dodatkowej ilości mięsa poniżej unijnego poziomu. Nawet oficjalny audyt Komisji Europejskiej przeprowadzony w połowie ubiegłego roku w Brazylii wykazał

istotne niezgodności w całym procesie nadzoru nad produkcją żywności pochodzenia zwierzęcego. Warto przy tym dodać, iż nie była to kwestia nieprawidłowości wykrytych w jednym czy drugim zakładzie, bo ostatecznie takim podmiotom odebrano uprawnienia eksportowe na rynek UE, lecz odmiennych przepisów zwianych z systemem kontroli w ramach całego łańcucha produkcji »od pola do stołu«”.

Osiągnięcie porozumienia w sprawie umowy handlowej nie oznacza jeszcze przy tym, że jej postanowienia wejdą w życie w sposób automatyczny. Wynegocjowane przez Komisję Europejską warunki muszą zostać teraz przyjęte m.in. przez Parlament Europejski i kraje członkowskie. Przedstawiciele polskiego rządu, w tym minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski, wyrażają się dość krytycznie pod adresem osiągniętego porozumienia, lecz w gronie najbardziej wpływowych państw Unii istnieje bardzo silna presja, aby jego ustalenia weszły jak najszybciej w życie w niezmiennym kształcie.

FIKCYJA SOLIDARNOŚCI

Skrainie niekorzystny dla Polski rezultat negocjacji z krajami Mercosur po raz kolejny obnażył fikcję, którą stanowi „europejska solidarność”. Niemcy, Francja i pozostałe silnie uprzemysłowione kraje zwyczajnie poświęciły strategicznie ważną dla Polski branżę rolno-spożywczą w imię zaspokojenia własnych interesów. Dopuszczenie do unijnego rynku południowoamerykańskich producentów uderzy w produkcję rolniczą w krajach całej Unii. Jednakże podczas gdy w Niemczech zostanie to zrekomensowane rozwojem branży motoryzacyjnej, przemysłu maszynowego czy też farmaceutycznego, polska gospodarka nie dostanie praktycznie niczego w zamian. Ustalane obniżki cel nie dotyczą w żaden szczególny sposób branż, w których Polska jest silnym eksporterem. „Ponieważ Polska stoi drobiarstwem, będącym jednym z filarów naszego sektora rolno-spożywczego, trudno nam się pogodzić z perspektywą umierania za niemieckie samochody. Polska jest zdecydowanym liderem w zakresie produkcji mięsa drobiowego w całej Unii Europejskiej, znacznie dystansuje kolejne kraje w rankingu. Wyspecjalizowaliśmy się w tej branży. Potrafimy produkować drób tanio i nowocześnie. Musimy zatem

walczyć o naszą pozycję, bo w tej sytuacji nikt nas nie obroni” – twierdzi Łukasz Dominiak.

W całej sytuacji dziwi bez wątpienia brak reakcji ze strony polskich polityków zajmujących wysokie stanowiska w unijnych strukturach. Komisarz ds. rynku wewnętrznego i usług Elżbieta Bieńkowska nie tylko nie poddała osiągniętego porozumienia krytyce, lecz także nawet chwaliła je jako dowód na to, że Unia „potrafi dbać o interesy wszystkich”. Równie entuzjastyczny był przewodniczący Rady Europejskiej Donald Tusk, który był nawet obecny na szczycie państw grupy G-20, gdzie ogłoszono osiągnięcie porozumienia, a następnie przedstawiał je jako przykład „wolnego i sprawiedliwego handlu”.

Nastroje przywódcom Unii Europejskiej po podpisaniu umowy popsuł jednak Donald Trump, który w reakcji na umowę z grupą Mercosur postanowił zwiększyć cła na towary importowane z Europy. Dokonał tego w sposób niezwykle wymowny: suma korzyści, które amerykańskie państwo osiągnie z podwyższonych opłat z importu europejskich kiełbas, szynek, oliwek i serów, ma wynieść łącznie ok. 3,5 mld euro, czyli niewiele mniej, niż wynoszą spodziewane przez Unię oszczędności wygenerowane przez obniżkę cel w handlu z krajami Mercosur. Chociaż cały świat żyje w ostatnich miesiącach wielką wojną handlową między Chinami a Stanami Zjednoczonymi, w rzeczywistości coraz bardziej zauważalny staje się także konflikt handlowy na linii Unia Europejska-USA.

Przy okazji globalnych konfliktów o dominację Polska po raz kolejny jest zmuszona do tego, aby poznać swoje miejsce w szeregu. W ramach umowy handlowej Unii Europejskiej z krajami Mercosur polskie interesy zostały ewidentnie potraktowane jako konieczny do poniesienia koszt w imię dobrobytu przemysłu zachodnich sąsiadów. Traktując swoich partnerów w coraz bardziej instrumentalny sposób, Niemcy są na najlepszej drodze do tego, aby doprowadzić całą Wspólnotę do poważnej dysfunkcji. Trudno oczekiwać od krajów członkowskich współdziałania np. w kwestii przyjmowania uchodźców, gdy całkowicie lekceważy się ich zdanie w innych dziedzinach. Solidarność jest dziś w Unii czysto teoretyczna.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Najdroższy prąd w Europie?

Nie wiem, jakie są plany rządu w sprawie cen prądu w Polsce, ale jakoś nie widać, by czynił on dostatecznie wiele, żeby za kilka lat nie powaliły one nie tylko gospodarstw domowych, lecz także polskiej gospodarki. Podobnie zresztą jak poprzednie rządy.

A już dziś płacimy za prąd jak za zboże. Jak zauważa „Gość Niedzielny”, Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii wyliczyło, że w latach 2015–2018 energia elektryczna kosztowała statystycznego Polaka o 18 proc. więcej niż statystycznego Słowaka, o 20 proc. więcej niż Niemca i o 23 proc. więcej niż Czecha. A przecież od tego czasu sporo się zmieniło. Sporo – dla nas, Polaków – na gorsze, choć rząd za wszelką cenę stara się ukryć przed jesiennymi wyborami tę smutną dla domowych budżetów prawdę.

Za sprawą ubiegłorocznych i tegorocznych skokowych wzrostów cen na rynku energii już od początku roku powinniśmy płacić za nią co najmniej o kilkanaście procent więcej niż w roku 2018. I, rzecz jasna, uiszczamy te powiększone rachunki, tyle że wskutek działań maskujących rządu – na razie nie jako płatnicy opłat za energię, lecz jako podatnicy, z podatków, z których rząd dotuje firmy energetyczne, które udają, że nie podnoszą cen za prąd.

Sytuacja stała się już jednak na tyle poważna, że władze zaczęły dotować również – oczywiście i w tym przypadku korzystając z pieniędzy po-

datników, bo innymi przecież nie dysponują – najbardziej energochłonne koncerny przemysłowe. W tym roku na wsparcie ok. 300 z nich wydamy prawie 1 mld zł. Bez dotacji ich produkty do reszty straciłyby konkurencyjność w porównaniu z produktami firm korzystających w innych krajach z tańszej energii, czyli musiałyby one zamknąć u nas swe podwoje i zwolnić ponad milion pracowników. Od lat też nieustannie nie tyle tracimy, co nie zyskujemy wielu nowych miejsc pracy (a to przecież na jedno wychodzi), które mogłyby u nas powstać, gdyby ceny energii były niższe, a także gdyby nasz mikst energetyczny wyglądał inaczej i nie składał się w aż niemal 80 proc. z prądu z węgla. Czy się nam to bowiem podoba, czy nie, coraz więcej koncernów deklaruje, że zamierza otwierać i utrzymywać swoje firmy produkcyjne tylko w państwach, w których znaczną część energii wytwarza się ze źródeł, które mniej szkodzą środowisku.

Awracając do naszych portfeli – w 2008 r. w Polsce karne opłaty za zanieczyszczanie środowiska stanowiły 14 proc. cen prądu, a w 2015 – już 33 proc. A ile to będzie w 2020 r. czy w 2030 r.? I ile, w związku z tym, kosztować nas będzie wtedy prąd i o ile drożej będziemy za niego płacić od dużo bogatszych od nas Niemców?

Oby rząd zdążył wziąć się za bary z tym problemem, zanim Polacy będą zmuszeni kupować najdroższy prąd w Europie. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Cicha zmiana

Za sprawą Zjednoczonej Prawicy doszło do zmiany, o której na razie się szeroko nie mówi. Za czasów rządu PO-PSL standardem było obiecywanie przed wyborami i niedotrzymywanie obietnic.

Na przykład w exposé w 2007 r. premier Tusk obiecywał obniżki podatków, zaprzestanie zadłużania Polski i wprowadzenie euro. Skończyło się podwyżką podatku VAT do 23 proc., zadłużeniem kraju przez ministra Sami Wiecie Którego bardziej niż za czasów Gierka, a wejście do strefy euro już wtedy odłożono ad Kalendas Graecas.

W odróżnieniu od rządów PO-PSL Zjednoczona Prawica obiecała wiele działań podczas wyborów 2015 r. i te działania realizuje. Na przykład obiecano program „500+”, repolonizację banków czy likwidację gimnazjów i te propozycje są realizowane.

Oczywiście w programie rządu PO-PSL można znaleźć zapowiedzi, które zostały zrealizowane, a w programie Zjednoczonej Prawicy można znaleźć zapowiedzi, które nie zostały zrealizowane. Jednak co do zasady nastąpiła istotna zmiana. O ile kiedyś obietnice wyborcze traktowano jako obietnice, a potem „się zobaczy”, o tyle obecnie są one traktowane poważnie, jako zapowiedź rzeczywistych działań.

Warto się zastanowić, co ta zmiana oznacza. Po pierwsze, rośnie znaczenie dokumentów programowych partii politycznych oraz konwencji programowych, takich jak Konwencja Zjednoczonej

Prawicy z 5–7 lipca 2019 r., ponieważ zapowiedzi i konkluzje tam formułowane zostaną przekute w konkretne działania w kolejnej kadencji rządu Zjednoczonej Prawicy (na co wskazują wszystkie sondaże). Po drugie, wyborcy mogą pamiętać o niedotrzymywaniu obietnic wyborczych przez PO-PSL, co może znacznie obniżyć efektywność komunikowania intencji przez te partie. Po trzecie, i chyba najważniejsze z punktu widzenia ekonomisty, zmiany regulacyjne są jedną z najważniejszych składowych (obok zmian koniunktury) ryzyka prowadzenia biznesu. Jeżeli plany partii politycznych stały się bardziej przewidywalne, to może oznaczać to istotne obniżenie ryzyka otoczenia biznesu i wpływać pozytywnie na przedsiębiorczość. Jeszcze nie widziałem badań naukowych na ten temat, ale zachęcam doktorantów, żeby zmierzili się z tym tematem.

Zresztą zmiany, o których piszę powyżej, będą miały znaczenie jeszcze przez góra dekadę. Stopniowo, niezauważalnie demokracja zostanie zastąpiona przez algokrację, a partie przez algorytmy. Zainteresowanych odsyłam do książki „The Age of Surveillance Capitalism”, opublikowanej w czerwcu tego roku, w której pokazano mechanizmy tej zmiany.

Jednak na razie warto zapoznać się z programem Zjednoczonej Prawicy przed wyborami. Czego nie można powiedzieć o zapowiedziach PO. ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

TEST „DO RZECZY”: OCZYSZCZACZ POWIETRZA PANASONIC F-VXR90C

Poziom zanieczyszczenia jest wysoki – zaskoczeniem odczytałem komunikat jednej z aplikacji monitorujących stan powietrza wokół domu nie w grudniu, lecz na początku lipca.

I chociaż jesteśmy przyzwyczajeni, że jesienią i zimą wszelkie poziomy truczyn wokół nas są wielokrotnie przekroczone, to uruchamianie oczyszczacza powietrza latem można uznać za niepotrzebne. Okazuje się jednak, że urządzenie tego typu może być przydatne przez cały rok. Co prawda powietrze nie wymaga takiego oczyszczania ze smogu jak zimą, ale latem oczyszczacz może się okazać dużą pomocą w alergicznych i astmacyjnych dolegliwościach. Urządzenia tego typu redukują bowiem ilość kurzu, pyłków czy latającej w powietrzu kocięj/psiej sierści. W przypadku testowanego modelu Panasonic gadżet sprawdzi się też podczas upałów. Lepiej nawilżone powietrze nie tylko ułatwia oddychanie, lecz także zwiększa komfort funkcjonowania w zamkniętych pomieszczeniach, dając przyjemne uczucie chłodu. Zaletami testowanego modelu są duża wydajność nawilżania (szacowana na 830 ml/godz.) oraz pojemny zbiornik, który mieści aż 4,2 l wody.

Urządzenie o sporych rozmiarach (63,6 x 39,8 x 29,7 cm) ma minimalistyczny design i łatwo wkomponować je w nowoczesne wnętrza.



Testowany oczyszczacz jest wyposażony w filtr wstępny (to on wychwytyuje kurz, sierść etc.), HEPA H14 (wysokiej jakości filtr pochłania najdrobniejsze zanieczyszczenia, w tym pyły zawieszone, np. PM2,5, alergeny i roztocza kurzu domowego), jonizator (ułatwia likwidację patogenów – według Panasonic technologii nanoe umożliwia usunięcie 99 proc. wirusów i bakterii), filtr wodny oraz

węglowy (usuwa lotne związki organiczne oraz nieprzyjemne zapachy, choć jeśli ktoś liczy na to, że smród przypalonego obiadu po uruchomieniu oczyszczacza zniknie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, to może się rozczarować).

Stosunkowo cichy (poziom hałasu wynosi od 18 do 55 dB) oczyszczacz Panasonic potrafi skutecznie oczyścić powietrze o powierzchni ok. 55 mkw. Według Japończyków filtry powinny działać nawet przez 10 lat, ale w polskich warunkach, zwłaszcza w regionach, w których dominuje budownictwo jednorodzinne, zapewne aż tak długo nie wytrzymają.

Urządzenie jest wyposażone w pięć czujników – natężenia oświetlenia, kurzu, zapachu, wilgotności oraz... obecności człowieka, dzięki czemu Panasonic włącza się, gdy wykryje, że wróciliśmy do domu, i oczyszcza „przyniesione” na ubraniach zanieczyszczenia. Dzięki czujnikom urządzenie można ustawić po prostu w tryb automatyczny i zapomnieć o „brudnej robocie” (poza dolewaniem wody służącej do nawilżania). Podczas testów przeszkadzał mi jednak brak możliwości całkowitego wyłączenia, a nie tylko przygaszenia wszelkich diod i światełek, przez co stojący w sypialni oczyszczacz niepotrzebnie rozświetlał pomieszczenie. Największą wadą tego modelu jest jednak wysoka cena, która wynosi aż 3499 zł. ©©

Jacek Przybylski



Zanim zaczniemy trenować, trzeba jednak najpierw za MoveltSpeed zapłacić, i to niemało, bo zamawiając gadżet na Indiegogo, trzeba liczyć się z wydatkiem ponad 2,5 tys. zł. Dostawa we wrześniu tego roku.

WYSSIJ POWIETRZE

Gadżet być może i przydatny, aczkolwiek z pewnością nie niezbędny. A komu przydatny? Miłośnikom podróży, kempingów, sportów wykorzystujących piłkę etc. O co chodzi? A o Atmos, czyli przenośną, kieszonkową pompkę próżniową. Brzmi strasznie? Wcale takie nie jest. Potrzebujecie szybko napompować lub wypompować materac? Zrobi się. Walizka się nie domyka, bo złożone w niej rzeczy zajmują za dużo miejsca? Można użyć worków próżniowych, a dzięki Atmosowi wyssać z nich powietrze, dzięki czemu odzież zajmie mniej miejsca. Nie wspominając już o uzupełnianiu powietrza w oponach rowerowych, piłkach itp.

Cena gadżetu wynosi ok. 80 zł, a zamawiać można na portalu Kickstarter. Dostawa we wrześniu. ©©



PRAWYM SIERPOWYM

Na stres, na nerwy, na rozładowanie złości, ale przede wszystkim na lepsze mięśnie, kondycję i zdrowie. Boks domowy, na szczęście nie damski. Co więcej, MoveltSpeed, czyli – jak twierdzi producent – pierwszy na świecie smart worek do boksu może być używany koedukacyjnie: najpierw bije w niego pani, później pan. A urządzenie liczy siłę zadanych ciosów i spalane kalorie, komentując „walkę” w czasie rzeczywistym.

Zaletą gadżetu, oprócz oczywiście świetnego bokserskiego treningu w warunkach domowych, jest też możliwość regulowania wysokości i prędkości odbicia, ustawienia różnorodnych interaktywnych trybów „walki”, a także po jej zakończeniu otrzymania szczegółowych statystyk na aplikację smartfonową. A intensywny trening cardio, który zapewnia urządzenie, pozwala spalić nawet do 1000 kalorii na godzinę.

Wojciech Wybranowski

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Zabrakło mi w pani książce rozdziału o Druskiennikach.

ANNA LISIECKA: Nie było moją ambicją pisanie przewodnika po II RP. Autorami znakomitych, opisowych książek o kresach II RP są profesorowie: Stanisław Sławomir Nicieja i Jacek Kolbuszewski. Moja publikacja narodziła się, kiedy zbierałam materiały do poprzedniej – o Łodzi Halamie. Gdy przeglądałam międzywojenną prasę i doszłam do miesięcy wakacyjnych roku 1939, zaczęłam odczuwać wręcz fizyczny ból. Obserwowałam uśmiechnięte twarze, śledziłam plany i marzenia snute przy dźwiękach „The Lambeth-Walk”, muzycznego szlagieru tamtych dni. Ja wiedziałam, co się wydarzy. W przeciwieństwie do ludzi, na których patrzyłam. Do wybrania się w podróż po miejscach i czasie zaprosili mnie właśnie oni – z ich zamierzeniami, nadziejami, tęsknotami i kłopotami, a nawet dramatami, które miały okazać się drobne w kontekście tego, co wydarzyło się we wrześniu, ale jeszcze w wakacje często stanowiły o istocie ich życia.

Chciałam zatrzymać życie artystów, a także ludzi mniej znanych – tam i wtedy. Wśród „oprowadzających mnie” są: Zofia Nałkowska, Maria Dąbrowska, Witkacy, Witold Gombrowicz, Czesław Straszewicz, Elżbieta Barszczewska, Teresa Roszkowska, Kazimierz Wierzyński, Stanisław Vincenz, a także podsekretarz stanu w przedwojennym Ministerstwie Spraw Zagranicznych – Jan Szembek czy prof. Janusz Degler, który był wtedy dzieckiem, a jako badacz będzie się zajmował dziełem Stanisława Ignacego Witkiewicza. We wrześniu 1939 r. jakaś niewidzialna ręka losu sprawi, że przyszedł witkacolog przebędzie razem z matką drogę, którą podróżował Witkacy z Czesławą Oknińską. Notabene na spalonej stacji w Łukowie znajdzie się również Anna Micińska, inna badaczka i edytorka dzieł autora „Narkotyków” – wtedy jeszcze w łonie swojej matki.

Oczywiście klucz wyboru miejsc był bardzo ważny, bo tamta Polska różniła się od dzisiejszej również w wymiarze geograficznym. I mnie zabrakło Druskiennik, ale jakoś do tego uzdrowiska nad Niemnem nie zaprosił mnie żaden z moich bohaterów. Dopiero od pana dowiedziałam się, że w czerwcu 1939 r. odpoczywał tam Tadeusz Dołęga-Mostowicz.

Znaczna część kurortów II RP znajduje się dziś poza naszymi granicami. Nadal są uzdrowiskami?



Z Anną Lisiecką, dziennikarką, reportażystką rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert



Lato w rytmie „The Lambeth-Walk”

To pytanie o moją ciekawość współczesności, a książkę pisałam z zainteresowania przeszłością. Chciałam sobie odpowiedzieć na pytanie, jak to się stało, że ludzie z pokolenia moich dziadków czuli się latem 1939 r. tak bezpiecznie, iż nawet kiedy mówili o wojnie, to w przekonaniu większości spośród nich powinna się była ona zakończyć szybkim zwycięstwem Polski. Zygmunt Hertz pisał do swej żony Zofii z Modlina – dokąd trafił po mobilizacji – żeby się nie martwiła, gdyż najpóźniej za trzy tygodnie będzie z powrotem w Łodzi. Wracając do meritum, to – o ile wiem – przedwojenne kurorty kresowe ciągle nimi są, jedynie

ich uroda się zmieniła. Jakiś czas temu Radio Wnet odwiedziło Zaleszczyki, konstatając potężne zaniedbanie. Fakt, że niewiele zostało z cudownych, naddnie-strzańskich plaż: słonecznej i cieniejszej. Truskawiec podobno funkcjonuje znakomicie, ale w czasach słusznie minionych architektoniczną harmonię miasteczka zdewastowały paskudne, betonowe bryły niezgrabnych bloków. Na linii Lwów–Karpaty widać ślady przeszłości, lecz nie ma jej pamięci. Na plus trzeba dodać, że odbudowywane jest obserwatorium astronomiczno-meteorologiczne wybudowane w 1938 r. na trzecim co do wysokości szczycie Czarnohory – na-



Truskawiec zasłynął m.in. kuracjami solankowymi i basenem FOT. NAC

nagła śmierć Mariana Dąbrowskiego, męża pisarki, która też lubiła Kosów i dobrze się czuła po tamtejszych „głodówkach”. To pewnie ona poleciła to miejsce swojej siostrzenicy, kochanej przez ówczesnych widzów amantce kina, Elżbiecie Barszczewskiej. Aktorka spędziła tam część ostatnich przedwojennych wakacji.

Uzdrowisko w Kosowie założył Apolinary Tarnawski, ojciec przyszłego autora przekładu „Tajnego agenta” Josepha Conrada, Wita Tarnawskiego. Doktor Tarnawski swoich słynnych pensjonariuszy, reprezentantów elit kulturalnych i naukowych leczył jaską dietą i gimnastyką – także porannym bieganiem po rosie, co można potraktować jako swoistą odmianę wodolecznictwa. Uwagę turystów przyciągał też tamtejszy jarmark, gdzie oferowano jaja ptaków drapieżnych cieszące się sławą niezawodnych afrodyzjaków.

A czemu Zaleszczyki uchodziły za krajową riwierę?

Ponieważ były polskim biegunem ciepła. Znajdowały się już w czarnomorskiej strefie klimatycznej. Dwudziestolecie międzywojenne to nie tylko Centralny Okręg Przemysłowy i Gdynia, lecz także rozwój sadownictwa, w Grójeckiem i – przede wszystkim – na kresowych czarnoziemach zwanych „ogrodami II RP”. Powstają sławne zaleszczyckie winnice, próbuje się uprawiać cytrusy, bujnie rosną melony i kawony (czyli arbuzy), a morele i brzoskwinie mają smak, o którym zwykło się mówić „niebo w gębie”. Polskie Radio codziennie podawało informacje o temperaturze w Zaleszczykach i sytuacji atmosferycznej na Popie Iwanie.

Truskawiec zasłynął kuracjami solankowymi i basenem?

Najbardziej znanym źródłem truskawieckim była Naftusia – woda mineralna wydobywana spod złóż ropy naftowej. Do dzisiaj zachowała nazwę. Nieopodal znajdują się miasta szybów: Borysław i Drohobycz. Truskawiec oferuje też inne wody pitne – wszystkie podobno pomocne w leczeniu schorzeń gastrycznych, zwłaszcza wątroby. Jednak nie plasowałyby się Truskawiec na drugim miejscu na liście rankingowej przedwojennych uzdrowisk (po Krynicy, a przed

Ciechocinkiem), gdyby nie jego piękno i infrastruktura. Basen wielkości jeziora – z piaskiem przywiezionym z Bałtyku, moderatorami, orkiestrami i urządzeniami do treningów – też był ważny, podobnie jak trzy parki i promenada „obramowana” palmami.

Ferdynand Ossendowski określił Jaremcze i Worochtę perełkami Pokucia...

Moimi przewodnikami po tamtych stronach są Elżunia Wittlinówna, Stanisław Vincenz i Francuzka – Rosa Bailly. Ta ostatnia podróżowała po Pokuciu w roku 1938, a marcowy numer „Światowida” z 1939 r. był jej poświęcony. Zwracała uwagę na wielość języków dźwięczących w wymienionych przez pana miejscowościach (polski, ukraiński, ormiański, rumuński, jidysz, węgierski), zapierające dech w piersiach krajobrazy, huculskie domostwa i ubiory... A także na równe i czyste chodniki, starannie otynkowane domy, dobrze utrzymane skwery w Kołomyi oraz nowo wybudowane schronisko w Kosmaczu. Jak również na to, że sielskie obrazy życia pasterskiego w stanie pierwotnym można obserwować, jadąc asfaltową serpentyną.

Z jakiej przyczyny Połoga była wtedy niedostępna dla polskich turystów?

Od 8 października 1920 r., czyli od wkroczenia wojska polskiego pod dowództwem gen. Lucjana Żeligowskiego do Wilna, do marca 1938 r. nie było pomiędzy Litwą a Polską wojny, ale nie było też pokoju. Nie działały połączenia telefoniczne ani poczta, nie istniała wymiana gospodarcza, brakowało przejść granicznych. Nasi rodacy mieszkający na tzw. Litwie kowieńskiej docierali na studia w Polsce poprzez Łotwę, Prusy albo – tak jak Czesław Miłosz – przekraczali zieloną granicę, za co jednak można było wylądować w ciupie. Połoga – mająca ponoć najbielsze plaże nad Bałtykiem – była zatem dla Polaków jedynie miłym urlopowym wspomnieniem z czasów carskich.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Dlaczego Kosów Huculski określano mianem polskiego Davos?

Chcąc jednak zwrócić uwagę, że w mojej książce błądzimy nie tylko po Kresach. Wraz z Marią Dąbrowską odwiedzamy także Jaworze, gdzie letni dom miał Henryk Józewski – wieloletni wojewoda wołyński, który wiele próbował zrobić dla polsko-ukraińskiego pojednania. Wraz z Wacławem Berentem i Janem Lorentowiczem spędzamy sierpień w miasteczku zwanym „Adriatykiem pomiędzy tężniami”, czyli Ciechocinku. Nie pomijamy maleńkiego skrawka polskiego wybrzeża – z Juratą na czele – jesteśmy w Zakopanem i Krynicy, odwiedzamy Kazimierz nad Wisłą oraz Lanckoronę, wędrujemy również tam, gdzie „panieńskim rumieńcem dziecielina pała...”.



ANNA LISIECKA
„WAKACJE 1939”
MUZA 2019



Anna Lisiecka – dziennikarka Programu 2 Polskiego Radia i reportażystka, autorka książki „Loda Halama. Pierwsze nogi Drugiej Rzeczypospolitej”.



Tomasz Kaźmierowski

**Gdzie najlepiej smakuje muscadet?
Jaki znów „muskadet”?
Co to takiego? Otóż to**

Szanujący się amator wina kojarzy czołowe czerwone i białe szczepy, z których powstają dobre trunki. Wiadomo: pinot noir, cabernet sauvignon, syrah, merlot, nebbiolo, jeszcze tempranillo i sangiovese, a dalej chardonnay, riesling i sauvignon blanc, na dokładkę, powiedzmy, grüner veltliner i furmint.

Najlepsze wina wytworzone z tych szczepów – we Francji, Włoszech, w Hiszpanii, Niemczech, na Węgrzech, w Austrii czy Stanach – osiągają światową renomę i wysokie oceny. Ich eksport jest od dawna opłacalny, nie tylko dlatego, że koszt butelki stanowi zaniedbywalną proporcję ceny całości. Słynne od setek lat marki regionów: powiedzmy Burgundii, Bordeaux, Piemontu, Riojy, Mozeli czy Tokaju – robią swoje, a mniej lub bardziej masowy marketing podwyższa tzw. barierę wejścia dla mniej znanych szczepów i apelacji.

Gdzież zatem takiemu skromnemu kadetowi muscadetowi do tych wyżyn?!

Wyjaśniam. Od jakiegoś czasu mieszkam okazję złowić, sprawić, przygotować i zjeść (zaledwie w dwie-cztery godziny od połowu) doskonałą, dziko żyjącą rybę atlantycką. Podkreślam: dziką, gdyż gros ryb, które kupujemy w sklepach i uważamy często za dziko żyjące, pochodzi dziś z aquakultury: rozwinętych na przemysłową skalę, paszowo, chemicznie i farmakologicznie wspomaganych hodowli w zamkniętych śródlądowych lub przybrzeżnych zbiornikach. Sam je ochoczo kupuję i nie twierdzę, że smakują gorzej bądź też są mniej zdrowe, choć swoje wątpliwości mam.

Chodzi raczej o to, że jemy dziś ryby inaczej, niż człowiek je spożywał przez tysiące lat historii ludzkich habitatów nad oceanami i morzami.

Złowienie dzikiej ryby oceanicznej i skomunikowanie jej w parę godzin potem jest odmiennym doświadczeniem. Ci, którzy spróbowali – nie mają wątpliwości.

Doceniając to, nie sposób nie pomyśleć o najlepszym dla takiej ryby akompaniamencie: o winie.



Przetestowane na wyspie Uløya

W co poważniejszych restauracjach do ryb doradza się zazwyczaj chardonnay, pinot gris, sauvignon blanc, soave, rzadziej rieslinga. I jest to o tyle słuszne, o ile ryba akurat do danego wina pasuje. Serwowanie pełnego, tłustego, beczkowego chardonnay z Chile czy Australii do tłustej makreli lub nawet halibuta jest równie nietrafione jak proponowanie wytrawnego rieslinga do prosto podanego, chudego dorsza.

WINO ZNAD LOARY

Z wyjątkiem szampana, który może być doskonałym towarzyszem większości dań rybnych, najlepszym winem do ryby jest właśnie „kadet”. Muscadet sur lie (nie wymawiamy końcowego „t”, a „u” jest zbliżone do niemieckiego „ü”) powstaje nad dolną Loarą, gdzie sięga już słona bryza znad Atlantyku. Wino to wytwarza się ze szczepu melon de Bourgogne (bo z Burgundii kiedyś przy-

wędrował). Jeśli nie liczyć na razie mniej ciekawych prób w okolicach Seattle, tylko loarskie wina z tego szczepu warte są uwagi. Neutralność i smukłość tego wina powoduje, że odzwierciedla ono idealnie środowisko, w którym jest uprawiane (terroir). Dzięki nadloarskim granitom, łupkom i gnejsom jest ono winem arcymineralnym, skalnym, a przy tym czystym, wybitnie świeżym, kwasowym i finezyjnym. W zależności od środowiska i procesu winifikacji (długość starzenia na osadzie drożdżowym; to właśnie owo „lie” w nazwie) potrafi być winem prostym i bardzo złożonym.

Dzięki temu te wyjątkowo wytrawne, kwasowe (dominacja cytrusa), mineralne wina są doskonałym towarzyszem niemal dla każdej słonowodnej ryby. Dobrze dobrane – na przykład smukły, lekki muscadet do tłustszego, pieczonego łososia, a dłużej starzone i pełniejsze do dorsza sauté – są nie do pobicia. Co



FOT. ARCHIWUM AUTORA

jednak może wydać się największym zaskoczeniem, te świetne wina, nawet z czołowego regionu dolnej Loary o nazwie muscadet sèvre et Maine, kosztują od 5 do 15 euro, przy czym już te podstawowe są zazwyczaj bardzo dobrej jakości. To w skali światowej białe wina o najlepszym stosunku jakości do ceny.

DZIKOŚĆ Z ATLANTYKU

Wspomniane świeże, dziko żyjące ryby atlantyckie miałem okazję łowić i degustować w prowadzonej przez polskich alpinistów bazie Rotsund Seafishing w norweskiej Arktyce, na uderzająco fotogenicznej wyspie Uløya. W towarzystwie kilku francuskich, belgijskich i polskich znawców ryb i wina otwieraliśmy do świeżo, własnoręcznie złowionych ryb wina z tzw. średniej półki – chardonnay i sauvignon blanc z Górnej Adygi, grüner veltliner i riesling z austriackich Wachau i Kremstal, to-

kajski wytrawny furmint, proste chablis (znów chardonnay) i muscadet sur lie z Sèvre et Maine. Owszem, potężny, mineralny tokajski furmint Szent Tamas od Laszlo Pelle doskonale radził sobie z halibutem w sosie beurre blanc, lecz nie z dorszem (a zupełnie źle byłoby z mięsem lekkiej, słabo związanej ryby, takiej jak okoń morski). Z kolei Manincor „Sophie” (przewaga chardonnay) – dość pełne, lekko miodowe, o tropikalnych i cukierkowych aromatach, nieco przy tym beczkowe wino z Górnej Adygi – nie chciało się zaprzyjaźnić z grillowanym atlantyckim łososiem, ale już z turbotem z patelni współpracowało bez zarzutu. Mineralna szpada od rodziny Saahs (Nikolaihof Hefeabzug Grüner Veltliner) z austriackiego Wachau wcale się ze smażonym na maśle dorszem nie zestroiła, a to przez mocne miętowe nuty i na początku tylko ukryty potężny nos rozmaitych aromatów.

Koniec końców, niemal wszyscy po tygodniu deliberacji zgodzili się, że następnym razem przywiozą właśnie muscadety.

Drugim odkryciem była dla mnie jakość północnoatlantyckiego dorsza. Już od wspomnianych Polaków z Uløi słyszałem, że najsmaczniejszy dorsz pochodzi właśnie z północnych połaci Atlantyku. Jest on większy od tego z Bałtyku i kontynentalnych wybrzeży Morza Północnego, a jego mięso słodsze od pacyficznego kuzyna. Najsmaczniejsze są pięcioletnie, siedmiokilogramowe osobniki, choć zdarza się złowić w norweskiej Arktyce sztuki ważące nawet po 30 kg. Żeruje on w ławicach, w północnym Atlantyku, zazwyczaj blisko dna – rośnie błyskawicznie dzięki obfitości makreli i śledzia. Te spore drapieżniki robią niemałe wrażenie, jednak z uwagi na gorszy smak mięsa przeznacza się je do suszenia lub przerobów. Co innego – podkreślają na Uløi – wątróbki lub języki z tych półtorametrowych okazów: są one poszukiwanym rarytatem. Taki ogromny język smakuje jak krewetka tygrysa, a odpowiednio przygotowane páté z wątróbek to – potwierdzam – rozkosz.

Norwegowie, Islandczycy, Alaskijczycy, Portugalczycy i Bretończycy mają najrozmaitsze sposoby przyrządzania dorsza, jednak tylko Bretończycy zgodzą się z Anglikami, że dorsz pływa po trzykroć. Najpierw bowiem pływa w morzu, następnie winien pływać w maśle, a w końcu w dobrym clarecie. Może to nieco dziwić, ale Jonathanowi Swiftowi („Polite Conversation”, 1793) chodziło zapewne o clareta zbliżonego do dzisiejszych bordosów rosé.

Przy swojej nieśmiałej prezencji muscadet ma pole rażenia kartacza: doskonale nadaje się nie tylko do większości ryb morskich, lecz także słodkowodnych, takich jak szczupak czy sandacz. Ponadto do owoców morza, w tym małży i ostryg, ślimaków morskich i krewetek, a nawet do delikatnego drobiu i smażonego tofu. Nie byłby muscadet francuskim winem, gdyby nie istniała długa lista serów najlepiej z nim „współpracujących”, że wspomnę alpejskie fondue i raclette, ale także gruyère, brie czy parmezan.

Dopóki zatem zarówno loty w norweską Arktykę, jak i loarskie muscadety pozostają niedrogie, dopóty dla amatorów po trzykroć pływającej ryby ten kierunek wydaje się zwyczajnie nie do pobicia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Katarzyna Pinkosz

Coraz więcej kobiet w Polsce umiera z powodu raka piersi – alarmują onkolodzy. Ten niepokojący trend widać od kilku lat. Jak go zmienić?

W warszawskim Centrum Onkologii codziennie w siedmiu gabinetach przyjmowane są pacjentki z rakiem piersi; dwa pracują non stop przez cały dzień. Doktor Agnieszce Jagiełło-Gruszfeld z Kliniki Nowotworów Piersi i Chirurgii Rekonstrukcyjnej nigdy nie udaje się skończyć pracy o tej godzinie, o której powinna: tak wiele pacjentek czeka na badanie. – Dzisiaj skończyłam o 20.30 zamiast o 19, a jeszcze czeka dokumentacja do wypienienia. System leczenia nowotworów opiera się na barkach ludzi, którzy wkrótce fizycznie nie dadzą rady – mówi pani doktor.

KULAWA PROFILAKTYKA

Około 18–19 tys. kobiet w Polsce słyszy co roku diagnozę raka piersi: liczba zachorowań rośnie. W krajach zachodnich procentowo jest ich jeszcze więcej, jednak tam spada liczba zgonów, a w Polsce od kilku lat rośnie, co niepokoi onkologów. Po diagnozie raka piersi 76 proc. Polek przeżywa pięć lat, podczas gdy europejska średnia to 80–90 proc. Przyczyn jest wiele: późniejsze wykrywanie nowotworu, zbyt długi czas do rozpoczęcia leczenia, brak dobrej organizacji leczenia, brak dostępu do niektórych nowych leków.

Wciąż niewiele kobiet prowadzi samobadanie piersi, a na mammograficzne badania skriningowe zgłaszało się ok. połowy pań, które otrzymywały zaproszenia. Z wysyłania zaproszeń ostatnio w ogóle zrezygnowano, co na pewno nie spowoduje, że więcej kobiet przyjdzie się badać. Radiolodzy, onkolodzy i organizacje pacjentów zwracają też uwagę, że nie wszystkie mammografy spełniają wysokie standardy diagnostyczne. – Niektóre mammografy powinny już dawno wyjść z użycia, gdyż mogą nie wykryć niewielkich zmian; kobieta wyjdzie uspokojona dobrym wynikiem, a może się okazać, że zmiana nie została wykryta. Kobiety powinny zwrócić uwagę, czy poradnia lub szpital, w których wykonują badanie profilaktyczne, posiadały certyfikat, że uczestni-



Amazonki będą walczyć

czą w programie skriningowym. Te ośrodki muszą spełniać określone normy jakości – dodaje dr Jagiełło-Gruszfeld.

WYKORZYSTAĆ SZANSĘ NA WYLECZENIE

Na raka piersi najbardziej są narażone kobiety po 50. roku życia, jednak coraz częściej chorują też młodsze, jak 38-letnia dziś Aleksandra, która sama wykryła u siebie małą guzeczka cztery i pół roku temu. USG nie wykazało niepokojących zmian. Aleksandra zaszła w ciążę, urodziła syna,

karmiła go piersią przez ponad półtora roku; w tym czasie guzek się nie zmienił. Zaszła w drugą ciążę, urodziła córeczkę, ją również karmiła piersią. Gdy córeczka miała 10 miesięcy, guzek zaczął pobolewać. Od razu zapisała się na USG. Lekarza na tyle zaniepokoił obraz w badaniu, że skierował ją do onkologa i na biopsję. Diagnoza: rak piersi miejscowo zaawansowany, bez przerzutów.

Sposób leczenia zależy nie tylko od stopnia zaawansowania, lecz także od typu i podtypu raka. Aleksandra miała typ agre-



FOT. ANDRZEJ STYCK

Krystyna Wechmann, prezes Federacji Stowarzyszeń Amazonki: Leczenie to zysk, nie koszt

W ubiegłym roku weszły do refundacji leki biopodobne; chcielibyśmy, by wszystkie środki z powstałych oszczędności były przeznaczone na innowacyjne terapie. Zależy nam na dostępie do leczenia wczesnego HER2 dodatniego raka piersi; może to zapobiec nawrotom i pojawieniu się nieuleczalnego stadium choroby. Dla pacjentek z zaawansowanym rakiem HER2 ujemnym ważna jest możliwość leczenia inhibitorami CDK 4/6. Wiele kobiet zwraca się do nas o pomoc, próbuje przez różne fundacje zbierać pieniądze na leczenie. Powinno się też rozszerzyć programy lekowe: nieraz w bezduszny sposób uniemożliwiają leczenie, bo np. guz jest za mały albo terapię można podać dopiero po wznowie. A przecież lepiej działać wcześniej, by zapobiec przerzutom.

Cieszymy się, że będą powstawać Breast Cancer Units: ośrodki kompleksowego leczenia raka piersi. Mam nadzieję, że poprawi się dostęp do rehabilitacji dla kobiet przed i po operacji oraz że będą powstawać kolejne ośrodki leczenia obrzęków limfatycznych. Od ministerstwa oczekujemy lekcji zdrowia w szkołach i dobrych kampanii edukacyjnych, bo tylko ciągła reklama medialna jest w stanie zmienić mentalność i np. nakłonić kobiety do wykonywania badań profilaktycznych. O leczeniu często myślimy jak o kosztach. Jednak jest ono zyskiem, jeśli leczymy dobrze, wydłużając życie.

i pertuzumab. Wprowadzenie tego pierwszego 20 lat temu stało się przełomem. Jednak mimo jego podawania u 25 proc. chorych nastąpi w ciągu 20 lat nawrót choroby. Dołączenie pertuzumabu zwiększa szanse, że choroba nie powróci. Oba leki podawane razem to standard w krajach zachodnich: „podwójna blokada” receptora HER2 – opowiada dr Agnieszka Jagiełło-Gruszfeld.

W Polsce standardem jest tylko trastuzumab, drugi lek jest nierefundowany, choć o 15–30 proc. zwiększa szansę na wyleczenie z raka. Aleksandra udało się zebrać kwotę potrzebną na leczenie (ponad 80 tys. zł) dzięki pomocy rodziny i zbiórkom przez Internet. Nie wszystkim chorym to się jednak udaje, nie wszystkie próbują. Często lekarze, zdając sobie sprawę z wysokich kosztów, nawet nie proponują kobietom takiego leczenia. Onkolodzy i organizacje pacjentów apelują więc do ministerstwa o refundację pertuzumabu, argumentując, że jego zastosowanie zmniejsza ryzyko nawrotu. To ważne, bo jeśli rak piersi wróci, jest to już stadium choroby rozsiaanej, kiedy nie ma szans na wyleczenie.

PRZEDŁUŻYĆ ŻYCIE

Rak piersi po nawrocie to już nowotwór zaawansowany, w formie rozsiaanej. Medycyna nie potrafi go wyleczyć, walczy się jednak o przedłużenie życia i o to, by kobieta mogła prowadzić normalne życie rodzinne i zawodowe. W wielu przypadkach jest to możliwe pod warunkiem zastosowania nowoczesnych terapii. „Białą plamą” w Polsce jest brak dostępu do nowoczesnych terapii w przypadku jednego

z podtypów raka piersi: zaawansowanego, hormonozależnego, HER2 ujemnego.

– Ministerstwo Zdrowia już od dwóch lat obiecuje nam refundację nowych leków, tzw. inhibitorów CDK 4/6, jak palbociclib, abemaciclib, ribociclib, jednak na razie kończy się na obietnicach – mówi dr Agnieszka Jagiełło-Gruszfeld. W Polsce pacjentki w zaawansowanym stadium tego podtypu raka piersi dostają tylko leczenie hormonalne. – Udowodniono, że dołączenie do hormonoterapii inhibitorów CDK 4/6 wydłuża życie. To dobra metoda leczenia, refundowana właściwie we wszystkich krajach Europy. Powinna być dostępna także w Polsce. Pacjentki, które mają dostęp do tych leków, żyją dłużej bez nawrotu choroby, jakość ich życia jest znacząco lepsza, a samo przeżycie dwukrotnie dłuższe – dodaje dr Jagiełło-Gruszfeld.

W Polsce, gdy leczenie hormonalne przestaje działać, pacjentki dostają chemioterapię. – To leczenie mniej skuteczne i bardziej toksyczne. Rzadko która pacjentka jest w stanie pracować czy uczestniczyć normalnie w życiu rodziny – dodaje dr Agnieszka Jagiełło-Gruszfeld. Bez refundacji inhibitory CDK4/6 są praktycznie niedostępne: koszt miesięcznej terapii to kilkanaście tysięcy złotych. Jak taką sumę zebrać?

Szansę przeżycia roku po diagnozie raka piersi u Polki są o 4 punkty procentowe mniejsze niż europejska średnia: szansa na przeżycie pięciu lat – już o 10 punktów procentowych mniejsze. To nie tylko kwestia leków, lecz także wczesnego wykrywania i lepszej opieki. Jest co zmieniać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Rak piersi w statystyce

70 proc. przypadków raka piersi to tzw. rak hormonozależny (w jądrze komórek nowotworowych znajdują się aktywne receptory estrogenowe lub/i progesteronowe). W 18–20 proc. to rak HER2 dodatni (na powierzchni komórek nowotworowych znajdują się receptory HER2, które przekazują komórkom sygnały związane z kontrolą ich wzrostu). W ok. 10 proc. przypadków to rak potrójnie ujemny: nie ma ani receptorów estrogenowych i progesteronowych, ani HER2.

sywny HER2 dodatni. HER2 to receptor znajdujący się na powierzchni komórek nowotworowych. Nadmiar tych receptorów powoduje, że komórki szybciej się dzielą i stają się odporne na terapię. Podczas konsylium lekarskiego Aleksandra poznała optymalny plan: usunięcie guza, a przed operacją leczenie tzw. neoadiuwantowe. Jego celem jest zmniejszenie guza i zablokowanie receptorów HER2, by zapobiec pojawieniu się nawrotu choroby i przerzutów.

– Na świecie są dostępne w leczeniu przedoperacyjnym dwa leki: trastuzumab



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Sąd nad trupem husyty

W powszechnej świadomości Spytko z Melsztyna, kasztelan biecki, był największym i najzacieklejszym przywódcą husytów polskich, w szeregach zaś jego stronnictwa, które poniosło klęskę pod Grotnikami w 1439 r., znajdowali się fanatyczni zwolennicy Jana Husa, walczący z Kościołem uosabianym przez bp. Zbigniewa Oleśnickiego. Rzeczywistość okazuje się kompletnie inna, jego poplecznicy byli bowiem ruchem rycersko-szlacheckim, wymierzonym w rządzącą wówczas Polską oligarchię. Wojna domowa dwóch konfederacji – biskupa i Spytki – w 1439 r. nie była starciem katolików i heretyków, ale konfliktem stronników Oleśnickiego i części opozycji, w której obok Spytki działali katolicy, kilku czynnych zwolenników husytyzmu, wysłannicy królowej Zofii i różni awanturnicy, tacy jak Dzierżaw z Rytwian, który wart jest osobnego felietonu. Wszystko zaczęło się, jak pisze Jerzy Wyrozumski w „Historii Polski do 1505 roku”, kiedy: „Pod koniec życia Jagiełły grupa dostojników duchownych i świeckich, ze Zbigniewem Oleśnickim na czele, tworząca radę królewską, przejmowała faktycznie rządy w państwie. Po śmierci zaś starego króla w sposób zupełnie formalny zastąpiła monarchę”. Co oczywiste, natychmiast uformowała się opozycja złożona z Wielkopolan odsuwanych przez biskupa od wpływów i władzy. Na jej czoło wysuwał się Spytko, mający osobiste powody, aby nie lubić Oleśnickiego. Jak podaje Anna Sochacka w „Konfederacji Spytki...”, był to: „Przedstawiciel najmłodszego w Polsce Kazimierza Wielkiego i Jagiełły rodu, który za rządów Oleśnickiego został odsunięty od wpływów w państwie. Spytek nie tylko nie uzyskał żadnych urzędów, ale poniósł jeszcze duże straty majątkowe w związku z oddaniem



FOT. WIKIPEDIA

w ręce Odrowążów Samborszczyzny, dotychczas zarządzanej przez Melsztyńskich”.

Do pierwszego starcia doszło w 1434 r., na zjeździe koronacyjnym nieletniego Władysława, kiedy opozycja usiłowała narzucić młodemu królowi opiekuna i regenta – księcia mazowieckiego Ziemowita. Rok później stronnictwo zdecydowało się podjąć wyprawę po tron czeski dla drugiego królewicza – Kazimierza. Gdy jednak poniosła ona klęskę, Oleśnicki przystąpił do działania – najpierw ugodził Spytkę klątwą kościelną, potem wykluczył go z rady koronnej. W październiku 1438 r. pozbawił władzy królewskich rządców, ustanowionych w poszczególnych dzielnicach Polski na czas małoletności króla i sprzyjających opozycji. Na zjeździe w Nowym Korczynie, w kwietniu 1439 r., biskup krakowski rozegrał kolejną intrygę w mistrzowski sposób. Wszystko wskazuje na to, że przygotował zasadzkę na Spytkę, sam zaś zjazd miał prawdopodobnie rozstrzygnąć o dalszych planach względem Czech. Gdy jednak kasztelan przybył w trakcie obrad i zorientował się, że sprawy nie idą we właściwym kierunku, zawiązał 3 maja konfederację. Nie była ona wymierzona w Kościół katolicki. Powoływała rodzaj sądu zwalczającego wszystko, co było wymierzone przeciwko królowi i dobru

królestwa. O sprawach religijnych akt założycielski milczał.

Konfederaci nie mieli w planach zbrojnego wystąpienia przeciwko małoletniemu królowi i jego opiekunowi – Oleśnickiemu. Jednak Spytko uległ jakiejś nieznanej prowokacji i dzień później napadł na kwatery biskupa włocławskiego i Mikołaja Lasockiego, dziekana krakowskiego. Następnie chciał ująć kanclerza Jana Koniecpolskiego i marszałka Jana Głowacza – złupił klasztor, w którym mieszkali. Rozpoczęcie działań zbrojnych wywołało sprzeciw wielu przedstawicieli konfederacji, którzy odstąpili kasztelana – jak Hińcza z Rogowa, który przeszedł na stronę jego przeciwników. Co gorsza, doszło do porozumienia pomiędzy Oleśnickim i dworem, a Spytko utracił poparcie królowej Zofii. Widząc, że jest osaczany, zebrał nieliczne wojska i zaczął rozkładać warowny tabor nieopodal Nowego Korczyna. Historycy często piszą, że uczynił to na sposób husycki, co jest nieścisłe. Husyci, a tak naprawdę ich odłam – taboryci – przejęli ten styl walki od Polaków, którzy stosowali go w niektórych bitwach, podobnie zresztą jak Krzyżacy – np. pod Grunwaldem. Siły Spytki zostały rozbite przez piechotę królewską i rozproszone, zanim zdolały się umocnić, a sam przywódca, jak podaje Długosz: „Okryty zewsząd strzałami, skłuty oszczepami i zwalony z konia, ducha wkrótce wyzionął”. Po bitwie nad ciałem konającego odbył się sąd, skazujący go na śmierć i pozbawiający czci; zwłoki pozostawiały nieopogrzebane przez trzy dni, zanim król kazał oddać je żonie. Później jednak Władysław Warneńczyk skasował wyrok, przywracając szlachectwo żonie i dzieciom kasztelana. Stronników Spytki, którzy przetrwali bitwę, nie spotkały prawie żadne represje. ©

LEKKA SAŁATKA AGATY SOBOCIŃSKIEJ

W okresie wakacyjnym, kiedy nie potrzebuję dużej ilości kalorii, lubię dania z gatunku fit. W letnie wieczory, kiedy robi się już trochę chłodniej, często robię sałatki, które dodają mi energii. Jedną z moich ulubionych jest lekka sałatka grecka. Pozwala mi ona utrzymać formę koncertową i zapewnia sporą dawkę witamin. Co roku okres letni wymaga ode mnie wysokiej sprawności. Wakacyjne trasy koncertowe to spore wyzwanie i mniejsza ilość czasu na gotowanie, zatem do dzieła!

a oliwki dodaję w całości. Po zmieszaniu składników dodaję jeszcze oliwę, pieprz (najlepiej taki świeżo zmielony) i doprawiam szczyptą soli i oregano. Jeszcze raz wszystko mieszam i gotowe.

Smacznego! ☺☺

oprac. raw

Agata Sobocińska – piosenkarka, autorka tekstów, wykonująca szeroko pojętą muzykę pop.

Składniki:

- ser feta (ok. 200 g)
- 10 sztuk oliwek
- 2 pomidory
- 2 ogórki
- pół czerwonej cebuli
- 3 łyżki oliwy
- łyżka oregano
- pieprz, sól

Przygotowanie:

Moją sałatkę grecką robię z dwóch dużych pomidorów (ważne, żeby były dojrzałe i pełne smaku, delikatnie słodkie), dwóch ogórków razem ze skórką, połowy czerwonej cebuli, 10 czarnych oliwek (jeśli nie mam, to oliwek zielonych) i sera feta (ok. 200 g). Wazzywa najpierw trzeba dokładnie umyć i osuszyć, potem pokroić i wrzucić do większego naczynia. Zaczynam od pomidorów, kroję je w ósemki, ogórka i cebulę w plasterki, fetę oczywiście w kostkę,



FOT. FORUMGWARO.COM.PL

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Prać czy nie prać

Ubrania kupujemy z metką, na której jest napisane, w czym i jak prać. Ale jak często prać? O tym instrukcje milczą. A ponieważ żyjemy w czasach przerostu obaw o bakterie, z pralkami z sensorami, suszarkami oraz różnymi piorącymi bajerami pranie przestało być czynnością, jak kiedyś, znojną. Ja jeszcze z dzieciństwa w Milanówku pamiętam panią Stefcię, dozorczynię w naszym domu, pochyloną nad białą z mydlinami i pocierającą w pocie czoła prześcieradła o tarę. (Millenialsi proszeni o sprawdzenie znaczenia tego ostatniego słowa).

Tymczasem mój znajomy Amerykanin pierze dzinsy po jednym użyciu. Ja sama białą bluzkę piorę po jednym dniu noszenia. Właściwie po co?

Mój dziadek, przedwojenny dżentelmen, zostawił po śmierci garnitury szyte u angielskich krawców. W PRL już nic nie kupił, w MHD mu się nie podobało. Kiedy po jego śmierci przeglądaliśmy te zasoby, mama powiedziała do babci: trzeba by to oddać do pralni. A babcia by to zgorszona: a po cóż prać? To przecież czyste. I rzeczywiście. Żaden z garniturów, dość już nadszarpniętych czasem, nie wyglądał na brudny. Był tylko znoszony, czyszczony tylko szczotką, jak to wtedy było

w zwyczaju. Dzisiaj takie nowe, nawet bardziej podarte, kupuje się w Comme des Garçons. Ale dziadziuś, chociaż nie znał pralek z sensorami i proszku Ariel, nie miał nigdy na sobie poliestru. Nie chodził na siłownię, skarpetki nosił tylko wełniane. Zapach przepoconego poliestru był mu nieznamy.

W niektórych hotelach w łazience przy ręcznikach wisi prośba, żeby ze względu na ochronę środowiska nie wyrzucać do brudów ręczników po jednym dniu. Popieram ten apel; codzienne zmienianie pościeli i trzech potężnych ręczników na osobę zawsze wydawało mi się absurdalnym luksusem.

Ostatnio rozgrzeszenia udzieliła mi Stella McCartney, córka Beatlesa, angielska projektantka mody znana ze swojej postawy proekologicznej. Do tego stopnia konsekwentnej, że nie używa naturalnej skóry. Pani Stella przyznała, że swoich ubrań nie pierze zbyt często (jak niezbyt często, nie sprecyzowała), i zaapelowała, żeby pranie ograniczać. „Pozwolić brudowi wyschnąć i wyszczotkować go”, powie-

działa. Czyli to, co robił mój dziadek. A właściwie babcia, bo pamiętam, jak miękką szczotką przed wyjściem zdejmowała dziadkowi pyłki z ubrania. ☺☺



ELEKTRYCZNY SUPERSAMOCHÓD

Lotus Evija. Tak nazywa się najnowszy model słynnego producenta sportowych aut, który dwa lata temu został kupiony przez Chińczyków. Wynoszącą 2000 (słownie: dwa tysiące) KM moc generują w sumie cztery silniki elektryczne (po jednym na każde koło). Producent zamiast chwalić się szybkim sprintem do pierwszej setki (na osiągnięcie tej prędkości Evija potrzebuje niecałe 3 s), może poprzeczkę postawić wyżej: od zera do 300 km/godz. elektryczne cacko przyspiesza w zaledwie 9 s.

Taki rezultat jest możliwy zarówno dzięki gigantycznej mocy, jak i świetnym właściwościom aerodynamicznym – aby je poprawić, konstruktorzy pozbyli się nie tylko lusterek (zastąpiły je kamery), lecz także klamek (drzwi otwiera się przyciskiem na kluczyku).

Maksymalny zasięg wynosi 400 km. Na naładowanie baterii do pełna w teorii powinno wystarczyć dziewięć minut. Problem w tym, że aby osiągnąć tak krótki czas ładowania, potrzebna jest ładowarka o mocy 800 kW, a takich – przynajmniej na razie – przy drogach jeszcze nie ma.

Supersamochód jest wyposażony w laserowe reflektory i mnóstwo technologicznych nowinek.



Cena: 2,11 mln dol., czyli około 8 mln zł. Liczbę bogatych szczęściarzy, którzy będą mogli Eviję wstawić do swych obszernych garaży,

ograniczono do zaledwie 130. Pierwsze egzemplarze „superelektryka” mają trafić do klientów już na początku przyszłego roku.

BENTLEY PRZYSZŁOŚCI



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

EXP 100 GT to model, którym brytyjski producent luksusowych samochodów przygotował na swoje 100. urodziny. Mierzące aż 5,8 m długości auto przyszłości ma napęd elektryczny i drzwi, które unoszą się do góry. Na sprint do pierwszej setki zajmuje mniej niż 2,5 s. Prędkość



maksymalna wynosi zaś 300 km/godz. Zasięg ważącej niemal dwie tony zabawki dla dużych chłopców wynosi ponoć nawet 700 km. Auto zostało wyposażone w e-szofera, czyli w możliwość autonomicznej jazdy. Model przyszłości na europejskie drogi ma wyjechać w roku 2035.

MINI COOPER TYLKO NA PRĄD

Mini Cooper SE to pierwszy w pełni elektryczny model tej marki. W kabinie miejsca jest tyle samo co w wersjach spalinowych. Tak samo ma być też bagażnik. Pasażerowie usportowanego malucha klasy premium mają więc do dyspozycji kufer o pojemności zaledwie 211 l (który na szczęście po złożeniu tylnej kanapy rośnie do 731 l).

Silnik elektryczny został umieszczony pod maską. Moc 184 KM na papierze nie porywa, ale dzięki dostępnemu w każdej chwili momentowi obrotowemu o wartości 270 Nm elektryczne mini od zera do 60 km/godz. przyspiesza w 3,9 s, a od zera do setki rozpędza się w 7,3 s. Prędkość maksymalna została ograniczona do 150 km/godz. Szybciej całkowicie elektrycznym autem i tak nie warto jeździć, bo nawet przy takiej prędkości zapas energii w akumulatorach kurczy się w szalonym tempie. Elektryczne mini na jednym ładowaniu będzie mogło przejechać ok. 200 km. Niemiecki koncern liczy na duże zainteresowanie ze strony klientów. Już w przyszłym roku na rynku ma się zaś pojawić elektryczna wersja BMW X3. ©

Jacek Przybylski

poniedziałek - czwartek

20:25

MÓWI SIE...



zaprasza
**Jacek
Sobala**

Telefon do studia:

22 649 12 62

Oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

SŁAWOMIR
CENCKIEWICZ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Mój pierwszy raz

Postanowiłem wytoczyć Lechowi Wałęsie proces! Nie za miotane regularnie wyzwiska i całą listę ciężkich oskarżeń, z obwinianiem mnie za śmierć syna włącznie. Jedynie za publicznie formułowany zarzut, że dokonałem sfałszowania dokumentów operacyjnych Służby Bezpieczeństwa dotyczących TW ps. Bolek, będących w dyspozycji Instytutu Pamięi Narodowej.

Wystarczy prześledzić pobieżnie profil facebookowy Wałęsy, by znaleźć tam takie kwiatki (pisownia oryginalna):

„Moim zdaniem to bracia Kaczyńscy, wykorzystując panią Kiszczak i podrobione przez SB dokumenty, przy pomocy takich ludzi jak Gwiazda, Cenckiewicz i Wyszkowski próbują na siłę zrobić ze mnie agenta i wmówić Polakom kłamstwa na mój temat” (wpis z 6 listopada 2018 r.);

„Przecież w pobliżu jest tekst n/p Buraka i wywiad dla wyborczej o tych teczках ale właściwych a nie podrobionych wykonanych na zalecenie braci L. i J. Kaczyńskich wykonanie technicznie przez Cenckiewicza PRZY POMOCY MACIEREWICZA GWIAZDY WYSZKOWSKIEGO przy

wsparciu P. Kiszczakowej Taka jest prawda i historia to udowodni” (wpis z 21 marca 2019 r.);

„Cenckiewicz odpowiesz za kłamstwa, pomówienia, ohydne zrobienie dokumentacji Bolka” (wpis z 30 marca 2019 r.);

„Kiedy wyrzuciłem Kaczyńskich z kancelarii za nieróbstwo, za skandale, jakie prowokowali, oni wtedy zanieśli Cenckiewiczowi by przygotował prowokację, przygotował dokumenty przeciwko Wałęsie i zrobił go Bolkiem. Do pomocy wziął Macierewicza, Gwiazdę i Wyszковского. I to oni zrobili te papiery i zawieźli pani Kiszczakowej i wyprosili żeby ona potwierdziła, że to są znalezione u Kiszczaka” (zapis spotkania z 24 marca 2019 r. w Krośnie).

Uznałem, że w sytuacji, kiedy oskarżany za te same niepopelnione zbrodnie IPN milczy, powinienem zareagować, tym bardziej że zarówno analiza źródłoznawcza, porównawczo-archiwalna, mikrobiologiczna teczek, jak i grafologiczna materiałow TW „Bolek” przeprowadzona w Instytucie Ekspertyz Sądowych im. Jana Sehna w Krakowie (o co zresztą sam Wałęsa występował

publicznie) formalnie potwierdziła, iż materiały zabezpieczone w domu gen. Czesława Kiszczaka w lutym 2016 r. są autentyczne. Wałęsa był w latach 1970–1976 tajnym współpracownikiem o pseudonimie Bolek, który własną ręką sporządzał doniesienia agenturalne wymierzone w kolegów ze Stoczni Gdańskiej, pobierał za to i kwitował własnoręcznie otrzymywane z tego tytułu wynagrodzenie. Tej prawdy postanowiłem bronić!

Od Wałęsy nie żądam wiele, bo jedynie:

- usunięcia z profili pozwanego na portalach Facebook i Twitter opublikowanych nieprawdziwych i naruszających moje dobre imię informacji, co nie wiąże się z jego jakimikolwiek kosztami;

- zamieszczenia na stronie internetowej Fundacji Instytutu Lecha Wałęsy (www.ilw.org.pl) oraz na stronie internetowej DoRzeczy.pl oświadczenia o treści: „Przepraszam Sławomira Cenckiewicza za rozpowszechnianie przeze mnie nieprawdziwych i naruszających jego dobre imię informacji, iż dokonał sfałszowania dokumentów dotyczących tajnego współpracownika Służby Bezpieczeństwa PRL o pseudonimie Bolek, będących w dyspozycji Instytutu Pamięi Narodowej. Zarzuty sformułowane przeze mnie wobec Sławomira Cenckiewicza nie miały żadnych podstaw faktycznych. Powyższe oświadczenie publikowane jest w wyniku przegranego procesu sądowego. Lech Wałęsa”;

- przesłania na adres powoda własnoręcznie podpisanego oświadczenia o sformułowanej powyżej treści;

- zobowiązanie do zapłaty kwoty 30 tys. zł na wskazany cel społeczny.

Wierząc w wolne sądy i sprawiedliwość, wyruszam zatem po raz pierwszy w życiu na sądową batalię. Bądźcie ze mną! ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



SŁAWOMIR
JĄSTRZĘBOWSKI

OKIEM JĄSTRZĘBIA

Halucynacja, taka sytuacja

Mam cię! Ha! Przyłapałem cię na gorącym uczynku! Jesteś tendencyjny, nieobiektywny i co najmniej lekko wredny! Wstyd! Nie wiem, czy nie jesteś skrecony politycznie, muszę cię poobserwować i poanalizować wnikliwie. Wtedy wyciągnę wnioski ostateczne.

Są pewnie państwo ciekawi, kogo ja tak przyłapałem? Otóż swojego „mózga” przyłapałem. Tak, tak, nieźle mi on numery wizualizował. Nie chcę tu wchodzić w szczegóły. Tak pokrótce nakreślę, aby i państwo sobie może swoje mózgi przyłapali, czy one przypadkiem bez państwa wiedzy oraz zgody nie robią państwu tego czegoś.

Abyło to tak: siedzę sobie wygodnie w fotelu wygodnym, piję kawę wygodnie, będąc ogólnie w stanie z życia zadowolony. Tak sobie piję. Kawę piję akurat, nadmieniam, gdyby ktoś chciał jakąś niestosowną supozycję uczynić. Więc kawę piję. A tu nagle ten polityk znany (nie mają tu znaczenia nazwiska, ponieważ tekst jest o przyłapanym mózgu, a nie polityce) zaczyna swój program przedstawiać. I on mówi, ja słucham, kawa jest wypijana, fotel jest wygodny, słowa mają swój kontekst i znaczenie, dźwięki docierają (ale bez siorbania). Ja powoli, nie wiedząc czemu, przestaję być z życia zadowolony. On mówi, ja słucham, kawa się wypija, fotel wygodny, zadowolenie jednak paruje.

Poważny program polityczny jest przedstawiany, mózg go mimowolnie ana-

lizuje i wtedy ja go przyłapuję. Tego „mózga”. Zamiast spokojnej syntezy tego programu mój mózg, patrząc na polityka, włącza mi skojarzenie bezpośrednie z przekultowym hitem polskiego Internetu znanym jako „Co pana najbardziej denerwuje?” (jakby ktoś jeszcze nie widział – w co nie wierzę – to można znaleźć po takiej frazie). Pyta więc dziennikarka pana przypadkowego na ulicy: „Co pana najbardziej denerwuje?”. Mogłaby spytać polityka: „Jaki macie polityczny program?”. I wtedy pan odparowuje genialnie: „Czemu?”. I my wszyscy, milionowa publiczność, wiemy już, że nic, ale to nic nie będzie takie samo. Wtedy pan rusza i nic go nie zatrzyma: „Woda, najczęściej ziemia, woda, coś takiego, nie? Halucynacja, hemoglobina, dwutlenek węgla, taka sytuacja, nie? Najczęściej to chemia mnie interesuje. Nie podoba mi się. Mistyfikacja mnie interesuje, coś takiego”.

Po obejrzeniu tego filmu zawsze dopada mnie kilkuminutowe osłupienie katatoniczne, które to pojęcie, nie wiem jakim cudem, wprowadził w roku 1874 Niemiec Kahlbaum, skoro nie było jeszcze telewizji ani Internetu. Podniosłem się z fotela i myślę: „A tam, przespaceruję się. Może to rozchodzę”. Niestety, razem ze mną szła halucynacja, hemoglobina, a nawet mistyfikacja. I ten program polityczny, tego znanego polityka (nieważne są nazwiska). Halucynacja, hemoglobina, taka sytuacja... Szanowni państwo, przyłapujecie czasem mózgi? ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Ucieczka w pustkę

Nowory serial „Euforia” to opowieść o horrorze bycia nastolatkiem, dorastającym w skąpanej w narkotykach, alkoholu, seksie i przemocy współczesnej Ameryce. Takie uczucie towarzyszyło również rozsianym po świecie 30-letnim recenzentom hitu HBO, którzy mnożyli przymiotniki, prześcigając się w laudacjach. W końcu na papierze mamy wszystkie elementy gotowe do upichcenia skandalizującego „manifestu pokolenia”. W roli głównej była gwiazdka produkcji Disneya (Zendaya), jako uzależniona od narkotyków Rue. Jej koleżanka Jules, wystylizowana na lolitę szukającą toksycznych związków, to transseksualna aktorka i aktywistka ruchu LGBTQ – Hunter Schafer. Wokół nich cała paleta kulturowo, etnicznie i płciowo zróżnicowanego środowiska rówieśników – których łączy jedna cecha: ślepy pęd ku zatraceniu we wszystkim, co choćby na chwilę odciąga uwagę od rzeczywistości – tłumi emocje chemicznymi substytutami albo bezzmyslnym, traktowanym jak oddychanie seksem.

Ile razy już to widzieliśmy? Który to obraz pustkę fabularną tuszujący serią efektownych kadrów, zdjęć, grą światła, muzyką i operowaniem na przemian a to subtelnością refleksji nad przemijaniem, a to sceną brutalnego gwałtu, podduszania czy – za przeproszeniem – kopulowania w basenie na oczach połowy szkoły, aby odegrać się na byłym chłopaku? „Grupa licealistów stara się przeżywać swoje

miłości i przyjaźnie oraz znaleźć swoje miejsce w świecie zdominowanym przez media społecznościowe, w którym nie brakuje narkotyków i seksu” – można przeczytać w opisie serialu przygotowanym przez producenta. I choć teoretycznie dotyka on najmroczniejszych stron dojrzewania, przecież nie dla tej grupy wiekowej jest przeznaczony, również formalnie zaklasyfikowano go jako „tylko dla dorosłych”.

Kogo zatem i do czego ma skłaniać „Euforia”? Reżyser Sam Levinson twierdzi, że motywowany własnym doświadczeniem chciał pokazać, jak żyć nie należy – serwując pedagogiczny antyoporadnik wychowawczy. Warto zapytać raz jeszcze: jeśli przestroga, to dla kogo? Przecież nie dla równolatków bohaterów serialu, chyba również nie dla rodziców. Może zatem dla pokolenia zbławonanych, ugruntowanych w dorosłości recenzentów, którzy nadal sądzą, że są młodzi, ale młodość są w stanie podglądać już tylko przez szybę? Abstrahując od taniego psychologizowania, jedna rzecz nie przestaje mnie zdumiewać. W 2019 r. nadal popkultura daje się oczarować nihilistycznymi historyjkami o zgubnym wpływie mediów społecznościowych, umieszczeniem 30 penisów w jednym odcinku (ktoś policzył) oraz bohaterką, która nie umie wykrzesać z siebie nawet grama charyzmy, jej pozór osiągając jedynie po zażyciu kilku gramów „kwasu”. Tanie tak jak barszcz. ©©

OKIEM BLOGERKI

Nowy eksperyment Betlejewskiego



KATARYNA

„GAZETA WYBORCZA”: *Jestem zażenowana przeprowadzonym w Radomiu „eksperymentem społecznym” Rafała Betlejewskiego. Jako dziennikarka jestem zdumiona, że można tak bardzo skupić się na oglądalności czy klikalności, by wyzbyć się resztek etyki zawodowej. Czystość intencji to podstawa, której uczyłam się w pierwszych dniach mojej pracy w mediach i która, mam nadzieję, przyświeca większości dziennikarzy.*

To fragment oświadczenia Katarzyny Ludwińskiej, radomskiej dziennikarki „Gazety Wyborczej”, na temat głośnego trzy lata temu „eksperymentu społecznego” przeprowadzonego przez Rafała Betlejewskiego. W 2016 r. Betlejewski zorganizował w Radomiu fikcyjną rekrutację, podczas której udający przyszłych pracodawców podstawieni aktorzy przy użyciu rozmaitych technik manipulacji upokarzali na różne sposoby całkiem prawdziwych kandydatów do pracy, doprowadzając niektórych do łez, a wszystkich – do upodlenia. Gdy za to publiczne upokorzenie biednych i zrozpaczonych ludzi Betlejewski zebrał potem solidne medialne bečki, także od kome-

tatorów i dziennikarzy z własnego środowiska, tłumaczył, że nie robił tego eksperymentu jako dziennikarz, tylko jako performer, a cel przyświecał mu szlachetny – chciał sprawdzić, jak wiele może znieść zdesperowany człowiek, żeby dostać pracę. „Byśmy wszyscy mogli się nauczyć, czego nie wolno robić, jak nigdy się nie zachowywać i czego nie możemy tolerować. Mam nadzieję, że ta nauka nie pójdzie na marne i przed naszą następną rozmową kwalifikacyjną wszyscy będziemy mądrzejsi” – pisał o ludziach, których publicznie poniżył, dając im za to na otarcie łez po 50 zł.

Po tamtym eksperymencie na Betlejewskiego spadła dość zgodna krytyka, a medium publiczne, któremu szefował i w którym opublikował swój eksperyment, opuściła w protestie grupa dziennikarzy. „Nie mogę jednak być dalej w miejscu, w którym szef Rafał Betlejewski wpakował ludzi w gówno i nazywa to perfumierią” – tłumaczył jeden z nich, Paweł Sito. I mam wrażenie, że odczucia na temat tamtego „reportażu” Betlejewskiego były bardzo podobne od lewa do prawa.

Jak to się więc stało, że zaledwie po trzech latach od tamtego haniebnego eksperymentu Betlejewski znowu wypłynął i znowu eksperymentuje, tym razem medialnie eksploatując zaburzone pięcioletnie dziecko, które właśnie wystawił do korespondencyjnego pojedynku z Zofią Klepacką, ale głosów oburzenia nie słyhać, choć koszty, które poniesie Zosia/Bartek, będą ogromne i są raczej łatwe do przewidzenia? Z walki, do której wystawił Zosię/Bartka Betlejewski, rodzina, która i tak ma wystarczające problemy, może wyjść tylko jeszcze bardziej poobijana, a Zosia/Bartek właśnie została skutecznie i nieodwracalnie pozbawiona prywatności w sprawie najbardziej intymnej z możliwych i będzie dorastać z łatką transpłciowego autysty, bez względu na to, jaka będzie prawdziwa diagnoza. Nie mam wątpliwości, że Zosia/Bartek zostanie wyeksploatowana na maksa, i to przez obie strony ideologicznej wojny. Bo nic tak dobrze nie robi sprawie jak dziecko na sztandarach. A że zapłaci tylko ono? To już nie jest zmartwienie Betlejewskiego, on tylko poeksperymentował. ©©

PODSŁUCHANE

Jeszcze bez nazwy?!

Robert, mówię ci, z tym coś trzeba natychmiast zrobić! W tej stołówce w parlamencie nie ma nic wegańskiego!

Sylvia, spokojnie. Ja byłem wczoraj w takiej knajpcie dwie przecznice dalej. Mają kotlety z jarmużu, steki z soi...

Ale to nie o to chodzi! Ja nie będę nigdzie chodzić, tu ma być po wegań-

sku! To jest świątynia różnorodności, jest miejsce dla elgiebetepus, a nie ma dla wegań?!

No i co w końcu zjadłś?

Frytki jakieś i sałatkę. Niedobrze, niedobrze.

Dlaczego?

Czytałem ostatnio, że pod ziemniaki wycina się puszcze.

Ale gdzie? Tutaj? W Belgii? Nie wiedziałam, że tu są jakieś puszcze.

Nie wiem, czy w Belgii. W każdym razie gdzieś się wycina. A skąd

wiesz, że to były belgijskie ziemniaki? A może to były frytki z kraju, gdzie się wycina puszcze?

Nie wiedziałam... No to ładnie – nie dość, że musiałam zjeść frytki i będę gruba, to jeszcze będę mieć moralnego kaca.

No co ty? Tuszą się przejmujesz?

To jest ten... no... nie ejdżyzm, nie seksizm...

To jeszcze nie ma nazwy. O właśnie, tym się musimy zaraz też zająć: wymyślić na to nazwę! ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nie mieliśmy, nie mamy i nie będziemy mieć przeciwników po stronie opozycji”.

BORYS BUDKA, wiceprzewodniczący PO, w Polskim Radiu 24.



fot. Jerzy Gumowski

Caviar

Salon próbują spopielić krzyż i tradycyjne normy moralności, aby zbyszczścić świat. Pożar katedry Notre Dame stał się emblematem tego.

Jednak obecnie już nie pożary i nie hekatombę stanowią główny „modus operandi” wojującego lewactwa, bo od czasu krwiożerczych karmatów (średniowieczne lewactwo bliskowschodnie) i gilotynowych jakobinów (oświeceniowe lewactwo francuskie) lewica przeszła ewolucję via socjalizm, później socliberalizm, aż stała się używającą „białych rękawiczek” (oraz wyborczych um i „humanistycznej” demagogii), „lewicą kawiorową”. Sam termin jest dość późny (tyczył kręgów francuskiego prezydenta Mitterranda), lecz zjawisko raczkowało „międzywojennie” (satyryk Juliusz Baykowski kpił A. D. 1929: „Widziałem uczniów Marksa piszących traktaty o socjalizmie w lektkach niesionych przez niewolników”), a za PRL-u podczas rządów genseka Gomułki (wtedy jeszcze sierniecznie, pierwocinowo, co wyszydził satyryk Janusz Szpotański treścią kilku „poematów”) i „dekady Gierki”, gdy reżimowa władza hojnie dotowała, lansowała, laurowała, pieściła, wysyłała na wszystkie



Od terroru do kawioru



kontynenty wrocławski teatr Laboratorium pezetpeerowca i „biernego pedała” Grotowskiego (dziś jest on hagiografowany salonowo jako geniusz, reformator teatru), bo ów pajac produkował ekscentryczno-błuzniercze spektakle kontrkatolickie (gromił je publicznie sam prymas Wyszyński), zakazując swym aktorom kontaktować się z opozycjonistami czy emigrantami, a nawet rozmawiać między sobą o polityce.

Priwiślińscy „kawiorowi lewicowcy” tamtych (peerelowskich) czasów dużo rozmawiali o polityce, lecz zawsze w propezetpeerowskim bądź kominternowskim duchu, dzisiaj natomiast autowydbielająco łż, przywdziewając togi wallenrodyckich reformatorów. Exemplum Jerzy Surdykowski (członek PZPR od r. 1967, wiceprezes SDP, literat i reporter, dyplomata reprezentujący Polskę w USA, Tajlandii, Birmie i na Filipinach): „Wstąpiłem do PZPR, bo tak jak wielu ludzi wtedy uważałem, że jeśli w partii będzie więcej przyzwoitych osób, to tam gdzie to możliwe będzie można kierować sprawy w lepszym kierunku. Wiedzieliśmy, że nie da się wszystkiego zreformować, ale wierzyliśmy, że da się zmienić chociaż trochę. Okazało się, że nasza orientacja reformistyczna-lewicowa była fałszywa” (2019). Prosowiecka przez całe dekady orientacja zachodnich „kawiorowych lewaków” też była fałszywa — grali swoje paskudne role z maskami „humanistów” na gębach, wysła-

wiając „Związek Radziecki”, lecz woląc mieszkać daleko od niego. Irena Lasota: „Zajmowałam się kiedyś dysonansem poznawczym «eurokomunistów», członków zachodnioeuropejskich partii komunistycznych, którzy na przełomie lat 70. oraz 80. zachwycali się Związkiem Sowieckim, popijając espresso czy zającąc się paellą z croissantami. Oczywiście żaden z nich, za żadne skarby, nie pojechałby nawet na wakacje do Kraju Rad” (2015).

Z dala od „Kraju Rad” można było się prosowiecko mądrzyć oraz lewacko tasować i rozdawać karty kulturowe wedle wskazań Gramsciego. Trzeba „kawiorowej lewicy” przyznać, że we wszystkich stadiach swego rozwoju była siłą wielce wpływową, modelującą świadomość opinii publicznej i nawet czołowe mity (okrutnego bandziora tatrzańskieg, zwanego Janosikiem, który był postachem góralskiej ludności, lewactwo deifikowało jako chłopskiego bohatera; kuglarza Marksa uczyniło autorytetem ekonomicznym; ludobójcę Stalina mianowało budowniczym „pokoju między narodami”; sadystycznym oprawcę z kubańskiej bezpieki, Guevarę, kreowało na idola młodzieży globu, itp.), wskutek opanowania większości medialnych tudzież edukacyjnych platform. Ciągłe słyszymy sarkastyczne narzekania prawicowców/konserwatystów, że zachodnie wyższe uczelnie są morderczym zlewicowanymi. A nasze nie są? Tomasz Sommer: „Wszystkie polskie uczelnie finansowane z kieszeni podatnika są czerwone. Ich rzekoma «niezależność» jest bezkarnością szerzenia lewackich bzdur” (2019). Adam Daneke: „Wyższe uczelnie są w Polsce objęte hegemonią środowisk lewicowych — lewicowym dyktatem, który przybiera formę agresywną” (2019). Świeże przykłady tej agresywności to niedawne nagonki uczelnianych środowisk na znanych akademików — Przemysław Czarnka (KUL), Jacka Bartyzela (UMK) i Jacka Namieśnika (PG). Przyczyny są zawsze te same: niechęć wobec LGBT, rzekomy antysemityzm, unikanie krytykowania PiS-u. „Lewica kawiorowa” lubi grać oglądaną, lecz chętnie sięga po kastet.

Lubi się też chwalić „olimpijczykami” w swych szeregach. Przykładowo: angielska jest bardzo dumna, że należy do niej „kultowi” twórcy szpiegowskich thrillerów — Ken Follett i John Le Carré. Obaj politykują: Follett grzmi, iż rządy PiS-u to „autorytaryzm nieprzestrzegający zasad demokracji, praw człowieka oraz reguł kapitalizmu” (2019). Le Carré tak mocno wspiera Jeremy’ego Corbyna (brytyjskiego komucha nr 1), że wybitny angielski pisarz pochodzenia hinduskiego, Salman Rushdie, zwie go „dupkiem” (jako człowieka) tudzież „pólliteratem” (jako manipulatora, który zawsze piętnował MI 5, MI 6 i CIA, oszczędzając KGB i GRU). Ten sam problem ma w USA Donald Trump (i całe prawicowe środowisko) z tamtejszym dominującym lewactwem akademickim i artystycznym.

Kawior ością w gardle. ©©

Waldemar Łysiak

Tradycyjnemu „łańcuchowi pokarmowemu” (silniejszy zjadają słabszych) towarzyszy dzisiaj „łańcuch tworzenia wartości” (tyczące ewolucji technologicznej sformułowanie francuskich ekonomistów Lorenziego i Berrebiego z ich książki „Przyszłość naszej wolności”, które ja jednak odnoszę do wartości szerszych, kulturowo-cywilizacyjnych, bo żyjemy w epoce pożerania tradycyjnych wartości przez „postępowe”, jak relatywizm moralny, feminizm, sztuka bluźniercza, „gender” czy też pedalstwo). Dzisiejszy „nowy wspaniały świat” (patrz Aldous Huxley) zafundowała ludzkości drapieżna lewica, pożerała słabszych z prawej strony i z lewej. Tych drugich ściga nawet bardziej krwawo, gdyż wedle Lenina konkurent lewicowy jest dla lewicy groźniejszy niż prawicowy. Stąd bezlitosne rozwalenie partii „eserowców” (Socjalistów Rewolucjonistów) przez bolszewików, tudzież wszelakie masowe „czystki” we własnych szeregach, gdy pokotem padali całkowicie lojalni „towarzysze”, lecz ich niewinność (o której wiedział każdy) była drugorzędna wobec pierwszorzędności systemu zastraszania/terroryzowania. Głośny niemiecki lewak, dramaturg Bertold Brecht, przekonywał serio: „Im bardziej byli niewinni, tym bardziej zasługiwali na rozstrzelanie. Partia jest najważniejsza”. Ach, ta „sophistique rouge”!

Czerwona sofistyka zużyła morze farby drukarskiej dla wbijania „masom” do głów, że lewica jest siewcą wolności i pokoju, czyniąc swym logo „gołąbka pokoju”. Lecz globalna kariera gołdła lewaków tapnęła kiedy twórca graficznego wizerunku (gołębica z pałką w dziobie), Pablo Picasso, po latach wyśmiał ów symbol, mówiąc: „Łagodność gołębicy to bzdura! Nie ma okrutniejszych zwierząt. Trzymałem u siebie gołębice, które zadziobały na śmierć inną gołąbkę. Wydlubały jej oczy, rozszarpały na kawałki. Ładny mi symbol pokoju!”. Mnie się ten symbol zawsze kojarzył z historią pokoju mającego kończyć na Rusi Kijowskiej wojnę między kniażynią Olgą a księstwem Drewlan. Kniażyni długo oblegała ich gród, nie mogąc go zdobyć. Wyraziła więc chęć zawarcia pokoju gdy Drewlanie okupią się gołębiami — jeden z każdego domostwa. Obróńcy spełnili warunek, a spryciara przywiązała każdemu gołębiowi u ogona płonącą żagiewkę i wypuściła ptaki na wolność. Te wróciły do swych strzech i wszystkie budynki strawił ogień, zgorzał cały gród. Dziś takie „gołębie pokoju” wypuszczane przez



DOBRZE CI SIĘ WYDAJE

Z KARTĄ KREDYTOWĄ PKO MASTERCARD PLATINUM

- Płać swobodnie **w każdej walucie** bez prowizji za przewalutowanie.
- Podróżuj spokojnie z prestiżowym **pakiem ubezpieczeniowym**.



Bank Polski



Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) wynosi 12,30%, całkowita kwota kredytu 25 000 zł, całkowita kwota do zapłaty 26 624,77 zł, oprocentowanie zmienne 10%/rok, całkowity koszt kredytu 1 624,77 zł (w tym: opłata za obsługę karty kredytowej 250 zł, odsetki 1 374,77 zł, obligatoryjne ubezpieczenie na życie 0 zł), 12 miesięcznych rat równych po 2 218,73 zł. Kalkulacja została dokonana na dzień 17.05.2019 r. na reprezentatywnym przykładzie. Do obliczenia powyższych parametrów przyjęto, że limit w wysokości 25 000 zł został wykorzystany jednorazowo w całości poprzez dokonanie transakcji bezgotówkowej przy fizycznym użyciu karty (z wyłączeniem transakcji dokonanych w punktach oznaczonych jako kasyna gry, salony gier, zakłady bukmacherskie, loterie i totalizatory) w miesiącu, w którym klient ją otrzymał.

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora.

Szczegóły, w tym informacje o zakresie ubezpieczenia, wyłączeniach i ograniczeniach odpowiedzialności Ubezpieczyciela znajdujące się w OWU oraz Taryfa prowizji i opłat bankowych, są dostępne na www.pkobp.pl